

Niepokojąca! Jedna z tych książek, których nie da się odłożyć.

WOJCIECH CHMIELARZ

LISA

JEWELL

IDEALNA

RODZINA

Wciągająca, zaskakująca, nieodkładalna. Przepadłam!

MAGDA STACHULA



IDEALNA
RODZINA

LISA
JEWELL
IDEALNA
RODZINA

Tytuł oryginału: *The Family Upstairs*
Copyright © Lisa Jewell, 2019
Copyright © for the Polish translation
by Wydawnictwo Poznańskie, 2021
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk
Marketing i promocja: Joanna Zalewska
Redakcja: Mirosław Ruszkiewicz
Korekta: Gabriela Niemiec, Mirosław Krzyszkowski
Projekt typograficzny, skład i łamanie: MELES-DESIGN
Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Banachowicz
Fotografia na okładce: © Camille Ralston / Unsplash
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66736-28-3

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Dedykuję tę książkę moim czytelnikom,
z miłością i wdzięcznością

Informacja w sprawie nazwiska bohaterki Cerian Tahany

Imię bohaterki Cerian Tahany pojawiające się w mojej książce zostało zainspirowane prawdziwą Cerian Tahany, jedną ze zwyciężczyń tegorocznej kampanii Get In Character.

CLIC Sargent to wiodąca brytyjska akcja charytatywna na rzecz walki z nowotworami u dzieci i młodych dorosłych. Ich misją jest zmiana tego, co niesie ze sobą diagnoza w młodym wieku. Wierzą, że dzieci i młodzi ludzie cierpiący na raka mają prawo do najlepszego możliwego leczenia, opieki i wsparcia przez cały proces terapii, a także później. Kampania Get In Character jest prowadzona od 2014 roku i doczekała się wsparcia wielu najbardziej znanych brytyjskich autorów. Do dzisiaj zebrano ponad 40 tysięcy funtów.

Z wielką radością wspierałam kampanię Get In Character przez lata, a w marcu 2020 roku ponownie ruszy aukcja na eBayu.

Szczegóły można znaleźć na www.clicsargent.org.uk.

Gdybym powiedział, że przed ich pojawieniem się moje życie było zupełnie normalne, minąłbym się nieco z prawdą. Nie, było dalekie od normalności, lecz wydawało mi się takie, bo innego nie znałem. Dopiero teraz, gdy upłynęły dekady od tamtego czasu, dostrzegam jego odmienność.

Kiedy przyszli, miałem jedenaście lat, a moja siostra dziewięć.

Mieszkali z nami przez ponad pięć lat i przez nich w naszym domu zapanował mrok. Musieliśmy z siostrą nauczyć się, jak przetrwać.

A kiedy miałem szesnaście lat, a moja siostra czternaście, pojawiło się dziecko.

1

Libby podnosi list z wycieraczki. Obraca go w dłoniach. Wygląda bardzo oficjalnie; kremowa koperta z wysokogatunkowego papieru, zapewne z wyściółką z bibułki. W polu nadawcy znajduje się adnotacja: „Smithkin Rudd & Royle Solicitors Chelsea Manor Street SW3”.

Zanosi list do kuchni i kładzie na stole, a potem sięga po czajnik i zalewa herbatę w kubku. Wydaje jej się, że wie, co jest w kopercie. W zeszłym miesiącu skończyła dwadzieścia pięć lat. Podświadomie czekała na tę przesyłkę, ale gdy w końcu ją dostała, nie była pewna, czy jest w stanie stawić czoła temu, co znajdzie w środku.

Bierze telefon i dzwoni do matki.

– Cześć, mamó, przyszło. Dostałam list z zarządu powierniczego.

Po drugiej stronie zapada cisza. Wyobraża sobie matkę w jej własnej kuchni, ponad tysiąc kilometrów stąd, w hiszpańskiej Dénii: śnieżnobiałe fronty szafek, limonkowe przybory kuchenne, szklane drzwi przesuwne prowadzące na niewielki taras z widokiem na śródziemnomorski krajobraz, telefon w wysadzonym kryształkami etui, który matka nazywa swoją błyskotką.

– Ach, no tak. Rany. A otworzyłaś już?

– Nie, jeszcze nie. Najpierw napiję się herbaty.

– No tak – powtarza, po czym dodaje: – Mam się nie rozłączać? Chcesz, żebym została na linii?

– Tak, zostań.

Trochę brakuje jej tchu; tak się czasami dzieje, gdy już ma wstać i rozpocząć prezentację dla potencjalnego klienta w pracy. To takie uczucie, jakby wypita mocną kawę. Wyciąga torebkę herbaty z kubka i siada. Muska palcami róg koperty i wciąga głęboko powietrze.

– Okej, robię to. Otwieram kopertę – mówi do telefonu.

Jej matka wie, co znajduje się w środku. A przynajmniej podejrzewa, chociaż oficjalnie nigdy nie powiedziano jej, co czeka w funduszu powierniczym. Zawsze powtarzała, że równie dobrze może dostać dzbanek do herbaty i dziesięć funtów.

Libby chrząka i wsuwa palec pod kłapkę. Wyciąga ze środka kartkę grubego kremowego papieru i szybko zaczytuje wiadomość:

Do Pani Libby Louise Jones

Jako członkowie zarządu powierniczego Henry'ego i Martiny Lamb, który powstał 12 lipca 1977 roku, proponujemy niniejszy harmonogram przekazania spadku...

Odkłada list i wyciąga załącznik z harmonogramem.

– No i? – pyta matka zdyszczanym głosem.

– Jeszcze czytam – odpowiada Libby.

Przebiega wzrokiem po tekście i jej uwagę zwraca nazwa nieruchomości. Cheyne Walk 16, SW3. Zakłada, że to dom, w którym mieszkali jej biologiczni rodzice w chwili śmierci. Wie, że znajduje się gdzieś w Chelsea. Wie, że jest duży. Mimo to zakładała, że dawno przepadł. Został zabity deskami i sprzedany. Wreszcie dociera do niej, co właśnie przeczytała, i aż brakuje jej tchu.

– Eee – rzuca.

– Co się stało?

– Wygląda na to, że... Nie, to niemożliwe.

- No co?!
- Zostawili mi dom.
- Ten w Chelsea?
- Tak.
- Cały dom?
- Tak mi się wydaje. – W liście napisali coś o tym, że nikt nie upomniał się o spadek. Libby nie może tego wszystkiego pojąć.
- Mój Boże, przecież on musi być wart...
- Libby wciąga gwałtownie powietrze i spogląda na sufit.
- Nie, to nie może być prawda. Ktoś się pomylił – mówi.
- Idź i spotkaj się z prawnikami – podpowiada matka. – Zadzwoń. Umów się. I upewnij się, że to nie jest pomyłka.
- A co, jeśli nikt się nie pomylił? Co, jeśli to prawda?
- Cóż, kochana, w takim wypadku staniesz się bardzo bogata – odpowiada matka, a Libby oczami wyobraźni widzi jej szeroki uśmiech.

Rozłącza się i rozgląda po kuchni. Pięć minut temu tylko na taką było ją stać, tylko w takim mieszkaniu, w jednym z szeregowych domków w cichym zakątku St Albans. Wciąż pamięta mieszkania i domy, które widziała w czasie poszukiwań w internecie, to przyspieszone bicie serca na widok idealnego miejsca: słoneczny taras, kuchnia połączona z jadalnią, pięć minut pieszo na stację kolejową, stare okno witrażowe. Dostrzegła jeszcze w tle za zielenią dzwony katedry, ale zaraz spojrzała na cenę i skarciła się za naiwne myślenie, że będzie ją na to stać.

Ostatecznie zdecydowała się na kompromis niemal w każdym aspekcie, byle znaleźć sobie mieszkanie blisko pracy i niezbyt daleko od stacji. Intuicja nic jej nie podpowiedziała za progiem; serce nie przyspieszyło, gdy agentka oprowadzała ją po wnętrzu. Niemniej uczyniła z tego miejsca dom, z którego można być dumnym.

Skrupulatnie wykupiła wszystko, co TK Maxx miał najlepszego, i teraz jej źle przerobione, nieco niezgrabne mieszkanie z jedną sypialnią dawało jej szczęście. Kupiła je, urządziła. Należało do niej.

Teraz jednak okazuje się, że Libby zostanie właścicielką nieruchomości przy najlepszej ulicy w Chelsea, i nagle to mieszkanie wydaje się absurdalnym żartem. Tak samo wszystko, co jeszcze przed chwilą było dla niej ważne – niedawna podwyżka w wysokości półtora tysiąca funtów rocznie, planowany na następny miesiąc babski weekend w Barcelonie, na który oszczędzała pół roku, a także cień do powiek od MAC, na jaki „pozwoliła sobie” w zeszłym tygodniu w ramach świętowania podwyżki – przyjemna ekscytacja na myśl o porzuceniu skrupulatnego planu wydatków miesięcznych dla jednej pachnącej słodyczą chwili w drogerii, lekkiej jak piórko papierowej torebeczki z logo MAC, dreszczu emocji, gdy wkładała małą czarną kapsułę do kosmetyczki z myślą, że teraz należy do niej, że może nawet użyje cienia w Barcelonie, do sukienki podarowanej jej przez matkę na Boże Narodzenie i kupionej we French Connection, z koronkowymi wstawkami, o których marzyła od wieków. Pięć minut temu jej przyjemności w życiu były drobne i wyczekiwane, musiała na nie ciężko pracować i oszczędzać, a i tak w ostatecznym rozrachunku znaczyły tyle co nic. Jedynie przydawały jej szaremu życiu odrobinę koloru, by warto było każdego dnia wstać i iść do lubianej, lecz nie kochanej pracy.

A teraz stała się posiadaczką nieruchomości w Chelsea i jej małe życie urosło do niesamowitych rozmiarów.

Wsuwa list z powrotem do drogiej koperty i kończy herbatę.

2

Nad Côte d'Azur zbiera się na burzę; na horyzoncie wiszą chmury ciemne jak śliwa damaszka, kładąc się ciężarem na czubku głowy Lucy. Jedną rękę przyciska do bolącego miejsca, a drugą chwytła pusty talerz córki i stawia na chodniku, żeby pies mógł wylizać resztki sosu i kurczaka.

– Marco, dokończ jedzenie – mówi do syna.

– Nie jestem głodny.

Lucy czuje pulsujący w skroniach gniew. Burza jest coraz bliżej, czuć już wilgoć schładzającą rozgrzane powietrze.

– To wszystko – cedzi, próbując powstrzymać się przed krzykiem.

– Nic więcej dzisiaj nie dostaniesz. Skończyły się pieniądze i więcej nie będzie. Jak zgłodniejesz przed pójściem spać, będzie już za późno. A teraz zjedz, proszę.

Marco kręci tylko głową i w milczeniu kroi kurczaka. Lucy spogląda na jego gęste kasztanowe włosy z podwójnym wirem. Próbowała przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz wszyscy myli głowy, i nie potrafiła.

– Mamo, a mogę deser? – pyta Stella.

Lucy patrzy na córkę. Stella ma pięć lat i jest najlepszym błędem, jaki jej się kiedykolwiek zdarzył. Powinna jej odmówić; jest taka surowa dla Marca, nie powinna pobłażać jego siostrze. Tylko że

Stella jest taka dobra, taka uległa i niekłopotliwa. Jak mogłaby odmówić jej czegoś słodkiego?

– Jeśli Marco dokończy kurczaka, możemy kupić loda na spółę – mówi spokojnie.

To niesprawiedliwe wobec małej, która zjadła swoją porcję dziesięć minut wcześniej i nie powinna czekać na brata. Ale najwyraźniej Stella nie wie jeszcze, co to sprawiedliwość, bo mówi:

– Jedz szybko, Marco.

Gdy chłopak kończy, Lucy zabiera jego talerz i stawia na chodniku dla psa. Dostają lody: trzy smaki w szklanej miseczce z gorącym sosem czekoladowym, pokruszoną pralinką i różową palemką na wykałaczce.

Lucy znowu czuje bolesne pulsowanie w głowie i spogląda na widnokrąg. Muszą znaleźć jakieś schronienie, i to szybko. Prosi o rachunek, kładzie kartę na tacce, wpisuje PIN do czytnika i wstrzymuje oddech; teraz na tym koncie nie ma żadnych pieniędzy, nie ma ich już nigdzie.

Czeka, aż Stella wyliże miseczkę, potem odwiązuje psią smycz od nogi stołu i zbiera torby, podając dwie Marcowi i jedną Stelli.

– Gdzie idziemy? – pyta Marco.

Jego brązowe oczy patrzą na nią z powagą, pełne niepokoju.

Lucy wzdycha. Spogląda w górę ulicy, gdzie znajduje się niceańska starówka, a potem w przeciwnym kierunku, ku brzegowi morza. Zerka nawet na psa, jakby spodziewała się od niego jakiejś wartościowej sugestii. Zwierzę patrzy na nią wyczekująco, licząc chyba na kolejny talerz do wylizania. Mogą się udać tylko w jedno miejsce – to, w którym najmniej chciała się znaleźć. Mimo to uśmiecha się.

– Wiem, chodźmy zobaczyć mémé!

Marco stęka. Stella wygląda na niepewną. Oboje wciąż pamiętają ostatni pobyt u babci Stelli. Samia była kiedyś gwiazdą filmową w Algierii. Teraz ma siedemdziesiąt lat, jest ślepa na jedno oko

i mieszka w zapyziałym mieszkaniu na siódmym piętrze bloku w l'Ariane razem z dorosłą niepełnosprawną córką. Jej mąż zmarł, kiedy miała zaledwie pięćdziesiąt pięć lat, a jej jedyny syn, ojciec Stelli, zniknął trzy lata temu i od tamtej pory ani razu nie nawiązał z nimi kontaktu. Samia pała słusznym gniewem. Ale ma dach nad głową; ma miękkie poduszki i bieżącą wodę. Ma w tej chwili to wszystko, czego Lucy nie może zaoferować swoim dzieciom.

– Tylko na jedną noc. Obiecuję, że na jutro coś znajdę – mówi.

Docierają na osiedle Samii akurat w chwili, gdy zaczyna padać deszcz, maleńkie wodne bomby eksplodują o rozgrzane płyty chodnika. W drodze na siódme piętro, w wymalowanej graffiti windzie, Lucy czuje ich zapach: zatęchłą woń niepranych ubrań, tłustych włosów, zbyt długo noszonych butów. Szczególnie pies, z gęstą i szorstką sierścią, straszliwie śmierdzi.

– Nie mogę – mówi Samia w progu, blokując im wejście. – Naprawdę nie mogę. Mazie jest chora i opiekunka musi tu dzisiaj nocować. Nie ma miejsca. Po prostu nie ma.

Na zewnątrz rozbrzmiewa trzask pioruna. Niebo rozżarza się na biało, płynie z niego ściana wody. Lucy posyła Samii rozpaczliwe spojrzenie.

– Nie mamy gdzie iść.

– Wiem o tym. Mogę wziąć Stellę, ale nie ciebie, nie chłopca i nie psa. Będziecie musieli znaleźć sobie jakieś inne miejsce.

Lucy czuje, jak Stella przywiera do jej nogi, drobne ciało przebiega dreszcz niepokoju.

– Chcę zostać z tobą – szepcze do Lucy. – Nie chcę bez ciebie.

Lucy kuca i chwyta córkę za rękę. Dziewczynka ma zielone oczy, jak ojciec, włosy poznaczone orzechowym blondem, a twarz, po długim i słonecznym lecie, opaloną na ciemny brąz. To piękne dziecko; ludzie czasami zatrzymują Lucy na ulicy, żeby jej o tym powiedzieć, wzdychając przy tym cicho.

– Skarbie, będziesz miała sucho. I możesz się umyć. Mémé przeczyta ci bajkę...

Samia kiwa głową.

– Przeczytam ci tę, którą najbardziej lubisz. Tę o księżycu.

Stella wtula się jeszcze mocniej w matkę. Lucy zaczyna tracić cierpliwość. Oddałyby wszystko, żeby móc spać w łóżku mémé, posłuchać bajki o księżycu, wziąć prysznic i założyć czystą piżamę.

– Tylko na tę jedną noc, skarbie. Odbiorę cię z samego rana, dobrze?

Czuje ruch głowy potakującej córki i jej głęboki wdech mimo wstrzymywanych łez.

– Dobrze, mamó – odpowiada Stella, a Lucy wpycha ją do mieszkania Samii, zanim któraś z nich zdąży zmienić zdanie. Potem zostaje sama z Markiem i psem, z matami do jogi na plecach wychodzą na ulewę, w zapadający zmierzch i nie mają gdzie się udać.

Przez jakiś czas chowają się pod wiaduktem, ale nieustannie przetaczające się nad ich głowami samochody są ogłuszające. Deszcz nie przestaje padać.

Marco trzyma psa na kolanach, przyciska twarz do jego grzbietu. W końcu podnosi wzrok na Lucy.

– Dlaczego nasze życie jest takie gówniane? – pyta.

– Przecież wiesz dlaczego – rzuca warkliwie Lucy.

– Ale dlaczego nic z tym nie robisz?

– Staram się.

– Wcale nie. Przez ciebie się staczamy.

– *Staram się* – syczy Lucy, obrzucając syna wściekłym spojrzeniem. – W każdej minucie każdego dnia.

Marco patrzy na nią z powątpiewaniem. Jest za mądry i za dobrze ją zna. Lucy wzdycha.

- Jutro odbiorę skrzypce. Będę mogła znowu zarabiać.
- A jak zamierzasz zapłacić za naprawę? – pyta, mrużąc oczy.
- Znajdę jakiś sposób.
- Jaki sposób?
- Nie wiem jeszcze, dobra? Nie wiem. Coś się wymyśli. Jak zawsze.

Po tych słowach odwraca wzrok od syna i patrzy na parę zbliżających się do niej świateł. Nad ich głowami przetacza się potężny grzmot, niebo znowu się rozżarza, a deszcz, o ile to możliwe, jeszcze się wzmaga. Lucy wyciąga z zewnętrznej kieszeni plecaka poobijany smartfon i włącza go. Zostało jej raptem osiem procent baterii i już ma go znowu wyłączyć, kiedy zauważa powiadomienie z aplikacji kalendarza. Wisi od kilku tygodni, ale Lucy jakoś nie może się zebrać, żeby je anulować.

Tekst jest krótki: *Dziecko kończy 25 lat.*

CHELSEA, KONIEC LAT OSIEMDZIESIĄTYCH

Nazywam się Henry, imię mam po ojcu. To powtórzenie od czasu do czasu powodowało pewne zamieszanie, ale ponieważ matka mówiła do niego „kochanie”, siostra „tatusiu”, a w zasadzie wszyscy inni per „panie Lamb”, jakoś dawaliśmy sobie radę.

Mój ojciec był jedynym spadkobiercą fortuny swojego ojca, który dorobił się na automatach do gier. Nigdy nie poznałem dziadka, był już stary, kiedy urodził się mój ojciec, ale wiem, że pochodził z Blackpool i nazywał się Harry. Mój ojciec przez całe swoje życie nie przepracował nawet jednego dnia, tylko siedział i czekał, aż Harry umrze i przekaże mu majątek.

Nasz dom przy Cheyne Walk w Chelsea kupił tego samego dnia, w którym dostał pieniądze. Gdy Harry leżał na łożu śmierci, on polował na odpowiednią nieruchomość i miał ten dom na oku od kilku tygodni. Przerażała go myśl, że zanim zdobędzie spadek, ktoś zdąży sprzątnąć mu go sprzed nosa.

Dom był pusty, kiedy go kupił, więc ojciec przez kolejne lata wydał tysiące funtów na, jak to mówił, *działa*: głowy łosi wiszące na wyłożonych drewnianymi panelami ścianach, skrzyżowane nad drzwiami miecze, mahoniowe trony zdobione wijącym się wzorem *barley twist*, pełny rys i dziur po termitach stół bankietowy na szesnaście osób w średniowiecznym stylu, komody pełne pistoletów

i batogów, sześciometrowe gobeliny, złowieszcze portrety olejne czyichś przodków, rzędy oprawionych w skórę ksiąg ze złoceniami, których nikt nigdy nie przeczytał, a do tego pełnych rozmiarów działo w ogrodzie przed wejściem. W naszym domu nie było wygodnych krzeseł, przytulnych kącików. Wszystko było z drewna, skóry, metalu i szkła. Wszystko było twarde. Zwłaszcza mój ojciec.

Podnosił ciężary w naszej piwnicy i pijał guinnessa ze swojej własnej beczki we własnym barze. Nosił szyte na miarę garnitury warte osiemset funtów, w których jego mięśnie i brzuch ledwo się mieściły. Włosy miał koloru starych monet jednopensowych, do tego szorstkie dłonie z zaczerwienionymi knykciami. Jeździł jaguarem. Grał w golfa, chociaż nie cierpiał tej gry, bo nie nadawał się do machania kijem; był zbyt sztywny, nie miał w sobie nic z giętkości. W weekendy jeździł na polowania; znikał w sobotni poranek ubrany w obcisłą tweedową marynarkę, z bagażnikiem wyładowanym bronią, po czym wracał w niedzielny wieczór z grzywaczami w pojemniku z lodem. Kiedyś, miałem wtedy jakieś pięć lat, przyprowadził do domu buldoga angielskiego; kupił go od człowieka na ulicy, płacąc świeżutkimi pięćdziesięciofuntowymi banknotami ze zwitka, który zawsze nosił w kieszeni marynarki. Powiedział, że pies przypominał mu jego samego. Potem buldog nasrał na zabytkowy dywan i ojciec się go pozbył.

Moja matka była „rzadką piękną”.

To słowa mojego ojca.

„Twoja matka to rzadka piękność”.

Była w połowie Niemką, w połowie Turczynką. Nazywała się Martina. Była dwanaście lat młodsza od taty i zanim pojawili się tamci, była też ikoną stylu. Zakładała ciemne okulary i szła na Sloane Street, żeby wydawać pieniądze ojca na jedwabne chusty, szminki w złoconych pojemniczkach i francuskie perfumy. Czasami ktoś jej robił zdjęcia, jak niosła naręcza papierowych torebek, a potem publikował w eleganckich magazynach. Nazywali ją

bywalczynią salonów, ale to nieprawda. Chadzała na wytworne przyjęcia ubrana w piękne stroje, jednak w domu była tylko naszą mamą. Nie najlepszą mamą, lecz też nie najgorszą; z pewnością wносиła względną miękkość do naszego wielkiego, męskiego, ozdobionego maczetami domu w Chelsea.

Raz miała pracę, przez jakiś rok; polegało to na tym, że poznawała ze sobą ważne osobistości światka mody. A przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Nosila w torebce małe srebrne wizytówki z różowym napisem: „Martina Lamb i Wspólnicy”. Prowadziła biuro na King’s Road, jasne loftowe pomieszczenie nad sklepem, ze szklanym stołem, skórzanymi fotelami, teleksem, ubraniami w przezroczystych pokrowcach, a także białymi liliami w wazonie na cokole. Zabierała tam mnie i siostrę, gdy mieliśmy wolne od szkoły, i wręczała nam kuszące śnieżnobiałe kartki z ryzy papieru, a do tego garść markerów. Od czasu do czasu dzwonił telefon, a mama odbierała, mówiąc: „Dzień dobry, tutaj Martina Lamb i Wspólnicy”. Bywało, że wpuszczała przez domofon jakiegoś gościa – kłóciliśmy się z siostrą, kto następnym razem naciśnie guzik. Tymi gośćmi były skrzeczące, bardzo chude kobiety, które chciały rozmawiać wyłącznie o ubraniach i sławnych ludziach. Nie było oczywiście żadnych wspólników, tylko matka i momentami jakaś młoda stażystka z sarnimi oczami. Nie wiem, jak to się wszystko skończyło. Wiem tylko, że zniknęło loftowe biuro, zniknęły srebrne wizytówki, a mama wróciła do prowadzenia domu.

Razem z siostrą uczęszczaliśmy do Knightsbridge – prawdopodobnie najdroższej szkoły w Londynie. Wtedy ojciec jeszcze nie bał się wydawać pieniędzy. Wręcz przeciwnie, uwielbiał to. Im więcej, tym lepiej. Mundurki mieliśmy w kolorze kupy i żółci, chłopcy nosili pumpy. Na szczęście gdy byłem w takim wieku, by tego rodzaju strój wywoływał we mnie głębokie zażenowanie, ojciec nie miał już pieniędzy nawet na czesne, o sztruksowych pumpach od Harrodsa nie wspominając.

Wszystko wydarzyło się tak powoli, a jednocześnie niezwykle szybko – ta zmiana w naszych rodzicach, naszym domu, naszych życiach. Jednak tamtego wieczoru, kiedy Birdie pojawiła się w progu z dwiema dużymi walizkami i kotem w wiklinowym koszu, nie mogliśmy mieć nawet nikłego pojęcia o tym, jaki wyrze na nas wpływ, jakich ludzi wprowadzi do naszego życia i jak to wszystko się skończy.

Myśleliśmy, że zostanie tylko na weekend.

Libby słyszy szept każdej chwili z czasów istnienia tego pokoju, czuje każdy oddech każdego, kto siedział w miejscu, w którym ona teraz siedzi.

– W tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym dziewiątym – powiedział pan Royle w odpowiedzi na jej wcześniejsze pytanie. – To jedna z najstarszych kancelarii w stolicy.

Pan Royle spogląda na nią teraz zza wypolerowanego na błysk biurka. Na jego ustach błąka się uśmiech, gdy mówi:

– No proszę. Cóż za prezent urodzinowy.

Libby uśmiecha się nerwowo.

– Nie jestem do końca przekonana, czy prawdziwy. Cały czas czekam, aż się okaże, że ktoś mnie wkręca.

Dobór słów – „ktoś mnie wkręca” – wydaje się nieodpowiedni w tym starym, budzącym respekt miejscu. Żałuje, że nie ujęła tego inaczej. Jednak pan Royle najwyraźniej się tym nie przejął. Nie przestając się uśmiechać, wyciąga rękę i podaje Libby gruby plik papierów.

– Zapewniam, że nikt tu nikogo nie wkręca, panno Jones. Proszę – mówi, wyjmując coś ze sterty dokumentów. – Nie byłem pewien, czy powinienem wręczać to pani w tej chwili. Może lepiej było wysłać pocztą. Razem z listem. Nie wiem, to naprawdę krępująca sytuacja. Miało się znaleźć w kopercie, ale na wszelki wypadek zostawiłem.

Niemniej wydaje mi się, że powinna to pani zobaczyć. Więc proszę. Nie wiem, ile przybrani rodzice byli w stanie powiedzieć o pani biologicznej rodzinie, jednak proszę poświęcić chwilę i to przeczytać.

Libby rozkłada kartkę z przedrukiem z gazety i umieszcza na blacie biurka.

**Bywalczyńni salonów i jej mąż zmarli w wyniku samobójczego paktu.
Zaginęły ich nastoletnie dzieci; znaleziono żywe niemowlę**

Wczoraj w Chelsea do domu byłej bywalczyńni salonów Martiny Lamb i jej męża Henry'ego wezwano policję z powodu podejrzenia potrójnego samobójstwa. Funkcjonariusze pojawili się na miejscu krótko po południu i odkryli ciała państwa Lambów, leżące obok siebie na podłodze w kuchni, a ponadto zwłoki drugiego mężczyzny, jeszcze niezidentyfikowanego. W pokoju na pierwszym piętrze znaleziono dziesięciomiesięczną dziewczynkę. Dziecku zapewniono już opiekę i nie stwierdzono uszczerbku na zdrowiu. Sąsiedzi zeznali, że w ostatnich latach w posiadłości mieszkało kilkoro dzieci, a także dorosłych, lecz na miejscu nie odnotowano obecności innych lokatorów.

Przyczyna śmierci pozostaje nieznana, aczkolwiek wczesne badania krwi zdają się sugerować, że troje zmarłych zażyło truciznę.

Henry Lamb (lat 48) był jedynym spadkobiercą majątku ojca, Harry'ego Lamba z Blackpool w Lancashire. W ostatnich latach uskarżał się na problemy ze zdrowiem i musiał korzystać z wózka inwalidzkiego.

Policja jest w trakcie poszukiwań córki i syna państwa Lambów, w wieku odpowiednio około czternastu i szesnastu lat. Osoby posiadające informacje na temat możliwego miejsca pobytu tych dzieci proszone są o zgłoszenie się na najbliższy komisariat. Funkcjonariusze proszą też o kontakt tych, którzy przebywali w domu państwa Lambów w ostatnich latach.

– Czy to...? – pyta Libby, wpatrując się w pana Royle'a. – Czy tym niemowlęciem jestem ja?

Prawnik kiwa głową. W jego oczach widać szczyry smutek.

– Obawiam się, że tak. Ponura historia, nieprawdaż? I wielka tajemnica. Mam na myśli dzieci państwa Lambów. Fundusz

powierniczy obejmował też ich, lecz żadne nie zgłosiło się po spadek. Mogę się domyślać, że już... nieważne. – Nachyla się do przodu, ściska krawat i uśmiecha się boleśnie. – Mogę zaproponować długopis?

Przechyla w jej stronę drewniany pojemnik wypełniony ewidentnie drogimi długopisami, a Libby wyciąga jeden z nich. Złotymi literami nadrukowano na nim nazwę kancelarii.

Przez chwilę wpatruje się w niego bezmyślnie.

Brat.

Siostra.

Samobójczy pakt.

Potrząsa nieznacznie głową, po czym chrząka i mówi:

– Dziękuję.

Jej palce mocno ściskają długopis. Ledwo przypomina sobie, jak wygląda jej podpis. Na brzegach dokumentów ktoś przykleił plastikowe strzałki w miejscach, gdzie powinna się podpisać. Skrobanie długopisu po papierze jest wręcz nieznośne. Pan Royle obserwuje niewinnie; przesuwając nieco filiżankę na biurku, raz w jedną, raz w drugą stronę.

Libby bardzo wyraźnie odczuwa wagę tej chwili; tę niewidzialną granicę oddzielającą poprzednią część jej życia od następnej. Po jednej stronie tej sterty papierów znajdują się skrzętne wędrowniki z wózkiem po Lidlu, tydzień wakacji w roku i jedenastoletni vauxhall corsa. Po drugiej – klucze do ośmiopokojowego domu w Chelsea.

– Dobrze – mówi prawnik, niemal z ulgą, gdy Libby oddaje mu dokumenty. – Dobrze, dobrze, dobrze. – Przegląda je, spoglądając na miejsca obok strzałek, po czym podnosi wzrok na samą Libby i uśmiecha się. – Chyba nadszedł czas na przekazanie kluczy. – Wyciąga z szuflady niedużą kopertę z folią bąbelkową. Na etykiecie widać napis „Cheyne Walk 16”.

Libby zagląda do środka. Trzy zestawy kluczy. Jeden z metalowym brelokiem z logo Jaguara. Jeden z brązu,

z wbudowaną zapalniczką. I jeszcze jeden bez kółka.

Prawnik wstaje zza biurka.

– Może obejrzymy dom? Przejdźmy się, stoi tuż za rogiem.

Żar leje się z nieba. Libby przez podeszwy płóciennych butów czuje ciepło bijące od chodnika, promienie słońca grzeją przez cienką warstwę chmur. Razem z prawnikiem idą w dół ulicy pełnej restauracji, wszystkie mają ogródki, w których stoliki ustawiono na specjalnych platformach, razem z rzucającymi na nie cień wielkimi kwadratowymi parasolami. Kobiety w dużych okularach siedzą po dwie albo trzy i popijają wino. Niektóre są w jej wieku i Libby zastanawia się, jakim cudem stać je na wino w eleganckiej restauracji w poniedziałkowe popołudnie.

– Jeśli zdecyduje się pani zamieszkać w domu, to może być pani osiedle – rzuca pan Royle.

Libby kręci głową i śmieje się nerwowo. Nie potrafi nawet sformułować odpowiedzi, to wszystko jest zbyt absurdalne.

Mijają maleńkie butiki i sklepy z antykami, a w nich wypchane lisy i niedźwiedzie z brązu, ogromne błyszczące żyrandole wielkości jej wanny. A potem zbliżają się do rzeki i Libby czuje jej zapach, zanim jeszcze ją zobaczy; przywodzi na myśl mokrego psa. Dwie szerokie łodzie przepływają obok siebie, później jakaś mniejsza, a na niej kolejni bogacze: szampan w srebrzystym wiaderku z lodem, na dziobie mrużący oczy w słońcu golden retriever ze zmierzwioną przez wiatr sierścią.

– Jeszcze kawałeczek, za minutę albo dwie będziemy na miejscu – odzywa się pan Royle.

Libby czuje, jak ocierają jej się uda, i żałuje, że nie założyła spodenek zamiast spódnicy. Pot wsiąka jej w materiał na samym środku stanika, gdzie zbiegają się miseczki. Domyśla się, że dla

prawnika ubranego w dopasowany garnitur i koszulę ta pogoda jest również nieznośna.

– Oto on – mówi pan Royle i odwraca się w stronę szeregowca składającego się z pięciu czy sześciu ceglanych domów, z których każdy ma inną wysokość i szerokość. Libby od razu poznaje, który z nich należy do niej, jeszcze zanim dostrzeże zamazystą szesnastkę namalowaną na szybie półkolistego okienka. Budynek ma trzy kondygnacje i cztery okna w rzędzie. Jest piękny, lecz, tak jak przewidywała, zabity deskami. Komin i rynny zarosły chwastami. Dom jest w opłakanym stanie.

Mimo to nadal jest piękny. Libby wciąga gwałtownie powietrze.

– Ogromny – rzuca.

– Tak, łącznie dwanaście pomieszczeń. Nie licząc piwnicy.

Budynek stoi w sporym oddaleniu od chodnika, za misternie zdobionym metalowym ogrodzeniem i zaniedbanym ogródkiem. Nad drzwiami wejściowymi znajduje się okap z podstawą z kutego żelaza, a po lewej stronie stoi działo na betonowym bloku.

– Chciałaby pani, żebym to ja czynił honory? – pyta pan Royle, wskazując na kłódkę zabezpieczającą drewnianą osłonę na drzwiach.

Libby kiwa głową i prawnik odpina kłódkę, po czym podważa osłonę. Słychać okropne skrzywienie i pokazują się duże, czarne drzwi. Mężczyzna pociera palce, a następnie metodycznie sprawdza każdy klucz, dopóki nie znajdzie właściwego.

– Kiedy ostatni raz ktoś wchodził do środka? – pyta Libby.

– Rany, chyba kilka lat temu, kiedy pękła jakaś rura. Musieliśmy wzywać hydraulików, naprawić parę rzeczy. Takie tam. Zapraszam.

Wchodzą do przedpokoju. Żar lejący się z nieba, odgłosy ruchu ulicznego, echo szumu rzeki – to wszystko zostaje za ich plecami. We wnętrzu panuje chłód. Parkiet z ciemnych desek jest porysowany i pokryty warstwą kurzu. Przed nimi znajdują się równie ciemne schody z wijącym się wzorem na poręczy i rzeźbioną miską

pełną owoców na słupku. Drzwi mają rzeźbione zdobienia, podobnie jak klamki z brązu. Ściany do połowy wysokości są wyłożone panelami z tego samego ciemnego drewna, a wyżej wyklejone sfatygowaną tapetą w kolorze czerwonego wina, w której mole wyjadły duże łyse plamy. Powietrze jest zatechłe, czuć w nim zapach kurzu. Jedyne źródłem światła są małe okienka nad drzwiami.

Libby wstrząsa dreszcz. W tym wnętrzu jest za dużo drewna i za mało światła. Za mało powietrza. Czuje się, jakby weszła do trumny.

– Mogę? – pyta, chwytając klamkę najbliższych drzwi.

– Proszę robić, co się pani żywnie podoba. To w końcu pani dom.

Za nimi mieści się długi i wąski pokój z czterema oknami wychodzącymi na porośnięty gęsto drzewami i krzewami ogród. Znowu drewniane panele. Drewniane okiennice. I parkiet pod stopami.

– A te gdzie prowadzą? – pyta pana Royle’a, wskazując wąskie drzwi wbudowane w panele.

– Do klatki schodowej dla służby. Można nimi wejść prosto do mniejszych pokoi na strychu. Na poziomie pierwszego piętra znajdują się jeszcze jedne takie ukryte drzwi. W starych domach to normalne. Zbudowano je jak klatki dla chomików.

Oglądają dom pokój za pokojem, piętro za pięciem.

– Co się stało ze wszystkimi meblami? Urządzeniami? – pyta Libby.

– Dawno przepadły. Rodzina wyprzedła wszystko do cna, żeby zdobyć fundusze. Spali na materacach. Szyli własne ubrania.

– Czyli byli biedni?

– Tak, w zasadzie można powiedzieć, że byli biedni.

Libby kiwa głową. Nie wyobrażała sobie biologicznych rodziców jako biedaków. Oczywiście pozwoliła sobie na stworzenie zmyślonej rodziny – takie fantazje mają nawet dzieci, które nie zostały adoptowane. Jej zmyśleni rodzice byli młodzi i towarzyscy. Ich dom nad rzeką miał dwie przeszklone ściany i taras dookoła. Mieli psy,

małe, dwie suczki, z obrożami wysadzczanymi diamentami. Jej zmyślona matka pracowała w modowej agencji PR, a zmyślony ojciec był grafikiem. Kiedy była jeszcze malutka, zabierali ją na śniadanie, sadzali w wysokim krześle, odrywali dla niej kawałki brioszek i trącali się stopami pod stołem, gdzie leżały ich pieski, zwinięte w kłębek. Wszyscy zginęli w drodze powrotnej z przyjęcia. Najprawdopodobniej w sportowym samochodzie.

– Znalezione coś jeszcze? Oprócz listu pożegnalnego? – pyta.

Pan Royle kręci głową.

– Cóż, oficjalnie nie. Ale była taka jedna rzecz. Znalezione coś przy dziecku, w łóżeczku. Zdaje się, że ciągle tutaj leży. W pokoju dziecięcym. Pójdziemy?

Podąża za prawnikiem do dużego pomieszczenia na pierwszym piętrze, z dwoma dużymi pionowo otwieranymi oknami. Powietrze jest zatęchłe i ciężkie, w wysokich kątach utworzyły się firanki pajęczyn i kurzu. Na drugim końcu pomieszczenia znajdują się nieduże drzwi, które prowadzą do niewielkiego pokoju. Ma rozmiar garderoby, trzy ściany są zastawione szafami i pomalowanymi na biało komodami ozdobionymi misternymi paciorkami. Na samym środku stoi dziecięce łóżeczko.

– Czy to...?

– Tak. To tutaj panią znaleźli. Zdaje się, że rumianą i radośnie gaworzącą.

Łóżeczko jest w zasadzie kołyską na metalowych biegunach. Pomalowano ją na maślany kolor, z bladoniebieskimi różami. Z przodu wisi mały metalowy znaczek z logo Harrodsa.

Pan Royle sięga na półkę na ścianie z tyłu i ściąga z niej nieduże pudełko.

– Proszę, ktoś umieścił to pod kocykiem. Założyliśmy, podobnie jak policja, że miała być dla dziecka. Przez lata leżała razem z innymi dowodami, lecz po zamknięciu śledztwa odesłali ją nam.

– A co to jest?

– Proszę otworzyć.

Odbiera niewielki karton i podnosi wieko. W środku znajdują się paski porwanych gazet. Libby wkłada między nie palce i natrafia na coś miękkiego. Wyjmuje to i chwytą opuszkami – to królicza łapka na złotym łańcuszku. Libby trochę się wzdryga, łapka zsuwa się i spada na drewnianą podłogę. Dziewczyna schyla się, żeby ją podnieść.

Przeciąga palcami po króliczej łapce, czuje zimną gładkość futra, ostre pazury. Przewleka łańcuszek między palcami drugiej dłoni. Jeszcze tydzień wcześniej miała głowę pełną myśli o nowych sandałach, babskim wypadzie, rozdwojonych końcówkach, podlewaniu kwiatów, a teraz zaprzętała ją tylko ludzie śpiący na materacach, martwe króliki i wielki, straszny dom, pusty, jeśli nie liczyć łóżeczka z Harrodsa z dziwnie upiornymi niebieskimi różami na bokach. Libby odkłada łapkę z powrotem do pudełka i trzyma ją niezręcznie. Potem powoli opuszcza dłoń na materacyk i szuka echa swojego drobnego, pogrążonego we śnie ciała oraz ducha osoby, która jako ostatnia ją tutaj położyła, przykryła kocykiem i zaopatrzyła w króliczą łapkę. Oczywiście niczego nie czuje. Zostało tylko puste łóżeczko i zapach stęchlizny.

– A jakie nadano mi imię? Czy ktoś wie? – pyta.

– Tak – odpowiada pan Royle. – Było zapisane w liście, który zostawili pani rodzice. Serenity^[1].

Nagle dopada ją klaustrofobia. Czuje przemożną potrzebę ucieczki z tego pokoju, lecz takie dramatyczne ruchy nie są w jej stylu. Zamiast tego mówi:

– Możemy teraz obejrzeć ogród? Przydałoby mi się trochę świeżego powietrza.

[1] *Serenity* w języku angielskim oznacza „spokój”.

5

Lucy wyłącza telefon. Musi zachować baterię na wypadek, gdyby Samia próbowała się z nią skontaktować. Odwraca się do Marca, który patrzy na nią z uwagą.

– No co? – rzuca.

– Co to była za wiadomość? W komórce? – pyta Marco.

– Jaka wiadomość?

– Ta, którą widziałem przed chwilą. „*Dziecko kończy dwadzieścia pięć lat*”. Co to znaczy?

– Nic nie znaczy.

– Coś musi znaczyć.

– Wcale nie. Chodzi tylko o dziecko koleżanki. Takie przypomnienie, że skończyło dwadzieścia pięć lat. Muszę jej wysłać kartkę.

– Jakiej koleżanki?

– Z Anglii.

– Ale nie masz żadnych koleżanek w Anglii.

– Oczywiście, że mam. Przecież się tam wychowałam.

– No dobra, a jak się nazywa?

– Kto jak się nazywa?

Marco stęka z frustracji.

– Twoja koleżanka z Anglii.

– A jakie to ma znaczenie? – odpowiada ostro Lucy.

– Takie, że jesteś moją mamą i chcę wiedzieć o tobie różne rzeczy. A nie wiem nic, dosłownie nic.

– To absurd. Wiesz o mnie bardzo dużo.

Patrzy na nią szeroko otwartymi oczami, oszołomiony.

– Na przykład co? No, wiem tyle, że twoi rodzice umarli, gdy byłaś jeszcze mała. Wiem, że wychowywała cię ciocia z Londynu, zabrała cię do Francji, nauczyła grać na skrzypcach i umarła, gdy miałaś osiemnaście lat. Więc znam twoją historię. Ale nie znam żadnych szczegółów. Na przykład gdzie chodziłaś do szkoły, kim byli twoi przyjaciele, co robiłaś w weekendy i jakie przydarzyły ci się ciekawe rzeczy albo nawet takie normalne.

– To skomplikowane – odpowiada Lucy.

– Wiem, że to skomplikowane, ale mam dwanaście lat i nie możesz mnie już dłużej traktować jak małe dziecko. Musisz zacząć mi mówić o różnych sprawach.

Lucy patrzy na swojego syna. Marco ma rację. Urósł i nie chce dłużej słuchać bajek. Przekonał się, że w życiu kryje się coś więcej niż tylko najważniejsze wydarzenia, że życie tworzą wszystkie chwile pomiędzy nimi.

Wzdycha.

– Nie mogę. Jeszcze nie.

– No to kiedy?

– Niedługo. Jeśli uda nam się pojechać do Londynu, opowiem ci wszystko.

– A jedziemy tam?

Znowu wzdycha i zagarnia włosy do tyłu.

– Naprawdę nie wiem. Nie mam pieniędzy. Ty i Stella nie macie paszportów. I pies. To wszystko jest takie...

– Zadzwoń do taty – przerywa jej Marco.

– Nie ma mowy.

– Możemy się spotkać w jakimś publicznym miejscu. Niczego nie będzie próbował.

– Marco, nawet nie wiemy, gdzie on jest.

Zapada dziwna cisza. Lucy czuje, że jej syn wierci się, znowu chowa twarz w psiej sierści.

– Ja wiem.

Lucy odwraca się szybko, patrzy ostro na chłopca. On zamyka oczy, za chwilę otwiera je z powrotem.

– Odebrał mnie ze szkoły.

– Kiedy?!

Marco wzrusza ramionami.

– Kilka razy właściwie. Pod koniec roku.

– I nic mi o tym nie powiedziałaś?

– Zabronił mi.

– Kurwa, Marco. – Bije pięścią w ziemię. – Co się stało? Gdzie cię zabrał?

– Nigdzie. Tylko się ze mną przeszedł.

– No i?

– Co no i?

– Co powiedział? Co tutaj robi?

– Nic. Przyjechał na wakacje. Z żoną.

– I gdzie teraz jest?

– Nadal tutaj. Będzie do końca lata. W domu.

– W domu domu?

– Tak.

– Boże, Marco! Dlaczego nic mi wcześniej nie mówiłeś?

– Bo wiedziałem, że się wściekniesz.

– Wcale się nie wściekam. Popatrz na mnie. Nie jestem ani trochę wściekła. Tak tylko sobie siedzę na twardej, mokrej ziemi pod wiaduktem i nie mam gdzie spać, a tymczasem twój ojciec pławi się w luksusie raptem kilometr czy dwa stąd. Dlaczego miałabym się wściekać?

– Przepraszam – rzuca Marco i cmoka z niezadowoleniem. – Mówiłaś, że nie chcesz go nigdy więcej oglądać.

– To było wtedy, gdy nie musiałam spać pod wiaduktem.

– Czyli jednak chcesz go jeszcze zobaczyć?

– Raczej chcę wydostać się z tego gówna. A on jest naszą jedyną szansą. Mógłby przynajmniej zapłacić za naprawę skrzypiec.

– Ach, no tak, bo wtedy już będziemy bogaci, prawda?

Lucy zaciska dłonie w pięści. Jej syn zawsze potrafi doskonale ubrać nieprzyjemną myśl w słowa i zdzielić ją nimi prosto w twarz.

– Jest środek lipca. Niedługo wszystkie brytyjskie i niemieckie szkoły będą miały zakończenie roku. Przyjedzie dwa razy więcej turystów. Zarobienie na wyjazd nie powinno mi zająć zbyt wiele czasu.

– Dlaczego nie możesz po prostu poprosić taty, żeby za nas zapłacił? Wtedy moglibyśmy wyjechać i tyle. Naprawdę chcę jechać do Londynu. Chcę uciekać stąd. Poproś tatę o pieniądze. Dlaczego nie możesz tego zrobić?

– Bo nie chcę, by wiedział, że jedziemy. Nikt nie może o tym wiedzieć. Nawet mémé, okej?

– Okej – odpowiada i kiwa głową.

Gdy chłopiec opuszcza brodę, Lucy widzi kępki matowych włosów, które utworzyły mu się z tyłu czaszki przez ten tydzień, gdy nie mieli dachu nad głową. Serce ją boli i obejmuje dłonią ten szczupły chłopięcy kark, ściska delikatnie.

– Przepraszam, syneczku. Przepraszam za wszystko. Jutro zobaczymy się z twoim ojcem i wtedy wszystko zacznie się poprawiać, obiecuję.

– Tak, ale nigdy nie będzie normalnie, prawda? – wypala Marco.

Nie, myśli sobie w duchu. Pewnie nie będzie.

6

CHELSEA, 1988

Birdie pojawiła się jako pierwsza. Birdie Dunlop-Evers.

Moja matka poznała ją w takim czy innym miejscu. Na jakimś przyjęciu. Birdie grała na skrzypcach w zespole pop o nazwie Original Version i była nawet trochę znana. Wydali jakiś skrzekliwy kawałek, który prawie wspiął się na pierwsze miejsce listy przebojów, dwa razy pojawili się w *Top of the Pops*. Nieszczególnie się tym interesowałem. Nigdy nie przepadałem za muzyką popularną, a traktowanie gwiazd jak półbogów trochę mnie brzydzi.

Siedziała w naszej kuchni i popijała herbatę z jednego z naszych brązowych kubków. Aż podskoczyłem na jej widok. Miała długie i cienkie włosy aż do pasa, męskie spodnie związane paskiem, pasiastą koszulkę i szelki, a do tego długi szary płaszcz i zielone rękawiczki bez palców. Wydawała się zupełnie nie na miejscu. Jedyni ludzie, jacy się u nas pokazywali, ubierali się w ręcznie szyte garnitury i ciętą na skos satynę, a czuć od nich było wodę po goleniu Christiana Diora albo l'Air du Temps.

Gdy wszedłem, Birdie podniosła na mnie wzrok, te swoje błękitne oczka z cienkimi narysowanymi ołówkiem brwiami. Jej surowe usta nie zamykały się do końca na dwóch rzędach drobnych zębów, a raczej słabo zarysowana broda wydawała się zapadać pod

ciężarem pozbawionej radości twarzy. Myślałem, że się uśmiechnie, ale nie.

– Henry – odezwała się matka. – Poznaj Birdie! To ta pani z zespołu, o której ci opowiadałam.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– Dzień dobry – odparła. Budziła we mnie mieszane uczucia; brzmiała jak dyrektorka mojej szkoły, ale wyglądała jak żebraczka.

– Zespół Birdie chce nagrać w naszym domu teledysk! – oznajmiła matka.

Przyznaję, że w tamtym momencie musiałem trochę udawać brak zainteresowania. Zachowałem beznamiętny wyraz twarzy i bez słowa ruszyłem w stronę stoika z ciasteczkami stojącego na kuchennym blacie, żeby jak zawsze po powrocie ze szkoły zjeść coś słodkiego. Wybrałem dwa herbatniki Malted Milk i nalałem sobie mleka. Dopiero potem powiedziałem:

– Kiedy?

– W przyszłym tygodniu. Mieliśmy już wybraną lokację, ale ich zalało czy coś. I odwołali – odrzekła Birdie.

– Dlatego zaproponowałam, żeby obejrzała nasz dom – ciągnęła opowieść matka.

– No i jestem.

– No i jest.

Pokiwałem głową od niechcenia. Chciałem zapytać, kiedy przyjadą i czy mógłbym zrobić sobie wtedy wolne od szkoły, żeby pomagać, jednak ani wtedy, ani później nie byłem człowiekiem okazującym entuzjazm. Dlatego zamoczyłem ciasteczko w mleku, tak jak zawsze, do „t” w nazwie Malted Milk, gdzie zad stojącej krowy spotyka się z głową tej siedzącej, a potem zjadłem je w milczeniu.

– Moim zdaniem to genialny pomysł – odezwała się Birdie, pokazując gestem wewnątrz. – Właściwie wasz dom jest lepszy niż poprzednia lokacja. Zdaje się, że trzeba będzie podpisać parę rzeczy. – Przewróciła oczami. – No wiesz, zrzeczenie się roszczeń,

w razie jakbyśmy wzniecili pożar czy coś. Albo na wypadek gdyby głowa łosia spadła na kogoś z ekipy i go zabiła. Takie tam.

– Tak, tak – rzuciła matka, jakby codziennie zdarzało jej się podpisywać papiery na wypadek śmiertelnych zdarzeń z udziałem wypchanych łosi. – To ma sens. Oczywiście muszę też porozmawiać z mężem, ale na pewno się ucieszy. Uwielbia waszą muzykę.

Podjeżdżałem, że to nieprawda. Mój ojciec lubił przyśpiewki kibiców rugby i sprośne opery. Za to na pewno odpowiadałoby mu zamieszanie i przebywanie w centrum uwagi, a poza tym lubił swój dom, więc zachwywanie się nim to prosta droga do zdobycia jego przychylności.

Birdie wyszła kilka minut później. Na stole obok kubka zostawiła kopczyk obskubanych skórek i na jego widok zrobiło mi się trochę niedobrze.

Teledysk kręcili przez dwa dni i okazało się to znacznie nudniejsze, niż się spodziewałem. Większość czasu spędzali na niekończącym się dopracowywaniu oświetlenia i powtarzaniu ciągle tych samych ujęć. Wszyscy członkowie zespołu byli ubrani w brązowe ciuchy, które wyglądały, jakby mogły śmierdzieć, ale na pewno nie śmierdziały, bo kobieta zajmująca się garderobą przyniosła je w foliowych pokrowcach. Na koniec dnia ich piosenka brzęczała mi w czaszce jak uwięziona mucha. To był fatalny kawałek, a jednak wspiął się na szczyt listy przebojów i nie spadał przez dziewięć długich, potwornych tygodni. Teledysk puszczano absolutnie wszędzie; nasz dom oglądały miliony.

Muszę przyznać, że sam teledysk był dobry. Nawet trochę się ekscytowałem tym, że mogłem mówić ludziom, że nagrano go w moim domu. Lecz mijały tygodnie i podnieta wyparowała, bo długo po wyjściu ekipy filmowej, długo po tym, jak ten i następny kawałek

spadł z list przebojów, Birdie Dunlop-Evers, ze swoimi oczkami jak paciorki i maleńkimi ząbkami, wciąż nie opuszczała naszego domu.

Libby pracuje dla firmy projektującej ekskluzywne zabudowy kuchenne. Ma stanowisko kierowniczkę działu sprzedaży, a jej biuro znajduje się w centrum St Albans, niedaleko katedry. Dowodzi zespołem składającym się z dwóch menedżerów sprzedaży i dwóch asystentów menedżera sprzedaży, a nad nią są jeszcze starszy dyrektor sprzedaży i dyrektor zarządzający. Znalazła się w połowie drabiny awansu, zaś wspinanie się po niej przez ostatnie trzy lata było jej głównym celem. W jej głowie zrodziło się przekonanie, że właśnie buduje most do życia, które rozpocznie się po trzydziestce. Jako trzydziestolatka zostanie dyrektorką sprzedaży, a jeśli nie, odejdzie do innej firmy. Potem weźmie ślub z mężczyzną, którego właśnie próbuje znaleźć zarówno w sieci, jak i w prawdziwym życiu; mężczyzną ze zmarszczkami mimicznymi, psem i/lub kotem, interesującym nazwiskiem, do którego będzie mogła dodać swoje własne. Będzie zarabiał tyle co ona albo więcej, lubił przytulanie bardziej niż seks i chodził w eleganckich butach. Będzie miał też piękną skórę bez tatuaży, ładne stopy i miłą mamę, a do tego minimum metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, chociaż najlepiej metr osiemdziesiąt i więcej. Zamiast życiowego bagażu dorobi się dobrego samochodu i rysującego się pod skórą sześciopaka, chociaż płaski brzuch wystarczy.

Ten mężczyzna jeszcze się nie zmaterializował i Libby zdaje sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie ma nieco zbyt proskrytywne podejście do poszukiwań. Niemniej zostało jej pięć lat na doprowadzenie do ślubu, potem pięć kolejnych na urodzenie dziecka, a może nawet dwójki, jeśli pierwsze jej się spodoba. Nie śpieszy się. Jeszcze nie. Będzie po prostu nadal przeglądać Tindera, szykować się na wyjścia, przyjmować zaproszenia na spotkania towarzyskie, myśleć optymistycznie, dbać o linię, trzymać ramę i przeć do przodu.

Kiedy Libby wstaje do pracy, wciąż jest jeszcze gorąco, a powietrze zdaje się mieć perłowy poblask już o ósmej rano.

Całą noc przespała przy otwartym oknie, chociaż wiedziała, że odradza się to kobietom. Ustawiła na parapecie rząd szklanek, żeby w razie włamania zapewnić sobie jakieś ostrzeżenie. Mimo to i tak przez całą noc wierciła się w łóżku; pościel rano była wymiętolona.

Słońce obudziło ją z krótkiego snu, niczym laser świeciło w wąskiej szczelinie między zasłonami, w ciągu kilku minut zdążyło nagrzać cały pokój. Przez chwilę wszystko wydawało się normalne. A potem przestało. Jej myśli gwałtownie wróciły do poprzedniego dnia, do ciemnego domu i drewnianych paneli na ścianach, ukrytej klatki schodowej, króliczej łapki, jasnoniebieskich różyczek na dziecięcym łóżeczku. Czy to wszystko naprawdę się wydarzyło? Czy dom nadal tam stał, czy może po jej odejściu rozsypał się w proch?

Tego dnia pojawia się w pracy jako druga. Dido, główna projektantka, zdążyła już włączyć klimatyzację i usiąść za biurkiem. Chłodne powietrze rozkosznie owiewa jej mokrą skórę, ale Libby wie, że za pół godziny będzie marznąć i żałować, że nie zabrała swetra.

– Dzień dobry – mówi Dido, nie podnosząc wzroku znad klawiatury. – I jak poszło?

Poprzedniego dnia powiedziała jej w tajemnicy, że potrzebuje wolnego, bo wybiera się na spotkanie z prawnikiem w sprawie

spadku. Nie wspomniała o adopcji ani o tym, że być może odziedziczy dom, jedynie tyle, że chodzi o starszego krewnego i prawdopodobnie kilkaset funtów. Dido bardzo się podekscytowała wizją kilkuset funtów i Libby wydawało się, że może nie być gotowa na oglądanie jej reakcji, kiedy wyjawi jej prawdę. Ale teraz, we wtorkowy poranek, gdy już dotarła do biura, są tylko we dwie, swojej najbliższej koleżanki April nie zobaczy aż do weekendu, a nikomu innemu w zasadzie nie mogła się z tego zwierzyć, więc postanowiła jednak podzielić się tą historią. Może Dido, dwanaście lat od niej starsza, udzieli jej jakiejś mądrej albo użytecznej rady, która pomoże przetrwać coś tak niespotykanego.

– Odziedziczyłam dom – oznajmia Libby, nalewając wody do ekspresu.

– Bardzo śmieszne – rzuca Dido, wyraźnie jej nie wierząc.

– Ale to prawda. Dom w Chelsea, nad rzeką.

– Chelsea w Londynie? – dopytuje Dido, której opadła szczęka.

– Tak. Nad rzeką. Jest ogromny.

– Wkręcasz mnie, prawda?

– Nie – odpowiada, kręcąc głową.

– O mój Boże, czyli w zasadzie jesteś milionerką? – wypala Dido.

– Chyba tak.

– A jednak przyszłaś do pracy przy kuchniach we wtorkowy poranek jak zwykły, szary człowiek.

– Jeszcze to wszystko do mnie nie dotarło.

– Boże, Libby, na twoim miejscu docierałoby to do mnie przy lampce szampana w ogrodzie St Michael's Manor.

– Jest za dwadzieścia dziewięć.

– No to przy filiżance herbaty. I talerzu jajek po benedyktyńsku. Co ty tu jeszcze robisz, na Boga?

Libby czuje, że jej szwy rozluźniają się i rozchodzą na myśl, że nie musi tutaj być, że niezachwiana drabina, której trzymała się

kurczowo, jakby od tego zależało jej życie, nagle zmieniła się w stertę złotych monet. Wszystko wywróciło się do góry nogami.

– Dowiedziałam się o tym raptem wczoraj! Jeszcze go nie sprzedałam. Może mi się to nie uda.

– Ta, jasne, bo nikt nie chce domu w Chelsea, z oknami wychodzącymi na Tamizę.

„*Mniej więcej sześć albo siedem milionów funtów*”. Właśnie taką szacunkową wartość podał jej poprzedniego dnia prawnik, kiedy wreszcie zebrała się na odwagę, by zapytać. Minus koszty opłat dla kancelarii. A potem jeszcze będzie trzeba uiścić podatek spadkowy. Powiedział, że zostanie z tego jakieś trzy i pół miliona.

Przybił jej piątkę. Pomylił ją z młodymi ludźmi, o których czytywał w gazetach. To było dziwne.

– Jest w kiepskim stanie – mówi Libby. – I ma nieciekawą historię.

– Jaką?

– Zmarli w nim ludzie. W podejrzanych okolicznościach. Moi dalecy krewni. – Już miała wspomnieć o niemowlęciu w łóżeczku, ale ugryzła się w język.

– Nie gadaj!

– No, trochę to szokujące. Dlatego na razie postanowiłam zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

– Będziesz nadal sprzedawać kuchnie? W St Albans?

– Tak – oświadcza Libby, czując, że powoli wraca do stanu równowagi. – Zamierzam nadal sprzedawać kuchnie w St Albans.

Ostatecznie Marco i Lucy spędzili noc na plaży. Koło drugiej przestał padać deszcz, więc zebrali swoje rzeczy i przeszli dwudziestominutową drogę przez miasteczko na Promenade des Anglais, gdzie rozłożyli na mokrych kamieniach maty do jogi, zawinęli się w sarongi i patrzyli, jak po niebie suną resztki szarych chmur, a różowy księżyc ustępuje miejsca słońcu, które zaczęło przesączać się przez widnokrąg.

O ósmej rano Lucy zebrała wszystkie drobniaki z dna plecaka i torebki; było ich wystarczająco dużo, by kupić croissanty i kawę. Zjedli je na ławce, oboje otępiali przez brak snu i fatalne warunki w nocy. Później poszli z powrotem na drugą stronę miasteczka, żeby zabrać Stellę. Samia nie zaprosiła ich do środka na lunch, chociaż wybiło południe, a po nich było widać, że nie spali w łóżkach. Stella została wykąpana i przebrana w czyste ubrania, jej miękkie kręcone włosy były zaczesane do tyłu i przypięte różowymi spinkami. Kiedy znowu maszerowali przez miasto, Lucy pomyślała, że pewnie wyglądają, jakby ją razem z Markiem uprowadzili.

– Mogę ją wziąć jeszcze na jedną noc – powiedziała Samia, trzymając dłoń na ramieniu małej.

Lucy widziała, jak Stella niemal niezauważalnie próbuje się wyswobodzić i kręci głową.

– To bardzo miłe, ale znalazłam dla nas miejsce na nocleg. – Czują na sobie palące spojrzenie Marca. – Niemniej jestem niezmiernie wdzięczna.

Samia przechyliła nieco głowę i zmrużyła oczy, w milczeniu przeprowadzając ocenę sytuacji. Lucy wstrzymała oddech, czekając na jakiś karcący komentarz na temat jej wyglądu, jej rodzicielstwa, jej udziału w potajemnej ucieczce ukochanego syna. Zamiast tego kobieta podeszła powoli do stolika znajdującego się w połowie korytarza i wyciągnęła z torebki portmonetkę. Zajrzała do środka i wyjęła dwadzieścia euro, które przekazała Lucy.

– To wszystko. Więcej nie mam – powiedziała.

Lucy przyjęła banknot, nachyliła się i uścisnęła Samię.

– Dziękuję. Niech Bóg ci błogosławi.

Teraz ona, dzieci i pies idą razem po Promenade des Anglais w palącym popołudniowym słońcu z torbą czystych ubrań z pralni samoobsługowej i brzuchami pełnymi kanapek z serem i coca-coli. Ruszają w stronę jednego z wielu klubów, które stoją na plaży w Nicei: Le Beach Club Bleu et Blanc.

Lucy w przeszłości zdarzało się tu jadać. Siedziała przy tutejszym stoliku z ojcem Marca, przed nią stał talerz z owocami morza i kieliszek szampana albo spritzera z białym winem, a ulgę od gorąca zapewniały im regularne prysnięcia chłodnej wody z małych dysz. Teraz nikt by jej tutaj nie poznał, żaden z tych zadzierających nosa starych kelnerów w absurdalnie modnych niebiesko-białych koszulkach polo. Dwanaście lat temu była zjawiskowa.

Na ławce w wejściu do lokalu siedzi kobieta. Jest jedną z tych blondynek, które można znaleźć tylko na południu Francji; taką z waniliowymi włosami i ciemną, spieczoną skórą. Zerka obojętnie na Lucy, obrzuca oceniającym spojrzeniem ją, Marca i psa, po czym znowu wbija wzrok w ekran komputera. Lucy udaje, że czeka na kogoś, kto ma przyjść z plaży, osłaniając oczy przed słońcem

i wyglądając w stronę horyzontu do czasu, aż uwagi kobiety nie odwróci nadejście piątki gości.

– Teraz. Już – syczy.

Bierze psa na ręce i pcha Stellę przed siebie. Serce bije jej jak oszalałe, gdy maszeruje po drewnianej platformie za restauracją tak nonszalanckim krokiem, na jaki tylko ją stać, kierując się do pryszniców. Patrzy przed siebie.

– Nie zatrzymuj się – szepcze ostro do Stelli, która z jakiegoś powodu staje w połowie drogi. Potem wreszcie docierają na miejsce, do zawilgoconego, parnego półmroku pryszniców.

„Zarezerwowane wyłącznie dla gości Le Beach Club Bleu et Blanc”, głoszą liczne tabliczki przybite do drewnianych ścian. Betonowa podłoga jest zapiaszczona i mokra, a powietrze zatęchłe. Lucy prowadzi Stellę na prawo. Jeśli uda im się przedostać za wahadłowe drzwi i nikt ich nie zauważy, potem już pójdzie z górki.

No i weszli. Pod prysznicami nikogo nie ma. Pierwszy raz od niemal ośmiu dni mają z Markiem okazję się rozebrać. Lucy wyrzuca majtki do kosza; nie chce ich już nigdy więcej zakładać. Wyciąga z plecaka szampon i odżywkę, kostkę mydła oraz ręcznik. Zabiera ze sobą psa, wmasowuje szampon w jego sierść, pod ogonem, pod obrozą, za uszami. Zwierzę stoi spokojnie i bez ruchu, prawie jakby wiedziało, że to ważne. Potem Lucy przekazuje go Stelli, która czeka na zewnątrz. Psina otrzepuje się, opryskana dziewczynka chichocze. I wtedy Lucy może stanąć pod natryskiem, woda płynie jej po głowie, twarzy, uszach, pod pachami, między nogami i palcami u stóp. Wydarzenia ostatniego tygodnia zdają się znikać w odpływie razem z kurzem, błotem i solą. Lucy nakłada szampon na włosy, przeciąga po długich kosmykach. Podaje butelkę Markowi, który myje się w kabinie obok. Patrzy, jak w szczelinie między nimi łączą się strugi szarej, brudnej wody.

– Dobrze umyj włosy na karku, Marco – mówi. – Strasznie ci się posklejały. I pod pachami. Naprawdę porządnie wyszoruj pachy.

Po wszystkim siadają obok siebie na drewnianej ławce, owinięci w ręczniki. Przez szpary między deskami widzą ludzi przechodzących po drugiej stronie, paski niebieskiego nieba; w powietrzu unosi się zapach rozgrzanego słońcem drewna i smażonego czosnku. Lucy wzdycha. Spadł z niej ogromny ciężar, jednak nie jest jeszcze do końca gotowa na następny krok.

Zakładają czyste ubrania, psikają się dezodorantem, Lucy wklepuje krem nawilżający w skórę twarzy, a dzieciakom daje krem z filtrem. Na dnie kosmetyczki ma buteleczkę perfum, pryska się za uszami i między piersiami. Zwija mokre włosy w koczek i spina plastikową spinką. Spogląda na swoje odbicie w lustrze. Już prawie czterdzieści lat na karku. Bezdomna. Samotna. Bez grosza przy duszy. Nawet nie jest tą, za którą się podaje. Imię też ma fałszywe. Jest duchem. Żywym, oddychającym duchem.

Nakłada trochę maskary, odrobinę błyszczczyka, poprawia wisiołek na złotym łańcuszku, żeby wylądował na jej opalonym dekolcie. Patrzy na dzieci: są piękne. Pies wygląda nieźle. Wszyscy ładnie pachną. Zjedli śniadanie. Już dawno nie było tak dobrze.

– Dobra – mówi do Marca, wciskając brudne ubrania do plecaka i zasuważąc zamek. – Idziemy zobaczyć się z twoim tatą.

CHELSEA, 1988

Obserwowałem wszystko ze schodów, więc już wiedziałem. Mężczyzna z ciemnymi włosami, kapeluszem z szerokim rondem, w luźnej kurtce, tweedowych spodniach z nogawkami wsuniętymi w wysokie sznurowane buty. Stare walizki przypominające rekwizyty filmowe i wiklinowy kosz na kota spięty wyświechtanym skórzanym paskiem. I Birdie stojąca u jego boku, w sukience wyglądającej jak koszula nocna.

– Skarbie! – zawołała matka do ojca. – Chodź i poznaj Justina!

Patrzyłem, jak ojciec wychodzi z gabinetu. Trzymał w zębach cygaro i miał na sobie włochaty zielony sweter.

– Czyli jesteś chłopakiem Birdie, tak? – zapytał, ściskając dłoń mężczyzny, trochę zbyt mocno.

– Partnerem – wtrąciła Birdie. – Justin jest moim partnerem.

Ojciec popatrzył na nią jak zawsze, gdy wydawało mu się, że ktoś celowo robi z niego idiotę, jakby rozważał użycie przemocy. Jednak szybko mu przeszło i zaraz zmusił się do uśmiechu.

– Tak, oczywiście. Tak się teraz mówi, prawda?

Birdie powiedziała mojej matce, że ona i jej partner potrzebują miejsca do spania na kilka nocy. Właściciel mieszkania wyrzucił ich na bruk, bo przygarnęli kota – co za kretyn bierze kota, nie sprawdzając warunków wynajmu? Nie miałem nawet jedenastu lat,

nigdy nie mieszkałem w wynajętym lokalu, a to wiedziałem – i Birdie nie miała się do kogo zwrócić o pomoc. Jako dorosły, liczący czterdzieści jeden lat mężczyzna używam tego stwierdzenia, gdy zależy mi, by ludzie zrobili to, co chcę. *Jesteś moją ostatnią deską ratunku*. W ten sposób pozbawiasz taką zmanipulowaną osobę drogi ucieczki. Jedynym wyjściem jest kapitulacja. I właśnie to zrobiła matka.

– Ależ my mamy tyle pustych pokoi – powiedziała, widząc moje niezadowolenie. – A poza tym to tylko na kilka dni.

Moim zdaniem matka po prostu chciała, by w jej domu zamieszkała gwiazda popu.

Siostra minęła mnie na schodach i zatrzymała się, wciągając gwałtownie powietrze na widok kociego koszyka.

– Jak się wabi? – zapytała i zaraz padła na kolana, żeby zajrzeć do środka.

– To kotka. Nazywa się Suki – odparła Birdie.

– Suki – powtórzyła siostra, wciskając palce w drewnianą kratkę. Kot otarł się o jej dłoń i głośno zamruczał.

Mężczyzna o imieniu Justin podniósł swoją walizkę-rekwizyt i powiedział:

– Gdzie możemy zostawić nasze rzeczy, Martino?

– Mamy dla was bardzo ładny pokój na samej górze. Dzieci, zaprowadźcie naszych gości do żółtego pokoju, dobrze?

Moja siostra poszła przodem. Była zdecydowanie bardziej towarzyska niż ja. Mnie dorośli trochę przerażali, ona wydawała się za nimi przepadać. Miała na sobie zieloną piżamę, a ja szlafrok w szkocką kratę i niebieskie filcowe

kapcie. Była już prawie dziewięta i szykowaliśmy się do pójścia spać.

– Och – rzuciła Birdie, gdy siostra otworzyła ukryte w panelach ściennych drzwi, za którymi znajdowały się schody na górę. – Gdzie ty nas zabierasz?

– To są tylne schody. Prowadzą do żółtego pokoju.

– Masz na myśli wejście dla służby? – dopytywała Birdie, pociągając nosem.

– Tak – odparła moja siostra radośnie, bo chociaż była ode mnie tylko półtora roku młodsza, nie rozumiała jeszcze, że nie każdy spanie w ukrytych pokojach na szczycie ukrytych schodów uznałby za przygodę; niektórzy mogliby uważać, że należy im się porządny duży pokój, i poczuliby się urażeni.

Na końcu ukrytych schodów znajdowały się drewniane drzwi prowadzące do długiego, wąskiego korytarza, gdzie ściany były trochę krzywe i nierówne, a wypaczone deski parkietu ugiwały się pod stopami, przez co chodzenie po nich przypominało spacer w poruszającym się pociągu. Żółty pokój był najładniejszy ze wszystkich tutaj. Miał trzy okna w suficie i wielkie łóżko z żółtą kołdrą, która pasowała do żółtej tapety od Laury Ashley i modnych lamp z niebieskimi szklanymi kloszami. Matka włożyła do wazonu żółte i czerwone tulipany. Obserwowałem twarz Birdie, gdy patrzyła na to wszystko; pochyliła nieco głowę, jakby chciała powiedzieć: „Może wystarczy”.

Zostawiliśmy ich tam, a ja poszedłem za siostrą, która w podskokach wróciła na dół i udała się do kuchni.

Tata właśnie otwierał wino. Mama miała na sobie fartuszek z falbankami i mieszała sałatkę.

– Jak długo będą u nas mieszkać? – wypaliłem, nie potrafiąc się powstrzymać. Zobaczyłem, jak ojciec krzywi się, słysząc w moim głosie cień zuchwalstwa.

– Och, niedługo. – Matka zakorkowała butelkę czerwonego octu winnego i odłożyła ją na bok, uśmiechając się łagodnie.

– Możemy zostać do późna? – zapytała siostra, nie zastanawiając się nad długofalowymi konsekwencjami i dostrzegając tylko czubek własnego nosa.

– Nie dzisiaj. Może jutro, w końcu to weekend – powiedziała matka.

– A potem wyjadą, prawda? – drążyłem, delikatnie nadwyrężając cierpliwość ojca. – Po weekendzie?

Odwróciłem się, bo zauważyłem, że matka kieruje wzrok w punkt nad moim ramieniem. W progu stała Birdie z kotem na rękach. Zwierzę było brązowo-białe, z pyskiem przywodzącym na myśl egipską królową. Popatrzyła na mnie i oznajmiła:

– Nie zostaniemy długo, chłopcze. Tylko do czasu, aż znajdziemy z Justinem jakieś mieszkanie do wynajęcia.

– Nazywam się Henry – odparłem, bardzo zdumiony faktem, że obca osoba w moim własnym domu miała czelność zwrócić się do mnie per „chłopcze”.

– Henry – powtórzyła Birdie, obrzucając mnie ostrym spojrzeniem. – Tak, oczywiście. – A ponieważ moja siostra wpatrywała się intensywnie w kota, zapytała jeszcze: – Chcesz ją potrzymać?

Siostra pokiwała głową i zaraz w jej rękach znalazł się kot, lecz natychmiast obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni niczym kawałek giętkiego plastiku, który wrócił do swojego kształtu, i skoczył, zostawiając po sobie wyraźne czerwone zadrapanie po wewnętrznej stronie jej przedramienia. Zobaczyłem, jak w oczach małej wzbierają łzy, ale usta rozciągają się w pełnym odwagi uśmiechu.

– Nic się nie stało – zapewniła, kiedy mama zaczęła robić zamieszanie, przecierając jej ranę mokrą ściereczką.

– Henry, mój drogi, przynieś krem antyseptyczny z szafki w łazience na piętrze.

Mijając Birdie, spojrzałem na nią spode łba, żeby wiedziała, że nie umknęło mojej uwadze to, jak niezdarnie przekazała kota. Ona odwzajemniła spojrzenie, a jej oczy były tak małe, że prawie nie widziałem koloru tęczówek.

Byłem dziwnym dzieckiem. Teraz to dostrzegam. Od tamtego czasu poznałem podobnych do mnie chłopców: niechętnych do uśmiechania się, spiętych, ostrożnych i czujnych. Podejrzewam, że Birdie w dzieciństwie była jeszcze dziwniejsza. Może widziała we mnie odbicie samej siebie. Na pewno już wtedy mnie nienawidziła. Nie dało się tego nie zauważyć. Uczucie to było ze wszech miar odwzajemnione.

Przechodząc korytarzem, minąłem Justina. Trzymał w ręku poobijane pudełko czekoladek i wydawało mi się, że się zgubił.

– Znajdę tam twoich rodziców? – zapytał, wskazując mniej więcej miejsce, z którego przyszedłem.

– Tak, są w kuchni. Za tym łukiem.

– *Merci beaucoup* – odrzekł, a ja, choć miałem dopiero dziesięć lat, już poznałem, że jest pretensjonalny.

Krótko po tym zostaliśmy odesłani do łóżek, moja siostra z plastrem na przedramieniu, a ja z początkiem rozstroju żołądka. Byłem jednym z tych dzieci, u których emocje zbierają się w brzuchu.

Później tej samej nocy słyszałem szuranie na najwyższym piętrze. Nakryłem sobie głowę poduszką i znowu zasnąłem.

Następnego ranka zszedłem na dół wyjątkowo wcześnie i zobaczyłem nieotwartą bombonierkę na kuchennym stole. Kusilo mnie, żeby zdjąć celofan i otworzyć pudełko. Ten mały akt buntu poprawiłby na chwilę moje samopoczucie, ale potem poczułbym się znacznie, znacznie gorzej. Wyczułem jakiś ruch za plecami, obejrzałem się i ujrzałem kota przeciskającego się przez uchylone drzwi. Przypomniałem sobie zadrapanie na ręce siostry i niecierpliwe cmoknięcie Birdie. „To był wypadek, źle ją trzymała. Suki nigdy by nikogo celowo nie podrapała”.

Znowu zapłonął we mnie czerwony gniew. Syknąłem głośno na kota i wygoniłem go z kuchni.

Tamtego dnia poszedłem do szkoły niemal z ulgą, bo mogłem choć przez kilka godzin poczuć się normalnie. Właśnie zacząłem ostatni semestr w szkole podstawowej. W następnym miesiącu kończyłem jedenaście lat, jako jeden z najmłodszych chłopaków w klasie, a potem miałem się przenieść do większej szkoły, bliżej domu, bez pumpów. W tamtym momencie bardzo się na tym skupiałem. Zdecydowanie wyrosłem już z takiej szkoły, podobnie jak z towarzystwa, w którym dorastałem. Widziałem, że jestem inny, zupełnie inny. Nie było tam ani jednej takiej osoby jak ja i fantazjowałem o tym, jak idę do dużej szkoły i spotykam ludzi podobnych do mnie. W dużej szkole wszystko miało być lepsze. Wystarczyło przeżyć jeszcze dziesięć tygodni, potem długie i nudne lato, a później już czekało inne życie.

Nie miałem pojęcia, nawet cienia podejrzenia, jak wiele zmieni się przez te wakacje i jak odległe wydadzą się te wszystkie rzeczy, na które tak niecierpliwie czekałem.

Libby siedzi przy stole w kuchni. Drzwi wychodzące na ogródek z tyłu są otwarte, widać skąpaną w popołudniowym słońcu zielen, lecz jest jeszcze zbyt gorąco i parno. Nalała sobie do szklanki z lodem dietetyczną colę, a sandały zrzuciła od razu po wejściu do mieszkania. Podnosi klapę laptopa w kolorze różowego złota i włącza przeglądarkę. Niemal zaskakuje ją ostatnia rzecz, jakiej szukała w internecie. Cztery dni temu, jeszcze zanim przyszedł list i wywrócił wszystko do góry nogami, chciała znaleźć zajęcia z salsy prowadzone w okolicy. Trudno jej sobie przypomnieć, co chodziło jej wtedy po głowie. Chyba poznawanie mężczyzn.

Otwiera nową kartę i powoli, nerwowo wpisuje frazę „Martina i Henry Lamb”.

Od razu pojawia się link do artykułu z „Guardiana” z dwa tysiące piętnastego. Klika nagłówek. Tytuł brzmi: „Tajemnicza sprawa Serenity Lamb i króliczej łapki”.

Myśli sobie, Serenity Lamb to byłem ja, to jestem ja. To ja jestem Serenity Lamb. Ale jestem też Libby Jones. Libby Jones sprzedaje kuchnie w St Albans i chce chodzić na zajęcia z salsy. Serenity Lamb leży w malowanym łóżeczku w pokoju z drewnianym parkietem w Chelsea, z króliczą łapką schowaną pod kocym.

Trudno jej znaleźć punkt styyczny; moment, w którym jedna przeobraża się w drugą. Czy wtedy, gdy jej przybrani rodzice

pierwszy raz wzięli ją w ramiona? Tylko że w tamtej chwili nie miała świadomości, że oto Serenity zmienia się w Libby, że podstawy jej tożsamości kruszą się i budują na nowo.

Upija łyk coli i zaczyna czytać.

Dom w Antibes ma kolor martwych róż: zakurzonej, spłowiałej czerwieni, z okiennicami pomalowanymi na żywy błękit. Niegdyś Lucy tu mieszkała, w innym życiu, kiedy była żoną ojca Marca. Dziesięć lat po rozwodzie wciąż trudno jej zmusić się do tego, by wypowiedzieć jego imię. Pozostawia w jej ustach, na języku, obrzydliwy posmak, od którego zbiera jej się na wymioty. A jednak oto stoi przed jego domem, a on nazywa się Michael. Michael Rimmer.

Na podjeździe stoi czerwone maserati, niewątpliwie w leasingu, ponieważ wiele można powiedzieć o Michaelu, ale na pewno nie to, że jest usatysfakcjonowany poziomem swojego bogactwa. Lucy widzi, jak wzrok Marca zatrzymuje się na długo na samochodzie. Na jego twarzy, we wstrzymanym oddechu, wyraźnie da się dostrzec ekscytację.

– Nie jest jego własnością. Tylko go wynajmuje – mruczy pod nosem do syna.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem, okej?

Ściska dłoń Stelli, żeby dodać jej otuchy. Dziewczynka nie poznała jeszcze ojca Marca, ale doskonale wie, co Lucy o nim myśli. Podchodzą do drzwi i naciska dzwonek z brązu. Otwiera im

pokojówka ubrana w białe ogrodniczki, z dłońmi w lateksowych rękawiczkach.

– *Bonjour, madame* – mówi z uśmiechem.

– Czy pan Rimmer jest w domu? – pyta Lucy, starając się o jak najwyraźniejszy angielski akcent.

– *Oui*. Tak, w ogrodzie. Proszę poczekać. – Wyciąga z kieszeni małą czarną nokię, zdejmuje rękawiczkę i wybiera numer. Zaraz podnosi wzrok na Lucy. – Kogo mam zapowiedzieć?

– Lucy. I Marco.

– Panie Rimmer, przyszła pewna pani o imieniu Lucy. Z chłopcem o imieniu Marco. – Kiwa głową. – Dobrze. Tak, tak. – Rozłącza się i wsuwa telefon z powrotem do kieszeni. – Pan Rimmer prosi, żebym zaprowadziła panią do niego. Zapraszam.

Lucy idzie za drobną kobietą przez korytarz. Odwraca wzrok, gdy mijają miejsce u podnóża schodów, gdzie w czwartym miesiącu ciąży wylądowała ze złamaną ręką i pękniętym żebrem po tym, jak Michael ją zepchnął. Nie patrzy też na fragment ściany w korytarzu, o który Michael obił jej kilka razy głowę, bo miał zły dzień w pracy – a przynajmniej tym się tłumaczył godzinę później, próbując przekonać ją, by go nie zostawiała, bo tak strasznie ją kocha i nie wyobraża sobie bez niej życia. Och, cóż za ironia losu – oto żyje i ma się dobrze u boku innej żony.

Zbliżają się do tylnego wejścia i Lucy drżą dłonie. Bardzo dobrze zna to miejsce: ogromne podwójne drewniane drzwi otwierają się na tropikalny splendor ogrodu, gdzie kolorowe motyle spijają nektar z kwiatów w kształcie rogów, w kącie rosną bananowce, tam też pluszcze nieduży wodospad na skalniaku, w najbardziej wysuniętym na południe punkcie błyszczą w popołudniowym słońcu lazurowa woda. A pośród tego wszystkiego on, Michael Rimmer. Siedzi przy stoliku obok basenu, w jednym uchu ma bezprzewodową słuchawkę, przed sobą otwarty laptop i dwa telefony. Tylko małe piwo zaprzecza wizerunkowi biznesmena, na którym ewidentnie mu zależy.

– Lucy! – woła do niej z szerokim uśmiechem, wstając z krzesła. Wciąga opalony brzuch, próbując ukryć fakt, że dwa lata przed pięćdziesiątką nie ma już wyrzeźbionego ciała mężczyzny, od którego uciekła dziesięć lat temu. Rusza w jej stronę, wyjąwszy słuchawkę z ucha. – Lucy! – powtarza, dodając ciepły ton i wyciągnięte ręce.

Lucy się wzdryga.

– Michael – odpowiada powściągliwie, odsuwając się od niego.

Zamiast tego mężczyzna zwraca swe ręce ku Marcowi i ściska go mocno.

– Czyli jednak jej powiedziałaś?

Chłopiec kiwa głową.

Michael patrzy na niego z udawanym gniewem.

– A to kto? – pyta Michael, przesuwając wzrok na Stellę, która kurczowo trzyma się nogi Lucy.

– To jest Stella, moja córka.

– Wow. Cóż za piękność. Bardzo miło cię poznać, Stello. – Podaje jej rękę, a Lucy musi się powstrzymać, by nie zabrać córki. Michael patrzy w końcu na psa i rzuca: – A to kto?

– Fitzgerald. Znany też jako Fitz.

– To od Francisa Scotta?

– Tak, od Francisa Scotta. – Czuje napływ adrenaliny na wspomnienie o seriach pytań, które zadawał jej, żeby pokazać, jaka jest głupia i niewykształcona, jak bardzo powinna się cieszyć, że go ma, bo nie jest jego warta. Zawsze jednak z tyłu głowy cichy, lecz niezachwiany głosik powtarzał jej, że to nieprawda, że pewnego dnia uwolni się od niego i ucieknie, nie oglądając się za siebie. A teraz znowu nerwowo odpowiada na jego pytania, za chwilę poprosi go o pieniądze. Niemal wróciła do punktu wyjścia.

– No, no, witaj, Fitzu – mówi Michael, drapiąc psa pod pyskiem. – Ależ z ciebie słodziak. – Potem wstaje i obrzuca Lucy oraz jej rodzinę taksującym spojrzeniem. W taki sam sposób patrzył na nią,

rozważając, czy należy jej się za coś kara. Znajdowali się na ostrzu noża, mogło się skończyć śmiechem i przytuleniem albo złamanym palcem czy podbitym okiem.

– Proszę, proszę, patrzcie no. Jaka urocza gromadka. Napijcie się czegoś? Może soku? – Zerka na Lucy. – Pozwalasz im na sok?

Lucy kiwa głową, a Michael spogląda na pokojówkę, która stoi w cieniu tarasu.

– Joy! Przynieś sok dla dzieci! Dziękuję! A dla ciebie? Wino? Piwo?

Całe tygodnie nie piła żadnego alkoholu. Dałaby się pokroić za piwo. Ale nie może. Musi być zupełnie trzeźwa przez najbliższe pół godziny lub dłużej. Dlatego kręci głową.

– Nie, dziękuję. Wystarczy mi sok.

– W takim razie trzy szklanki soku, Joy. A dla mnie jeszcze jedno piwo. O, i chipsy. Te, no, jak się nazywa te takie... karbowane! Chipsy karbowane. – Przenosi wzrok z powrotem na Lucy, wciąż udając naiwnego młokosa. – Siadajcie, siadajcie.

Przestawia krzesła, żeby mogli zająć miejsce przy stoliku, i ciągnie:

– No, to opowiadaj, Lucy Lou. Co się z tobą działo przez tyle czasu?

Lucy wzrusza ramionami i uśmiecha się.

– No wiesz. Jakoś tam zleciało. Zrobiłam się trochę starsza, trochę mądrzejsza.

– I nie ruszałaś się stąd?

– Nie.

– Nie wróciłaś do Wielkiej Brytanii?

– Nie.

– A twoja córka... Gdzie jej ojciec? Wyszłaś za mąż?

– Nie. Mieszkaliśmy razem przez kilka lat, a potem wrócił do Algierii, żeby „odwiedzić rodzinę”. To było trzy lata temu i od tamtej pory nie odzywa się do nas.

Michael krzywi się, jakby zniknięcie ojca Stelli było niczym fizyczny atak na nią. Nieznośnie ironiczne.

– Ciężka sprawa. Czyli jesteś samotną matką?

– Tak, jak najbardziej.

Joy wraca z karafką schłodzonego soku pomarańczowego, trzema szklankami na papierowych podkładkach, chipsami w srebrnych miseczkach, serwetkami, słomkami. Michael rozlewa sok i podaje każdemu szklankę, częstuje karbowanymi chipsami dzieci, a te zaczynają się nimi opychać.

– Wolniej – syczy Lucy.

– Nic nie szkodzi. Mam całe góry chipsów. Więc gdzie teraz mieszkacie?

– Tu i tam.

– I nadal...? – Udaje, że gra na skrzypcach.

Lucy uśmiecha się cierpko.

– Grałam, dopóki jakiś pijany Angol na wieczorze kawalerskim nie wyrwał mi instrumentu z rąk. Goniłam tego dupka i jego kumpli przez dobre pół godziny, a na koniec palant rzucił skrzypcami o ścianę. Oddałam je do naprawy, ale... – Ze strachu zaschło jej w gardle. – Nie stać mnie, żeby je odebrać.

Michael patrzy na nią ze współczuciem; takim spojrzeniem obrzucał ją za każdym razem, kiedy ją skrzywdził.

– Ile? – rzuca i już wierci się na krześle, żeby wyciągnąć z tylnej kieszeni portfel.

– Sto dziesięć euro – odpowiada Lucy nieco łamiącym się głosem.

Obserwuje go, jak odlicza banknoty. Składa je wpół i podaje.

– Proszę. Z lekką górką. Może na fryzjera dla mojego chłopaka. – Znowu czochra Marca. – I dla ciebie też. – Gdy patrzy na jej włosy, w jego oczach pojawia się to okropne, ponure rozczarowanie. *Zapuşciłaś się. Przestałaś się starać. Jak mam cię kochać. Skoro. Się. Nie. Starasz.*

Lucy sięga po banknoty i gdy już ma je zabrać, czuje, że Michael niemal niezauważalnie je ściska, jakby dawał jej do zrozumienia, kto tu rządzi. Uśmiecha się i puszcza. Lucy odkłada pieniądze do torebki i mówi:

– Dziękuję. To wiele dla mnie znaczy. Oddam ci wszystko za kilka tygodni. Obiecuję.

– Nie trzeba. Nie chcę pieniędzy, ale... – odpowiada, nachylając się, rozsuwając nieco nogi, z mrocznym uśmiechem.

Lucy czuje, jak po plecach przebiega jej zimny dreszcz.

– Obiecuj mi jedno.

Jej uśmiech zamiera.

– Chciałbym cię częściej widywać. Ciebie i Marca. No i ciebie. – Przesuwa swój ponury wzrok na Stellę, puszcza do niej oko. – Jestem tutaj całe wakacje. Aż do połowy września. No wiesz, akurat mam przerwę od pracy.

– A twoja żona?

– Rachel musiała wracać. Miała pewne ważne sprawy do załatwienia. – Jego ton zdradza lekceważenie. Rachel mogłaby być chirurgiem mózgu albo ważnym politykiem, kto ją tam wie, mogłaby mieć w rękach los setek, jak nie tysięcy ludzi. Jednak w oczach Michaela wszystko, co nawet na chwilę odciąga kobietę od niego, jest jakimś żalonym żartem. Wliczając w to dzieci.

– Och, co za szkoda.

– Nie do końca. Przyda mi się trochę samotności. Nie zgadniesz, czym się właśnie zajmuję!

Lucy potrząsa energicznie głową i uśmiecha się.

– Piszę książkę, a dokładniej wspomnienia. A może coś pomiędzy jednym a drugim. Taka powieść autobiograficzna czy coś w tym rodzaju. Jeszcze nie zdecydowałem.

Boże, ależ on się wydaje z siebie zadowolony, myśli Lucy. Zupełnie jakby oczekiwał, że go pochwalą, że powie, jaki jest

cudowny, jaki mądry. Zamiast tego najchętniej zaśmiałyby się mu w twarz, ha, teraz strugasza pisarza? Serio?

– To wspaniałe. Ekscytujące.

– Powinno być, owszem. Chociaż czasami nie jest łatwo, nie powinno mnie to dziwić. Dlatego świetnie byłoby was jeszcze zobaczyć. Spędzić trochę czasu razem. Popluskać się w basenie.

Lucy podąża wzrokiem za jego myślami do lazururowej toni. Jej oddech przyśpiesza, płuca gwałtownie się rozszerzają i kurczą, serce wali na wspomnienie głowy wepchniętej pod powierzchnię tej idealnej wody, jego dłoni na jej czubku. Naciskał. Naciskał, aż jej płuca prawie eksplodowały. Potem nagle puścił i wypłynęła. Kaszłąc, desperacko walcząc o oddech, patrzyła, jak on wychodzi z basenu, zabiera ręcznik z leżaka, owija się nim w pasie i wraca do wnętrza domu, nie oglądając się za siebie. „Mogłem cię zabić – powiedział potem. – Gdyby tylko mi się zachciało. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Mogłem cię zabić”. „Dlaczego tego nie zrobiłeś?”, zapytała. „Bo szkoda zachodu”.

– Może. Zobaczmy, chociaż jesteśmy w te wakacje dość zajęci.

– Tak, z pewnością – rzuca protekcyjnym tonem.

– Wiesz co – zaczyna Lucy, spoglądając na drzwi prowadzące do środka. – Zawsze myślałam, że sprzedałeś ten dom. Przez lata widziałam, jak mieszkają tutaj różni ludzie.

– Wynajmuję go – odpowiada, a w jego głosie słychać wstyd, że on, niesamowity i bogaty biznesmen z wieloma sukcesami na koncie, musi uciekać się do tak niegodnych sposobów zdobywania pieniędzy jak wynajmowanie swojego domu wakacyjnego w Antibes obcym ludziom. – Szkoda, żeby tak stał pusty, skoro ktoś może się tu świetnie bawić.

Lucy kiwa głową. Niech trzyma się tego żalostnego kłamstewka. Michael nie cierpi innych ludzi. Musiał przeprowadzić dokładną dezynfekcję całego wnętrza, żeby tu wrócić.

– Cóż, już chyba czas wracać – odzywa się Lucy, uśmiechając się do dzieci.

– Nie, zostańcie jeszcze! – wtrąca Michael. – Dlaczego nie? Mogę otworzyć butelkę czegoś dobrego. A dzieciaki niech się popluskają w basenie. Będzie fajnie.

– Niedługo zamkną sklep muzyczny – odpowiada Lucy, starając się nie zabrzmieć zbyt nerwowo. – Naprawdę muszę odebrać teraz skrzypce, żeby móc pracować wieczorem. Ale dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Co powiecie, dzieciaki?

Dzieciaki dziękują, a Michael uśmiecha się do nich promiennie.

– Piękne dzieci. Naprawdę piękne – mówi.

Odprowadza ich do wyjścia. Wydaje się, jakby chciał uściskać Lucy na pożegnanie, więc ona szybko klęka, żeby poprawić psu obrozę. Michael obserwuje ich z progu, jego wzrok przebiega nad maską absurdalnego samochodu, na ustach błąka się uśmiech.

Przez moment Lucy czuje się, jakby miała wymiotować. Zatrzymuje się i bierze kilka głębokich oddechów. A potem, gdy już mają wyjść za róg, nagle pies kuca i zostawia małą kupę zaraz przy ścianie domu, w plamie popołudniowego słońca. Lucy sięga do torebki, żeby wyjąć foliówkę, ale powstrzymuje się. W ciągu godziny kupa upiecze się i będzie bulgotać jak rozpuszczony brie. To będzie pierwsza rzecz, którą Michael zobaczy następnym razem, kiedy wyjdzie z domu. Może nawet w nią wdepnie.

Zostawia ją tam.

W sobotę Libby miała wybrać się na grilla do znajomych. Nawet cieszyła się na to wyjście. Jej koleżanka April powiedziała, że zaprasza „wysportowanego koleśia z pracy”. „Myślę, że ci się spodoba – stwierdziła. – Nazywa się Danny”.

Jednak w sobotni poranek, zapowiadający kolejny gorący dzień z niebem bez jednej chmurki, Libby otwiera okno, które już zdążyło się piekielnie nagrzać, i jej głowy nie zaprzatają Danny ani słynna pikantna sałatka z kuskusem April, ani też błyszczący pomarańczowy aperol spritz w dłoni czy stopy moczące się w nadmuchiwanym basenie. Nie, myśli wyłącznie o tajemniczej sprawie Serenity Lamb i króliczej łapki.

Wysłała wiadomość do April.

Strasznie, strasznie Cię przepraszam. Mam nadzieję, że będziesz się świetnie bawić. Daj znać, jeśli impreza nie skończy się zbyt szybko, może wpadnę na drinka przy zachodzie słońca.

Potem bierze prysznic i zakłada kombinezon z tropikalnym printem oraz sandały ze złotej skóry, naciera ręce i ramiona kremem z filtrem, dorzuca jeszcze okulary przeciwsłoneczne i na koniec sprawdza, czy ma w torebce klucze do domu, po czym wychodzi na pociąg do Londynu.

Wkłada klucz do kłódki na drewnianej osłonie i przekręca, kłódka spada. Drugi klucz wkłada do dziurki w drzwiach frontowych. W głębi ducha spodziewa się, że ktoś położy jej rękę na ramieniu i zapyta, co takiego wyprawia, czy aby na pewno ma pozwolenie na to, by otwierać tym kluczem te drzwi.

Potem wchodzi do domu. Do swojego domu. I jest tutaj sama.

Zamyka za sobą i natychmiast cichną odgłosy sobotniego ruchu ulicznego, a piekące promienie słońca nie docierają już do jej karku.

Przez chwilę stoi praktycznie nieruchomo.

Wyobraża sobie w tym miejscu policję. Wszyscy mają na głowach staromodne hełmy. Wie, jak wyglądają, bo widziała zdjęcia w artykule z „Guardiana”. Funkcjonariusze Ali Shah oraz John Robbin. Przyjechali w odpowiedzi na anonimowe zgłoszenie „zatroskanego sąsiada”. Nigdy nie udało się go namierzyć.

Podąża za niewidzialnymi śladami Shaha i Robbina do kuchni. Wyobraża sobie, że zapach staje się intensywniejszy.

Shah w swojej relacji wspomniał o bzczeniu much. Podobno myślał, że ktoś zapomniał wyłączyć maszynkę do strzyżenia albo szczoteczkę elektryczną. Ciała znajdowały się we wczesnym stadium rozkładu, wciąż można było w nich rozpoznać atrakcyjną ciemnowłosą trzydziestokilkulatkę oraz starszego mężczyznę z włosami przyprószonymi siwizną. Trzymali się za ręce. Obok nich leżały zwłoki drugiego mężczyzny, po czterdziestce, wysokiego, ciemnowłosego. Wszyscy byli ubrani na czarno: kobieta w tunikę i legginsy, mężczyzna w swego rodzaju długą szatę. Wyglądało na to, że ubrania te były uszyte przez mieszkańców domu. W jednym z pokoiów na tyłach znaleziono później maszynę do szycia oraz resztki czarnego materiału w koszu.

Nie licząc bzczących much, w środku panowała śmiertelna cisza. Funkcjonariusze powiedzieli, że nie szukaliby dziecka, gdyby nie zostało wspomniane w liście pozostawionym na stole w jadalni. Niemal przegapili garderobę za główną sypialnią, ale w pewnym

momencie usłyszeli dobiegający stamtąd dźwięk – „uuu”, jak określił to Shah.

„Uuu”.

Libby wchodzi powoli schodami na górę i kieruje się do sypialni. Znajduje drzwi do garderoby i zagląda do środka.

I właśnie tutaj ją znaleźli! Taką śliczną kruszynkę! Właśnie tak to ujął funkcjonariusz Robbin: „Taka śliczna kruszynka!”.

Na widok malowanej kołyski dostaje gęziej skórki. Mimo to zwalcza dyskomfort, wpatrując się w nią tak długo, aż przestaje na niej robić wrażenie. Po chwili czuje się na siłach, by jej dotknąć. Wyobraża sobie zagląających do środka dwóch młodych policjantów. Wyobraża sobie samą siebie, w śnieżnobiałych śpioszkach, z gęstymi loczkami jak u Shirley Temple, chociaż miała dopiero dziesięć miesięcy, wierzgającą z ekscytacją nóżkami na widok dwóch wpatrzonych w nią przyjaznych twarzy.

„Próbowała się podnieść – powiedział Robbin. – Chwyła się boków łóżeczka. Bardzo chciała, żeby ją ktoś wyjął. Nie wiedzieliśmy, co robić. W końcu stanowała dowód. Czy powinniśmy ją dotykać? Wezwać posiłki? Byliśmy zbici z tropu”.

Ostatecznie postanowili jej nie ruszać. Shah śpiewał jej piosenki i czekali, aż dowództwo powie im, co robić. Libby żałowała, że tego nie pamięta; jakie piosenki mogła usłyszeć od młodego policjanta? Czy cieszył się, że może jej zaśpiewać? Czy czuł się zażenowany? Według autora artykułu Shah sam dorobił się piątki dzieci, ale kiedy znalazł Serenity Lamb w łóżeczku, nie miał jeszcze żadnego doświadczenia z niemowlętami.

Wkrótce w domu pojawił się zespół techników kryminalistyki oraz specjalna funkcjonariuszka oddelegowana do odebrania dziecka. Nazywała się Felicity Measures i miała wtedy czterdzieści jeden lat. Teraz ma sześćdziesiąt pięć, niedawno przeszła na emeryturę i mieszka w Algarve z trzecim mężem. W artykule zacytowano jej wypowiedź: „Przepiękne dziecko. Bardzo zadbane i dobrze

wykarmione, ze złotymi loczkami. Uśmiechnięte i przytulaśne. Zupełnie nie pasowała do otoczenia, w którym ją znaleziono. Niesamowita sprawa. O tak, wręcz upiorna”.

Libby popycha kołyskę, która skrzypi żałośnie, dając wyraz swojej wiekowości. Dla kogo została kupiona? Dla niej? Czy dla poprzednich pokoleń niemowląt? Teraz Libby wie, że w tej historii są też inni bohaterowie. Nie tylko Martina i Henry Lamb oraz tajemniczy mężczyzna. Nie tylko ich zaginione dzieci. Sąsiedzi mówili nie o dwojce, ale „licznych dzieciach”, o ludziach, którzy „przyjeżdżali i wyjeżdżali”. W domu znaleziono mnóstwo niezidentyfikowanych śladów krwi i DNA, do tego włókna, włosy, dziwne wiadomości, wydrapane napisy na ścianach, ukryte przejścia, a także ogród pełen ziół, z których część została wykorzystana do rzekomego samobójczego paktu rodziców.

„Pragniemy uwolnić się od tych mizernych ciał, od tego nikczemnego świata, od bólu i rozczarowania. Nasza córka nazywa się Serenity Lamb. Ma dziesięć miesięcy. Prosimy, zadbajcie o to, by trafiła w dobre ręce. Żegnajcie, H.L., M.L., D.T.”. Tak brzmiała treść znalezionego przy nich listu.

Libby wychodzi z pokoju i powoli krąży po wnętrzu domu, wyszukując te dziwne rzeczy, na które natrafiono w trakcie oględzin. Autor artykułu napisał, że człowiek, który przebywał w domu w czasie samobójstwa, uciekł, zostawiając otwarte drzwi do szafy, jedzenie w lodówce, rozłożone książki na podłodze, kartki ewidentnie zerwane ze ściany, gdzie przyklejono je taśmą.

Udaje jej się znaleźć jeden z tych kawałków taśmy na ścianie w kuchni, żółty i wyschnięty. Odrywa fragment kartki i przez chwilę mu się przygląda. Co takiego znajdowało się na tym papierze, że ludzie uciekający z tego tonącego okrętu nie chcieli, by inni to zobaczyli?

W kuchni urządzonej w wiejskim stylu stoi lodówka, wielka, kremowo-beżowa, rdzewiejąca. Rodem z Ameryki – była pewnie

dość niezwykłym widokiem w Wielkiej Brytanii w latach osiemdziesiątych. Libby otwiera ją i zagląda do środka. Plamy pleśni, dwie popękane i połamane plastikowe foremki do lodów, nic więcej. W szafkach znajduje puste puszki i mąkę tak starą, że zmieniła się w cegłę. Jest też zestaw białych filiżanek, chromowany czajnik, stoiki pełne ziół i przypraw, stojak na grzanki, duża taca pomalowana na czarno. Drapie ją paznokciem i pod spodem widać srebro. Libby zastanawia się, dlaczego ktoś miałby pomalować na czarno srebrną tacę.

A potem się zatrzymuje. Coś usłyszała. Odgłosy jakiegoś ruchu na piętrze. Odkłada tacę z powrotem do szafki i staje u podnóża schodów. Dźwięk się powtarza, trochę jak tępe łupnięcie. Zaczyna jej szybciej bić serce. Na paluszkach wchodzi na podest schodów. I znowu to samo. I znowu. A potem – puls dudni jej w uszach dwa razy głośniej – ktoś chrząka.

Pan Royle, myśli, to musi być pan Royle, ten prawnik. Nie może być nikt inny. Przecież po wejściu do środka zamknęła za sobą drzwi. Zdecydowanie.

– Halo? – woła. – Halo? Panie Royle, to pan?

Jednak odpowiada jej cisza. Zapadła natychmiast, celowo.

– Halo? – woła jeszcze raz.

Cisza przyczaiła się na samej górze jak drapieżnik. Libby niemal słyszy bicie serca drugiej osoby.

Przypomina sobie wszystkie tajemnice odkryte przez autora artykułu: zaginione dzieci właścicieli domu, osobę sprawującą opiekę nad niemowlęciem; napisy na ścianach, pasek materiału zwisający z grzejnika i ślady zadrapań; dziwną wiadomość zostawioną przez rodziców, niebieskie róże namalowane na skrzypiącej kołysce, kartki zerwane ze ścian, plamy krwi i zamki po zewnętrznej stronie drzwi pokoiów dzieci.

Potem znów myśli o równo przystrzyżonym trawniku April, jej pikantnym kuskusie, neonowym pomarańczu aperol spritza, stopach

moczących się w chłodnej wodzie w basenie. O przystojnym Dannym i potencjalnych dzieciach, które mogliby mieć, gdy Libby skończy trzydzieści lat. Albo wcześniej. Tak, dlaczego nie wcześniej? Dlaczego ma to odkładać? Może sprzedać ten dom razem z jego straszną, ponurą historią, zapleśniałą lodówką i zarośniętym ogrodem, a nawet hałasującym lokatorem na strychu. Może to wszystko sprzedać i będzie bogata, wyjdzie za Danny'ego i urodzi dzieci. Już jej nie obchodzi, co się tutaj stało. Już nie chce wiedzieć.

Sięga do torebki po klucze i zamyka za sobą wielkie drewniane drzwi wejściowe, a potem jeszcze zakłada kłódkę i z ulgą wychodzi na rozgrzany chodnik. Wyciąga telefon, żeby napisać wiadomość.

Zostaw mi trochę kuskusu. Będę za godzinę.

W przytłumionym świetle warsztatu instrumentów muzycznych Lucy obraca w rękach skrzypce.

Układa je pod brodą i szybko wygrywa trzy oktawy w tonacji A-dur oraz arpeggio, sprawdzając jakość dźwięku i nasłuchując wszelkich wilczych tonów.

W końcu uśmiecha się szeroko do monsieur Vincenta.

– Niesamowite. Brzmią jeszcze lepiej niż przedtem – mówi do niego po francusku.

Ciepło wlewa jej się do serca. Przez te okropieństwa spania na ławkach albo pod wiaduktami nie zdawała sobie sprawy, jak ciężko jej się żyło z dala od tego instrumentu i jak wiele gniewu kisiła w sobie jeszcze do tych pijanych kretynów, którzy go zniszczyli. Co więcej, dopiero teraz dotarło do niej, jak bardzo brakowało jej grania.

Odlicza umówioną kwotę i kładzie banknoty na ladzie, a monsieur Vincent wypisuje jej rachunek, odrywa go i podaje. Następnie sięga po dwa lizaki z pojemnika przy kasie i wręcza dzieciom.

– Opiekuj się mamą i siostrą – mówi do Marca.

Po wyjściu przed sklep, gdzie powietrze powoli traci temperaturę, Lucy zdejmuje folię z lizaka Stelli i oddaje go jej. Potem idą w stronę

centrum turystycznego, dzieci zajmują się swoimi słodkościami, a pies obwąchuje rozgrzany chodnik w poszukiwaniu porzuconych kości kurczaka albo resztek roztopionych lodów. Lucy nadal nie ma apetytu. Spotkanie z Michaelem zupełnie odebrało jej ochotę na jedzenie.

Przybyli już turyści, którzy jedzą wcześniej niż inni: starsi i ci z małymi dziećmi. Z tymi jest trudniej. Późniejsi goście pili alkohol i nie wstydzą się podejść do kobiety w zwiewnej spódnicy z woalu i koszulce na ramiączkach, z opalonymi i żyłastymi rękami, dużymi piersiami, kolczykiem w nosie i bransoletką na kostce, a także dwójką pięknych, zmęczonych dzieci, które siedzą w cieniu za nią na macie do jogi razem z wyliniałym psem rasy Jack Russell terrier. Ich uwagi nie odciągają drażliwe dzieci, które już dawno powinny leżeć w łóżku. Ani też nie zastanawiają się cynicznie, czy wyda pieniądze na alkohol i narkotyki, czy dzieci i pies są tylko dla show, czy pobije je po powrocie do domu, jeśli nie zarobi wystarczająco dużo pieniędzy. Przez lata słyszała już chyba wszystko. Oskarżano ją o każdą z tych rzeczy. Ma teraz bardzo grubą skórę.

Wyciąga z plecaka kapelusz. Marco kiedyś nazywał go „kapeluszem na pieniądze”, ale teraz mówi o nim „kapelusz żebraków”. Nie cierpi go.

Lucy kładzie go na ziemi przed sobą i podnosi wieko futerału. Ogląda się, żeby zobaczyć, czy dzieci zajęły swoje miejsca. Marco ma książkę do czytania. Stella już koloruje obrazki. Marco ze znużeniem podnosi wzrok.

– Jak długo tutaj będziemy?

Tyle ma już w sobie nastoletniego buntu, a przecież jeszcze wiele miesięcy dzieli go od trzynastych urodzin.

– Tak długo, jak trzeba, żebym zarobiła pieniądze na tydzień w Blue House.

– Czyli ile?

– Piętnaście euro za noc.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możesz po prostu poprosić mojego taty o pieniądze. Przecież go stać. Mógłby spokojnie dać jeszcze stówę.

– Marco. Przecież wiesz dlaczego. A teraz, proszę, daj mi pracować.

Chłopiec cmoka i unosi brwi, ale zaraz zagląda do książki.

Lucy układa skrzypce, wystawia prawą nogę przed siebie, zamyka oczy, wciąga głęboko powietrze i zaczyna grać.

To dobry wieczór, burza z poprzedniej nocy oczyściła powietrze, nie jest już tak gorąco i ludzie są bardziej zrelaksowani. Bardzo dużo ich przystaje, by popatrzeć na Lucy. Gra The Pogues i Dexys Midnight Runners; w czasie samego tylko *Come On Eileen* do jej kapelusza, według szacunkowych obliczeń, trafia piętnaście euro. Ludzie tańczą i uśmiechają się; para trzydziestolatków daje jej dziesięć euro, bo właśnie się zaręczyli. Starsza kobieta wrzuca pięć, bo jej ojciec kiedyś grywał na skrzypcach i Lucy przypomniała jej szczęśliwe dzieciństwo. Do dziewiętej trzydzieści ma już na koncie trzy lokalizacje i prawie siedemdziesiąt euro.

Zbiera dzieci, psa, bagaże. Stelli już się zamykają oczy i Lucy tęskni za dniami, kiedy mogła ją po prostu włożyć do wózka na koniec wieczoru, a potem przełożyć prosto do łóżka. Teraz musi ją obudzić, zmusić do marszu i pilnować się, by nie krzyknąć na małą, gdy ta jęczy, że jest zbyt zmęczona.

Blue House znajduje się raptem dziesięć minut drogi stąd, w połowie wysokości wzgórza prowadzącego do Castle Park. To długi i wąski budynek, pierwotnie pomalowany na niemowlęcy niebieski kolor. Niegdyś był to elegancki małomiasteczkowy dom, który stanął tu dla śródziemnomorskich widoków, lecz teraz farba odłaziła i poszarzała, okiennice popękały, a rynny porósł bluszcz. Zbudował go w latach sześćdziesiątych mężczyzna o imieniu

Giuseppe, doprowadził do ruiny, po czym sprzedał człowiekowi, który wypełnił wnętrze wędrowcami: po jednej rodzinie na pokój, wspólne łazienki, karaluchy, żadnych udogodnień, płatne tylko gotówką. Nowy właściciel pozwala Giuseppe mieszkać w kawalerce na parterze i wypłaca mu skromną pensję w zamian za zarządzanie i konserwację.

Giuseppe uwielbia Lucy. „Gdybym miał córkę – powtarza ciągle – byłaby taka jak ty. Przysięgam”.

Przez kilka tygodni po tym, jak Lucy musiała oddać skrzypce do naprawy, nie płaciła czynszu i czekała, czekała, aż właściciel każe ją wyrzucić. Potem inny najemca powiedział jej, że Giuseppe płacił za nią. Tego samego dnia spakowała się i wyszła bez pożegnania.

Im bliżej są Blue House, tym jest bardziej podenerwowana; zaczyna panikować. Co, jeśli Giuseppe nie będzie miał dla niej pokoju? Co, jeśli pogniewał się za jej nagłe odejście i teraz zatrześnie jej drzwi przed nosem? Co, jeśli wyjechał? Umarł? Co, jeśli dom spłonął?

Wbrew jej obawom mężczyzna podchodzi do drzwi, wygląda przez szparę pozostawioną przez łańcuch i uśmiecha się, pokazując dwa rzędy brązowych zębów spod kępy poprzetykanej siwizną brody. Zauważa jej futerał ze skrzypcami i uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Moja dziewczynka – mówi, odpinając łańcuch i otwierając drzwi. – Moje dzieciaczki. Mój piesek! Wchodźcie!

Pies szaleje z radości, skacze w wyciągnięte ramiona Giuseppe i omal go nie przewraca. Stella obejmuje nogi staruszka, a Marco przysuwa się do niego i daje się pocałować w czubek głowy.

– Mam siedemdziesiąt euro. Wystarczy na kilka dni – odzywa się Lucy.

– Masz swoje skrzypce. Możecie zostać, ile tylko chcecie. Wychudłaś. Wszyscy wychudliście. A ja mam tylko chleb. I trochę szynki. Ale niezbyt smaczna ta szynka, za to masło dobre, więc...

Idą za nim do jego mieszkania na parterze. Pies od razu wskakuje na kanapę i zwija się w kłębek, obrzucając Lucy takim spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć: wreszcie. Giuseppe zmierza do swojego maleńkiego aneksu kuchennego, po czym wraca z chlebem, szynką i trzema buteleczkami napoju pomarańczowego. Lucy siada obok psa, głaszcze go po karku i oddycha głęboko, czując, jak jej związane w supeł wnętrzności rozluźniają się. Potem wkłada rękę do plecaka, żeby wymacać telefon. Bateria całkiem się rozładowała. Lucy znajduje ładowarkę i mówi do Giuseppe:

– Mogę podłączyć sobie komórkę?

– Oczywiście, kochana. Masz tutaj wolne gniazdko.

Wkłada wtyczkę i przytrzymuje guzik, czekając, aż telefon ożyje.

Powiadomienie nie zniknęło.

Dziecko kończy 25 lat.

Siada z dziećmi przy stoliku i patrzy, jak jedzą kanapki. Wszystkie upokorzenia z ostatniego tygodnia zaczynają znikać jak ślady stóp zmyte przez fale. Jej dzieci są bezpieczne. Mają co jeść. Odzyskała skrzypce. Będą spali na łóżku. Jej portfel nie jest pusty.

Giuseppe też obserwuje jedzące dzieci. Zaraz zerka na Lucy i uśmiecha się.

– Martwiłem się o was wszystkich. Gdzieście się podziewali?

– Zatrzymaliśmy się u znajomych – rzuca lekkim tonem.

– N... – zaczyna protestować Marco.

Lucy trąca go łokciem i odwraca się do Giuseppe.

– Doszły mnie słuchy o twoich wybrykach, niedobry panie. Nie mogłam na to pozwolić. Zwyczajnie nie mogłam. A wiedziałam, że jeśli powiem o odejściu, przekonasz mnie, żebym została. Dlatego musiałam się wymknąć i jakoś daliśmy sobie radę. Naprawdę daliśmy radę. No, spójrz na nas! Nic nam nie dolega.

Wciąga psa na kolana i ściska.

– I odzyskałaś skrzypce?

– Tak, odzyskałam. Więc... znajdzie się pokój? Nie musi być ten, co poprzednio. Każdy się nada. Absolutnie każdy.

– Jest wolny pokój. Ale na tyłach, bez widoków. I trochę tam ciemno. No i prysznic nie działa, tylko umywalka. Mogę wam go wynająć za dwanaście euro za noc.

– Tak! Tak, proszę! – Lucy odkłada psa i wstaje, żeby uścisnąć Giuseppe. Mężczyzna pachnie kurzem i starością; jest trochę brudny, ale jej to nie obchodzi. – Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Tej nocy śpią we trójkę na małym dwuosobowym łóżku w ciemnym pokoju na tyłach budynku, gdzie szuranie opon samochodów po asfalcie konkuruje z szumem starego plastikowego wiatraka, jazgotem telewizora mieszkańców sąsiedniego pokoju oraz bzyczeniem muchy, która została uwięziona między zasłonami a oknem. Stella wciska piąstkę w twarz Lucy, Marco jęczy cicho przez sen, a pies chrapie. Jednak Lucy pierwszy raz od tygodnia zasypia głębokim snem.

CHELSEA, 1988

Tamten dzień – 8 września 1988 roku – powinien być moim drugim dniem w dużej szkole, ale już pewnie domyślasz się, że mimo ogromnych chęci nie dotarłem do miejsca, gdzie miałem poznać swoje bratnie dusze, przyjaciół na lata. Przez całe wakacje regularnie pytałem matkę, kiedy pójdziemy do Harrodsa, żeby kupić mi mundurek. Niezmiennie odpowiadała: „Poczekajmy do końca lata, na wypadek gdybyś miał jeszcze urosnąć”. A potem lato się skończyło, a my nadal nie wybraliśmy się do Harrodsa.

Do Niemiec też nie pojechaliśmy. Zazwyczaj lecieliśmy tam na tydzień albo dwa i spędzaliśmy ten czas u babci, w dużym i przestronnym domu pod Schwarzwaldem, z basenem na podwyższeniu i jedwabistym dywanem z sosnowych igieł. Jednak w te wakacje rzekomo nie było nas na to stać, a skoro nie było nas stać na bilety do Niemiec, skąd niby mieliśmy wziąć pieniądze na czesne?

Gdy zbliżał się wrzesień, rodzice zajęli się wysyłaniem podań do miejscowych szkół publicznych i wpisywali nas na listę oczekujących. Nigdy nie powiedzieli wprost, że mamy problemy finansowe, ale było to jasne. Przez wiele dni bolał mnie brzuch, bo martwiłem się, że w takiej szkole będą się nade mną znęcać dzieciaki z marginesu.

Och, jakie to były trywialne zmartwienia. Takie drobnostki zaprzętały mi głowę. Przypominam sobie siebie w wieku jedenastu lat: nieco dziwny, zadzierający nosa chłopiec średniego wzrostu, drobnej budowy, z błękitnymi oczami po matce, kasztanowymi włosami po ojcu, kolanami przypominającymi ziemniaki wbite na patyczki, wiecznie niezadowolonym grymasem wąskich ust. Wspominam tego nieco rozpuszczonego dzieciaka, który był przekonany, że jego życie potoczy się zgodnie z rozpisany wcześniej planem, i mam ochotę zdzielić go w ten głupi, wyniosły i naiwny łeb.

Justin kuczał w ogrodzie i dotykał palcami nasadzone przez siebie rośliny.

– Zioła lecznicze, ich uprawa i wykorzystanie – wyjaśnił otępiąłem, niemal sennym głosem. – Koncerny farmaceutyczne do końca skorumpują naszą planetę. Za dwadzieścia lat państwowa służba zdrowia padnie na kolana, próbując zapłacić za pigułki dla przewlekle chorego społeczeństwa. Chcę cofnąć zegar i wykorzystać to, co daje nam natura, żeby leczyć codzienne dolegliwości. Nie potrzebujesz ośmiu różnych substancji chemicznych, żeby wyleczyć ból głowy. Twoja matka mówi, że chciałaby przestać brać tabletki i zamiast tego korzystać z moich mikstur.

Patrzyłem na niego oniemiały. Byliśmy rodziną nałogowych połykaczy tabletek. Tabletki na katar sienny, tabletki na przeziębienie, tabletki na ból brzucha i głowy, na kaca i nieżyt żołądka. Mama miała nawet tabletki na swoje, jak to mawiała, „gorsze dni”. Tata łykał jedno na serce, drugie na wypadające włosy. W domu tabletki były wszędzie. A teraz niby mieliśmy uprawiać zioła i szykować własne leki. To przechodziło ludzkie pojęcie.

W czasie wakacji ojciec dostał lekkiego wylewu. Z tego powodu trochę utykał, trochę seplenił i w pewien bliżej nieokreślony sposób przestał być do końca sobą. Gdy patrzyłem na niego w tym stanie, czułem się dziwnie bezbronny, jakby w murze ochronnym rodziny powstała nieduża, lecz istotna wyrwa.

Jego lekarz, doktor Broughton, niezwykle oschły mężczyzna w nieokreślonym wieku, który mieszkał i prowadził swój gabinet w sześciokondygnacyjnym budynku za rogiem, przyszedł do nas pewnego dnia po tym, jak ojciec wrócił ze szpitala. Zapalili cygara w ogrodzie i rozmawiali o prognozach. „Moim zdaniem, Henry, powinieneś zgłosić się do naprawdę dobrego fizjoterapeuty. Niestety wszyscy, których znam, są absolutnie fatalni”.

Zaśmiali się, po czym mój ojciec stwierdził: „Nie jestem już pewien, niczego nie jestem pewien. Ale chętnie spróbuję. Właściwie wszystkiego jestem gotów spróbować, byle tylko dojść do siebie”.

W tym czasie Birdie doglądała ogródka Justina. Było gorąco i miała na sobie muślinową koszulkę, spod której prześwitywały jej sutki. Zdjęła płócienny kapelusz i stanęła przed moim ojcem i jego lekarzem.

– Znam kogoś takiego – powiedziała, trzymając ręce na biodrach.
– Jest niesamowity. Potrafi dokonywać cudów. Wykorzystuje energię. Umie przesuwac chi w ciałach ludzi. Wyleczył niejedne bolące plecy. Migreny. Poproszę go, żeby przyszedł.

Usłyszałem, jak ojciec zaczyna protestować, ale Birdie rzuciła tylko:

– Nie, naprawdę, Henry. Przynajmniej tyle mogę pomóc. Przynajmniej tyle. Zaraz do niego zadzwonię. Nazywa się David. David Thomsen.

Tamtego ranka siedziałem w kuchni i patrzyłem, jak matka robi bułeczki z serem, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Wytarła ręce o fartuch, nerwowo poprawiła końcówki suchego i potraktowanego trwałą boba, mówiąc:

– Ach, to pewnie Thomsenowie.

– Kto? – zapytałem, nie pamiętając o człowieku poleconym przez Birdie tydzień wcześniej.

– Przyjaciele Birdie i Justina – powiedziała radośnie matka. – David jest fizjoterapeutą. Zajmie się rehabilitacją twojego taty, spróbuje przywrócić mu pełną sprawność. A jego żona jest wykwalifikowaną nauczycielką i przez jakiś czas będzie was uczyć. Czy to nie cudownie?

Nie miałem szansy na dopytanie matki o szczegóły tej niespodziewanej i przedstawionej mi nagle zmiany, bo zaraz otworzyła drzwi.

Z nieco rozchylonymi z szoku ustami patrzyłem, jak wmaszerowują do środka.

Najpierw dziewczynka, na oko w wieku dziewięciu, może dziesięciu lat. Czarne włosy ścięte na boba, skrócone ogrodniczki, pozdierane kolana, plama czekolady na policzku i niewyraźna aura tłumionej energii. Na imię miała Clemency.

Potem wszedł chłopiec, mniej więcej w moim wieku, może trochę starszy, wysoki, jasnowłosy. Miał długie i ciemne rzęsy, wyraźnie zarysowane kości policzkowe, jak wycięte ze stali, ręce trzymał w kieszeniach eleganckich granatowych spodenek. Płynnym ruchem dłoni i nieco zawadiacko odgarnął grzywkę z czoła. Nazywał się Phineas, w skrócie Phin.

Za nimi szła matka. Grubokoścista, blada, płaska blondynka z nieco nerwowym usposobieniem. Jak się okazało, była to Sally Thomsen.

A na samym końcu kroczył ojciec – wysoki, barczysty, szczupły, opalony, z krótkimi ciemnymi włosami, błękitnymi oczami

o przenikliwym spojrzeniu i pełnych ustach. David Thomsen. Chwył obiema dłońmi moją dłoń i uściśnął mocno.

– Miło cię poznać, młody człowieku – powiedział niskim, łagodnym głosem. Potem puścił mnie i rozłożył ręce. – Miło was wszystkich poznać – rzucił, uśmiechając się do każdego po kolei.

David uparł się, że tego wieczoru zabierze nas wszystkich na kolację. Był czwartek, ciepło dnia jeszcze się do końca nie ulotniło. Spędziłem całkiem sporo czasu, by doprowadzić się do jak najlepszego porządku, wykraczając przy tym daleko poza czyste ubrania, równy przedziałek i wyprostowane mankiety. Ten cały Phineas mnie fascynował, nie tylko swą wspaniałą urodą, ale też stylem ubierania się. Do wspomnianych granatowych spodenek założył czerwoną koszulkę polo z białymi paskami na kołnierzyku oraz śnieżnobiałe adidasy ze skarpetkami do kostek. Przekopałem swoją garderobę w poszukiwaniu czegoś równie swobodnego. Wszystkie moje skarpetki sięgały łydek, tylko siostra miała takie do kostek. Wszystkie spodenki były wełniane, a zamiast koszulek polo miałem rozpinane koszule. Przez chwilę nawet rozważałem strój na WF, ale szybko porzuciłem ten pomysł, ponieważ zdałem sobie sprawę, że wciąż leży zmięty w torbie sportowej po ostatniej lekcji. W końcu postanowiłem założyć zwykłą niebieską podkoszulkę i dżinsy, a do tego tenisówki. Próbowałem sprawić, żeby włosy opadały mi na brew, tak jak u Phineasa, ale za nic nie chciały dać się ułożyć. Gapiałem się na swoje odbicie w lustrze przez dobre dwadzieścia sekund, po czym wyszedłem z pokoju, nie mogąc znieść widoku swojej głupiej twarzy, beznadziejnie zwykłej podkoszulki i chłopięcego kroju dżinsów od Johna Lewisa. Wydałem zduszone stęknienie, kopnąłem w ścianę i ruszyłem na dół.

W korytarzu natknąłem się na Phina, siedział na jednym z dwóch dużych drewnianych foteli, które stały po obu stronach schodów.

Czytał książkę. Przez chwilę gapilem się na niego spomiędzy szczebelków balustrady. Naprawdę nigdy wcześniej nie widziałem nikogo tak pięknego. Przyjrzałem mu się dokładniej, czując, jak czerwienieją mi policzki: delikatnie zarysowane usta, które wyglądały jak wyrzeźbione w mięciutkiej czerwonej glinie, jakby najłżejszy nacisk palca miał zostawić w nich ślad. Jego skóra wyglądała, jakby ktoś rozciągnął na jego czaszce irchę, a kości policzkowe mogły ją zaraz rozerwać. Pod nosem dostrzegałem fascynującą sugestię zarostu.

Raz jeszcze zgarnął grzywkę, a potem obrzucił mnie obojętnym spojrzeniem, gdy schodziłem na dół, i od razu wrócił do lektury. Chciałem zapytać go, co czyta, ale nie zrobiłem tego. Czułem się niezręcznie, nie wiedziałem, gdzie podziać ręce, jak stanąć. Zaraz jednak zaczęli się pojawiać pozostali: najpierw matka i ojciec, potem dziewczynka o imieniu Clemency, która podeszła do brata i ucięła sobie z nim pogawędkę, później Sally, po niej Justin i Birdie. Na sam koniec w plamie światła na szczycie schodów stanął David Thomsen.

Co mogę wam powiedzieć o Davidzie Thomsenie z perspektywy tamtego chłopca, którym wtedy byłem? Cóż, na pewno był bardzo przystojny. Nie w taki miękki, niemal kobiecy sposób, jak jego syn, lecz bardziej tradycyjnie. Miał gęsty, krótki zarost, który wyglądał jak namalowany, do tego wyraziste brwi, emanował zwierzęcą energią i siłą. Potrafił sprawić, że każda osoba, która stanęła obok niego, wydawała się od niego słabsza, nawet jeśli to nie była prawda. Mogę powiedzieć, że napawał mnie lękiem i fascynował w równych proporcjach. Mogę też dodać, że matka dziwnie się zachowywała w jego obecności; nie zalotnie, lecz ostrożnie, jakby nie do końca sobie ufała. David był jednocześnie wyniosły i przyziemny, ciepły i zimny. Nienawidziłem go, ale rozumiałem, dlaczego inni go

kochają. Jednak tamtego dnia to wszystko było dopiero pieśnią przyszłości. Na samym początku była ta pierwsza kolacja pierwszego dnia i wszyscy starali się pokazać z jak najlepszej strony.

Usiedliśmy ciasno przy długim stole w Chelsea Kitchen. Właściwie był przeznaczony dla ośmiorga gości. Wszystkie dzieci zostały stłoczone przy jednym końcu, co oznaczało, że znalazłem się łokieć w łokieć z Phineasem. Jego bliskość naładowała mnie taką energią, że czułem się jak zwierzyzna gotowa do skoku, a ponieważ byłem jeszcze zbyt młody, żeby zrozumieć, czego moje ciało tak bardzo pragnie, nie miałem innego wyjścia, jak odwrócić się do niego plecami.

Podążyłem wzrokiem na drugi koniec stołu, gdzie siedział mój ojciec.

Na jego widok poczułem, jak gdyby coś we mnie upadło, jakby jakiś ciężar zerwał się z linki i runął gwałtownie w dół szybu. Nie do końca potrafiłem nazwać swoje emocje, ale teraz mogę powiedzieć, że doświadczyłem przerażającego momentu prekognicji. Zobaczyłem ojca nagle skartłowaciałego w obecności niezwykle wysokiego Davida Thomsena, a jego niegdyś niekwestionowana pozycja na szczycie wydawała się chwiejna. Nawet bez zniszczeń, jakich udar dokonał w jego umyśle, był głępszy od wszystkich, którzy siedzieli przy stole, w tym mnie. Źle się ubrał, założył zbyt ciasną marynarkę, a ciemnoróżowa poszetka w kieszeni gryzła się z rudością jego włosów. Widziałem, jak wierci się nerwowo na krześle, jakby myślami był daleko stąd. Widziałem, jak przygląda się menu o wiele za długo. Widziałem, jak David Thomsen nachyla się w stronę mojej matki i dzieli się z nią jakąś uwagą, a potem znowu się prostuje, by obserwować jej reakcję.

Widziałem to wszystko i podświadomie, z niesamowitym dyskomfortem, rozumiałem, że oto pod moim nosem rozpoczęła się

walka o wpływy, a mój ojciec już tego pierwszego dnia zaczął przegrywać.

W poniedziałkowy poranek Libby przychodzi do pracy spóźniona o dwadzieścia minut.

Dido podnosi z zaskoczeniem wzrok. Libby nigdy się nie spóźnia.

– Już miałam do ciebie dzwonić. Wszystko w porządku? – pyta.

Libby kiwa głową, wyciąga z torebki telefon, pomadkę do ust i sweter, a potem wkłada resztę pod biurko, rozwiązuje włosy, znowu związuje, przysuwa krzesło i siada ciężko.

– Przepraszam, całą noc nie spałam – mówi w końcu.

– Właśnie miałam powiedzieć, że wyglądasz strasznie. To przez upał?

Potakuje, chociaż nie chodziło o upał. Chodziło o to, co działo się w jej głowie.

– Dobrze, to zaparzę ci mocną kawę.

Normalnie Libby zaczęłaby protestować, nie, nie, sama zaparzę sobie kawę. Ale dzisiaj nogi ma jak z ołowiu, w głowie pełno waty, więc tylko potakuje i dziękuje. Patrzy, jak Dido obsługuje ekspres, a jej widok przynosi Libby ukojenie. Koleżanka ma farbowane czarne włosy i stoi na drobnych, szeroko rozstawionych nogach w masywnych, ciemnozielonych aksamitnych adidasach, trzyma jedną rękę w kieszeni prostej czarnej sukienki.

– Proszę. Mam nadzieję, że pomoże – mówi Dido, stawiając kubek na jej biurku.

Znają się od pięciu lat. Libby wie o niej przeróżne rzeczy – jej matka była sławną poetką, ojciec znanym redaktorem gazety, a Dido wychowała się w jednym z najbardziej barwnych domów w St Albans i miała nawet własną guwernantkę. Jej młodszy brat zmarł w wieku dwudziestu lat, a Dido od jedenastu nie uprawiała seksu. Mieszka w małym domku na granicy posiadłości rodziców i wciąż ma konia, na którym jeździła jako nastolatka, a ten koń ma na imię Spangles. Libby wie, że ten barwny dom został przekazany w spadku nie Dido, lecz National Trust^[2] jako zabytek, a Dido się z tym pogodziła.

Wie też, że jej koleżanka lubi herbatę PG Tips, Benedicta Cumberbatcha, konie, gianduję, wodę kokosową, *Doktora Who*, drogie maty na materace, perfumy Jo Malone Orange Blossom, frytki, restauracje sieci Nando's i maseczki pielęgnacyjne do twarzy. Nigdy jednak nie była w domu Dido ani nie poznała jej rodziny czy przyjaciół. Nigdy nie miała okazji zobaczyć Dido poza godzinami pracy, nie licząc corocznego eleganckiego przyjęcia z okazji Bożego Narodzenia, które odbywało się w hotelu na tej samej ulicy, a także okazjonalnych wyjść integracyjnych na drinka. Właściwie Libby nie ma pojęcia, kim jest Dido.

Ale teraz patrzy na nią i nagle doznaje olśnienia: Dido jest dokładnie taką osobą, jakiej jej teraz trzeba. W sobotę na grillu u April Libby flirtowała trochę z Dannym – który okazał się wcale nie taki znowu przystojny; miał twarz ośmiolatka i bardzo małe dłonie – i rozglądała się w poszukiwaniu kogoś, z kim mogłaby porozmawiać na temat tych szalonych rzeczy, które się działy w jej życiu, o spadku i artykule z czasopisma, zmarłych rodzicach i nieznanym pokasłującym na strychu. Niestety, widziała samych ludzi podobnych do niej, wiodących normalne życie, wciąż mieszkających z rodzicami albo w maleńkich mieszkaniach z partnerami i przyjaciółmi, ludzi z niespłaconymi kredytami studenckimi, zwyczajnymi stanowiskami, zwyczajnymi marzeniami, sztuczną opalenizną, małymi pieskami, białymi zębami, czystymi włosami. Poczwała, że znalazła się

w pułapce, trafiła między dwa boleśnie nieprzystające do siebie miejsca. Wyszła przed dwudziestą trzecią, by po powrocie do domu usiąść przed laptopem i kontynuować czytanie o tym, co się przydarzyło Serenity Lamb.

Jednak przeszukiwanie internetu przyniosło jej więcej pytań niż odpowiedzi i wreszcie o drugiej w nocy trzasnęła klapą komputera. Położyła się do łóżka i pogrążyła w niespokojnych snach, pełnych dziwnych motywów i postaci.

– Potrzebuję rady w tej sprawie z Chelsea – mówi do Dido.

– Ach tak – odpowiada koleżanka, pocierając wielki srebrny wisior w kształcie dysku. – A jakiej rady?

– No, właściwie chciałam tak ogólnie pogadać, wiesz... o domach. Pomyślałam, że znasz się na domach.

– Cóż, wiem co nieco o jednym domu, nie o wszystkich domach. Ale jasne, czemu nie. Wpadnij na kolację.

– Kiedy?

– Dzisiaj?

– Tak. Byłoby bardzo miło.

Domek Dido okazał się piękny. Drzwi z witrażowymi oknami po obu stronach, drobne różowe róże rosnące przy wejściu, a na podjeździe błyszczący czarny fiat spider z opuszczanym dachem w cielistym kolorze. Auto uzupełnia dom, dom uzupełnia auto, a Libby nie może się powstrzymać i wyciąga z torebki telefon, żeby zrobić zdjęcie na Instagrama. Dido wita ją w progu, ubrana w luźne kwieciste spodnie i czarną koszulkę na ramiączkach. Jej włosy przytrzymują duże czerwone okulary przeciwsłoneczne. Libby zawsze widywała ją w pełnych butach do pracy, więc z zaskoczeniem widzi u bousej koleżanki dwie białe, drobne stopy z idealnie zadbanymi, pomalowanymi na różowo paznokciami.

– Jak tu ślicznie. Po prostu ślicznie – mówi, przechodząc przez nieduże drzwi do białego korytarza z podłogą wyłożoną terakotą.

W domu Dido stoi pełno rzeczy, które, jak zakłada Libby, dostała w spadku po rodzicach i przodkach; zdecydowanie nic z TK Maxxa. Na ścianach wiszą kolorowe abstrakcje i Libby przypomina sobie, że Dido wspominała coś o artystycznej przeszłości matki. Koleżanka prowadzi ją przez francuskie drzwi na tyły domu i siadają w idealnym małym wiejskim ogrodzie na staromodnych rattanowych fotelach Lloyd Loom z kwiecistymi poduszkami. Libby rozgląda się i dociera do niej, że może Dido wcale nie musi pracować. Może projektowanie eleganckich kuchni to jej hobby.

Dido przynosi ze środka miskę sałatki z komosą ryżową i awokado, drugą miskę z ziemniakami z masłem, bochenek ciemnego chleba i dwa kieliszki do prosecco, które zabrała ze sobą Libby.

– Jak długo tutaj mieszkasz? – pyta, smarując masłem kromkę razowca.

– Zamieszkałam tutaj po powrocie z Hongkongu, gdy miałam dwadzieścia trzy lata. To był domek mojej matki. Zachowała go dla mnie. Mój brat miał go odziedziczyć, ale cóż, stało się inaczej...

Libby uśmiecha się w osłupieniu. To wszystko wydaje jej się jak z innego świata.

– To takie smutne – mówi.

– Tak, ale ten dom to przekleństwo. Cieszę się, że nie mam z nim nic wspólnego.

Libby kiwa głową. Jeszcze tydzień temu nie miałyby bladego pojęcia o wielkich domach, które są przekleństwem, lecz teraz zbliża się do zrozumienia.

– No dobrze, to opowiedz mi o swoim domu. Powiedz mi wszystko.

Libby upija łyk prosecco, odstawia kieliszek na stolik, po czym opada na oparcie fotela.

– Znalazłam artykuł z „Guardiana”. O tamtym domu. O moich rodzicach. O mnie.

– O tobie?

– Tak – odpowiada, pocierając łokcie. – To wszystko jest trochę dziwne. Widzisz, zostałam adoptowana jako małe dziecko, kiedy nie miałam jeszcze roczku. Tamten dom w Chelsea należał do moich biologicznych rodziców. A według autora artykułu urodziłam się w sekcie.

Ostatnie słowo brzmi potwornie i bardzo starała się go nie używać, nawet o nim nie myśleć. Zupełnie nie pasuje do żalonych wyobrażeń, w których taplała się przez całe życie. Dido trochę się wierci z ekscytacji.

– Sekcie?!

– Tak. Zdaniem autora tamten dom był siedzibą czegoś w rodzaju sekty. Mieszkało tam mnóstwo ludzi, w spartańskich warunkach. Spali na podłodze. Nosili szaty, które sami sobie uszyli. A nawet... – Sięga do torebki i wyciąga stamtąd wydruk artykułu. – Popatrz, to zdjęcie moich rodziców, zrobione na przyjęciu charytatywnym sześć lat przed moimi narodzinami. No spójrz tylko na nich.

Dido bierze do ręki kartkę.

– Rany, jaka elegancja.

– No właśnie! Moja matka była bywalczynią salonów. Prowadziła firmę zajmującą się PR-em w branży modowej. Zaręczyła się z austriackim księciem. Absolutnie przepiękna.

Niesamowicie było spojrzeć na tę twarz; te farbowane na czarno włosy i przeszywające błękitne oczy przywodziły na myśl Priscillę Presley. Matka spełniła wszystkie marzenia Libby z dzieciństwa, nawet co do pracy w PR. Jej ojciec... cóż, był bardzo dobrze ubrany, ale niższy, niż sobie wyobrażała, niższy od matki, unosił nieco arogancko brodę, lecz na fotografa patrzył jakby defensywnie, niczym spodziewając się kłopotów. Obejmował Martinę Lamb w pasie, na zdjęciu widać było same opuszki jego palców na jej talii.

Ona owinęła sobie ramiona jedwabnym szalem i przytrzymała go dłonią ozdobioną pierścionkami, pod materiałem sukienki rysowały się kości biodrowe. Zdaniem autora artykułu to było ostatnie zdjęcie, jakie zrobiono przed ich zniknięciem z salonów. Następnym razem usłyszano o nich siedem lat później, gdy ich ciała zostały znalezione w kuchni ich własnego domu.

– Miałam brata i siostrę – ciągnie Libby, czując, jak pod wpływem przeżywanego na nowo szoku szybko wyrzuca słowa, które zlewają się ze sobą.

Dido podnosi na nią wzrok.

– Wow. A co się z nimi stało?

– Nikt nie wie. Prawnik zdaje się uważać, że nie żyją.

I stało się. Wypowiedziała na głos coś, co ciążyło jak największy głaz ze wszystkich, jakie spoczęły na jej barkach w ostatnich dniach. Łąduje między nimi z głuchym łupnięciem.

– Boże... Jak to możliwe? – rzuca Dido.

Libby wzrusza ramionami.

– Policja odpowiedziała na zgłoszenie jednego z sąsiadów. Znaleźli moich rodziców i jakiegoś mężczyznę, wszyscy leżeli martwi w kuchni. Wspólnie popełnili samobójstwo. W domu byłam też ja, cała i zdrowa, w kołysce na piętrze. Miałam wtedy dziesięć miesięcy. Za to po moim rodzeństwie nie było ani śladu.

Dido opada z powrotem na oparcie fotela, otwiera szeroko usta. Przez chwilę milczy, po czym mówi:

– Okej. – Nachyla się i przyciska dłonie do skroni. – Czyli była sekta. A twoi rodzice popełnili samobójstwo razem z jakimś nieznanym...

Libby kiwa głową.

– Otruli się roślinami, które wyhodowali we własnym ogrodzie.

Dido znowu opada szczęką.

– No tak, oczywiście – rzuca z przekąsem. – Ja pierdolę. I co potem?

– W domu mieszkali jeszcze inni ludzie. Prawdopodobnie druga rodzina, również z dziećmi. Ale kiedy policja dotarła na miejsce, nikogo tam nie było. Tylko ciała zmarłych i ja. A dzieci zwyczajnie... zniknęły. Od tamtej pory nikt o nich nie słyszał.

Dido drży i przykłada rękę do piersi.

– Wliczając w to twojego brata i siostrę?

– Tak. Przez ostatnie lata przed tragedią były rzadko widywane. Sąsiedzi założyli, że rodzice wysłali je do szkoły z internatem. Ale żadna szkoła nie zgłosiła, że miała takich uczniów. A jedno z nich musiało znajdować się w domu w chwili śmierci rodziców, bo podobno ktoś opiekował się mną przez kilka dni. Miałam czystą pieluszkę. A kiedy wyjęli mnie z kołyski, znaleźli to. – Wyciąga z torebki króliczą łapkę i podaje koleżance. – Było schowane pod pościelą.

– Na szczęście.

– Chyba tak.

– A ten nieznajomy, który się zabił razem z twoimi rodzicami. Kim on był?

– Nikt nie wie. Nie było żadnych dokumentów, po których można by go zidentyfikować, jedynie inicjały na liście pożegnalnym. Nikt nie zgłosił jego zaginięcia, nikt nie rozpoznał go z policyjnych szkiców. Postawiono tezę, że mógł pochodzić ze społeczności cygańskiej i nie został nigdzie zarejestrowany. Ta teoria mogłaby tłumaczyć też to. – Pokazuje na króliczą łapkę.

– Cyganie. – Dido z lubością wmasowuje sobie to słowo w skronie. – Jejku.

– A sam dom też jest dziwny. Taki mroczny. A kiedy byłam tam w sobotę rano, usłyszałam coś. Na górze.

– Jakie coś?

– No, kogoś. Ktoś się tam ruszał. Kaszlał.

– I byłaś pewna, że to nie sąsiedzi?

– Może i sąsiedzi. Ale naprawdę dźwięki wydawały się dochodzić z góry. I teraz boję się tam wrócić. Czuję, że powinnam po prostu wystawić go na sprzedaż, pozbyć się go i żyć dalej. Tylko że...

– Twoje rodzeństwo...?

– Moje rodzeństwo. Prawda. Moja historia. Dom mógłby pomóc rozwikłać tę zagadkę, a jeśli go sprzedam, może już nigdy nie dowiem się, co się stało.

Dido przez chwilę patrzy na wydruk z artykułem, a potem podnosi wzrok na Libby.

– O tutaj – mówi, wskazując opuszką palca na miejsce pod nagłówkiem. – Tutaj masz nazwisko dziennikarza. – Mruży oczy i odczytuje na głos: – Miller Roe. To do niego musisz się zgłosić. Wyobraź sobie, jaki będzie zachwycony, że tyle miesięcy spędził na zbieraniu materiałów, a teraz nagle pisze do niego sama Serenity Lamb. Serenity Lamb ze swoją króliczą łapką.

Obie na moment milkną i spoglądają na futrzaną nóżkę leżącą na stoliku ogrodowym w plamie miękkiego, cętkowanego światła.

Libby sięga po wydruk artykułu i znajduje nazwisko autora.

– Miller Roe. – Dość niezwykle, więc powinno się go łatwo wyszukać. Wyciąga telefon z torebki i wpisuje. Nie mija minuta, a już ma jego redakcyjny adres mailowy. Obraca komórkę i pokazuje go Dido, która kiwa zdecydowanie głową.

– Dobra robota – chwali ją, po czym podnosi kieliszek prosecco i wznosi toast. – Za Serenity Lamb i Millera Roe. Za odnalezienie prawdy.

[2] National Trust for Places of Historic Interest or Natural Beauty, czyli organizacja zajmująca się ochroną zabytków i pomników przyrody w Wielkiej Brytanii.

Następnego ranka Lucy budzi się o piątej trzydzieści. Ostrożnie zsuwa się z łóżka. Pies zeskakuje na podłogę i rusza za panią do aneksu kuchennego, stukając pazurami w linoleum. Giuseppe zostawił na blacie torebki herbaty, kawę rozpuszczalną i opakowanie maślanych bułeczek z czekoladą. W lodówce stoi też butelka mleka. Lucy nastawia wodę w garnku, po czym siada na plastikowym krześle w kącie i gapi się na zasłonięte okno. Po chwili wstaje i rozsuwa zasłony, po czym znowu siada i gapi się na budynek naprzeciwko, w jego ciemnych oknach odbijają się pomarańczowe promienie wschodu słońca, szare ściany na chwilę nabierają różowego odcienia. Niebo jest koloru spranego błękitu i krążą po nim ptaki. Ruch uliczny jeszcze się nie rozkręcił, jedynym źródłem hałasu jest szum wody i płomienia pod garnkiem.

Lucy spogląda na telefon. Nic. Pies wpatruje się w nią wyczekująco, więc otwiera drzwi do mieszkania, a potem po cichu te prowadzące na zewnątrz i pokazuje mu, żeby wyszedł. Zwierzę mija ją, staje pod zewnętrzną stroną ściany i podnosi na pół minuty nogę, po czym wbiega z powrotem do środka.

Po powrocie do mieszkania Lucy przysuwa plecak i rozpina wewnętrzną kieszeń. Tam znajduje się jej paszport. Otwiera go. Tak jak podejrzewała, stracił ważność trzy lata temu. Ostatni raz używała go, kiedy Marco miał dwa lata i zabrali go z Michaelem do Nowego

Jorku, żeby poznał dziadków. Krótco po tym się rozstali i Lucy już nie podróżowała.

To Michael go jej załatwił. Rezerwował loty na miesiąc miodowy na Malediwach.

– Daj mi swój paszport, kochanie. Muszę wpisać dane – powiedział.

– Nie mam paszportu – odparła.

– No to musisz go jak najszybciej odnowić, inaczej nici z wyjazdu.

Westchnęła i popatrzyła na niego.

– Słuchaj, nie mam paszportu. Kropka. Nigdy nie miałam.

Wtedy zamilkł i wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, kalkulacje jego umysłu dało się poznać po przestrzeni, jaka pojawiła się między jego wargami.

– Ale...

– Przyjechałam do Francji samochodem, jako pasażerka. Gdy byłam o wiele młodsza. Nikt nie pytał o mój paszport.

– Czyj to był samochód?

– Nie wiem.

– Czyli wywiózł cię jakiś nieznajomy?

– Nie do końca. Nie.

– Ale jaki był plan? Co byś zrobiła, gdyby ktoś poprosił cię o paszport?

– Nie wiem.

– To jak żyłaś? To znaczy...

– No cóż, tak jak wtedy, gdy mnie znalazłeś – odparła ostro. – Grałam na skrzypcach, żeby zarobić na wynajem pokoju.

– Odkąd byłaś dzieckiem?

– Odkąd byłam dzieckiem.

Zaufała mu wtedy. Wysokiemu, sympatycznemu Amerykaninowi z promiennym uśmiechem. Wtedy był jeszcze jej bohaterem; każdego wieczoru przez prawie miesiąc przychodził słuchać jej gry

na skrzypcach, mówiąc, że jest najpiękniejszą skrzypaczką, jaką kiedykolwiek widział. Zabrał ją do swojego eleganckiego domu w kolorze róży i podał miękki ręcznik, żeby wytarła się po półtoragodzinnym prysznicu w kabinie wyłożonej złotą mozaiką, a potem czesał jej mokre włosy, przyprowadzając ją o dreszcze za każdym razem, gdy opuszkami palców muskał jej nagie ramiona. Brudne ubrania oddał pokojówce, żeby je uprała, wyprasowała i położyła na narzucie łóżka w pokoju gościnnym. Wtedy Michael był delikatny, ciepły, pełen zachwytu. Oczywiście mu zaufała.

Zwierzyła mu się ze wszystkiego, opowiedziała całą historię, a on popatrzył na nią błyszczącymi orzechowymi oczami i zapewnił: „Już dobrze, jesteś bezpieczna. Jesteś teraz bezpieczna”. A potem załatwił jej paszport. Nie miała pojęcia jak i skąd. Umieszczone na nim dane nie były do końca prawdziwe: nie zgadzały się ani nazwisko, ani data i miejsce urodzenia. Ale to był dobry paszport, dzięki niemu poleciała na Malediwy i z powrotem, na Barbados i z powrotem, do Włoch, Hiszpanii i Nowego Jorku, a w żadnym z tych miejsc nikt nie zadawał żadnych pytań.

A teraz stracił ważność i Lucy nie ma pojęcia, skąd wziąć nowy, a przez to nie może wrócić do Anglii. Nie wspominając już o tym, że nie ma też paszportów dla dzieci ani dla psa.

Zamyka dokument i wzdycha. Istnieją dwa sposoby pokonania tej przeszkody: jeden jest niebezpieczny i nielegalny, drugi tylko niebezpieczny. Jedyna alternatywa to pozostanie we Francji.

Na tę myśl jej umysł wypełniają wspomnienia z ucieczki sprzed dwudziestu czterech lat. Przypomina sobie tamte chwile, tak jak tysiąc razy wcześniej: odgłos zamykanych po raz ostatni drzwi, wyszeptane dziesięciokrotnie „niedługo wrócę, obiecuję, obiecuję, obiecuję” i bieg w dół Cheyne Walk w ciemności środka nocy, z walącym sercem, przyśpieszonym oddechem. W tamtym momencie jej koszmar jednocześnie skończył się i zaczął.

CHELSEA, 1988

Minęły prawie dwa tygodnie, zanim Phineas Thomsen postanowił ze mną porozmawiać. A może było zupełnie odwrotnie, kto wie. Na pewno z jego perspektywy wyglądało to inaczej. Jednak według moich wspomnień (oczywiście całkowicie subiektywnych) to on pierwszy się odezwał.

Jak zwykle siedziałem z matką w kuchni, podsłuchując jej rozmowę z kobietami, które teraz najwyraźniej zamieszkały w naszym domu. Na tym etapie podświadomie doszedłem do wniosku, że jedynym sposobem, by jakkolwiek zorientować się w sytuacji, było słuchanie rozmów kobiet. Każdy, kto ignoruje takie gadanie, jest znacząco uboższy w wiedzę.

Birdie i Justin mieszkali u nas przez niemal pięć miesięcy, a Thomsenowie prawie dwa tygodnie. Tamtego konkretnego dnia w kuchni pojawił się temat, który zdawał się wracać średnio co czterdzieści osiem godzin: irytująca kwestia tego, gdzie Sally i David będą mieszkać. Wtedy jeszcze żałośnie trzymałem się przeświadczenia, że Thomsenowie mieli zatrzymać się u nas tylko na jakiś czas. Co kilka dni na horyzoncie pojawiała się jakaś okazja i drobiazgowo ją omawiano, a kusząca wizja ich wyprowadzki wisiała przez chwilę w powietrzu, by pęknąć jak bańka mydlana, gdy niezawodnie znajdowano jakąś istotną wadę i sytuacja wracała do

punktu wyjścia. Tamtego dnia tą „okazją” była łódź mieszkalna w Chiswick. Należała do jednej z pacjentek Davida, która wyjeżdżała na rok i potrzebowała kogoś, kto przez ten czas opiekowałby się jej pogonami.

– Niestety, jest tam tylko jedna sypialnia – mówiła Sally mojej matce i Birdie. – I do tego strasznie mała. Oczywiście David i ja możemy spać na kojach w salonie, ale tam jest trochę ciasno ze względu na wiwaria.

– Jejku – odezwała się Birdie, cały czas skubiąc skórki wokół paznokci, by potem zrzucić je na kota. – Ile ich tam stoi?

– Wiwariów? Nie mam pojęcia. Sześć czy coś koło tego. Może uda się postawić jedno na drugie.

– Ale co z dziećmi? – zapytała matka. – Będą chciały mieszkać razem? No i spać w jednym łóżku. No wiesz, Phineas to już właściwie nastolatek...

– Boże, przecież to tylko na krótko. Tylko do czasu, aż znajdziemy coś na stałe.

Podniosłem wzrok. To był moment, w którym plan zazwyczaj upadał. Moment, w którym stawało się jasne, że to głupi plan, a Sally rzucała stoicko: „Nieważne, przecież to nie na stałe”, a moja matka zaś odpowiadała: „Daj spokój, przecież my mamy tutaj tyle miejsca. Nie musicie się śpieszyć”. Wtedy Sally wyraźnie się rozluźniała, uśmiechała, dotykała ramienia matki i mówiła: „Nie chciałabym nadużywać waszej gościnności”. A moja piękna matka rzucała z pięknym niemieckim akcentem: „Nonsens, Sally. Nonsens. Możecie tu zostać tyle, ile trzeba. Coś się w końcu znajdzie. Coś idealnego”.

I tak to się potoczyło tamtego popołudnia pod koniec września. Plan z łodzią mieszkalną został gładko odrzucony w ciągu prawdopodobnie rekordowych ośmiu minut.

Muszę przyznać, że w kwestii obecności Thomsenów czułem się rozdarty. Z jednej strony zagracali mój dom. Nie tyle przedmiotami, ile po prostu sobą, swoimi ludzkimi postaciami, swoimi dźwiękami, zapachami, innością. Moja siostra i Clemency zjednoczyły się w nieświętej unii hałasu. Kręciły się po całym domu od rana do wieczora, prowadząc dziwne zmyślane zabawy, z których wszystkie zdawały się nieodmiennie wymagać robienia tyle rabanu, ile się tylko da. Co więcej, Birdie uczyła je obie grać na skrzypcach, co było absolutnie nieznośne.

Oczywiście nie mógłbym zapomnieć o Davidzie Thomsenie, którego charyzmatyczna obecność najwyraźniej opanowała każdy kąt naszego domu. Przejął nie tylko sypialnię na górze, ale też jakimś sposobem zamienił pokój od ulicy, gdzie kiedyś znajdował się baret mojego ojca, w swego rodzaju salę do ćwiczeń. Pewnego dnia przez szparę w drzwiach podejrziałem go, jak próbował podnieść całe swoje ciało z podłogi, opierając się wyłącznie na opuszkach palców.

Z drugiej strony tego wszystkiego był Phin. Chłopak, który nie chciał nawet na mnie spojrzeć, a co dopiero ze mną rozmawiać; który zachowywał się, jakbym w ogóle nie istniał. A im dłużej starał się mnie ignorować, tym częściej wydawało mi się, że umrę, jeśli mnie nie zauważy.

A potem, wreszcie, pewnego dnia to się stało. Wyszedłem z kuchni po tym, jak ustalono, że Sally i David zostają, i omal nie wpadłem na Phina idącego w przeciwnym kierunku. Miał na sobie wyblakłą bluzę z jakimś napisem i džinsy z przetartymi kolanami. Zatrzymał się na mój widok i po raz pierwszy spojrzał mi w oczy. Zaparło mi dech w piersi. Rozpaczliwie szukałem czegoś do powiedzenia, ale w głowie miałem zupełną pustkę. Przesunąłem się w swoje lewo, Phin w swoje prawo. Przeprosiłem i przesunąłem się w swoje prawo. Myślałem, że po tym minie mnie bez słowa, ale on rzucił:

– Wiesz, że zostaniemy tu na stałe, prawda?

– Słucham?

– Nie zwracaj uwagi na to, co moi rodzice mówią o wyprowadzce. Nigdzie się nie wybieramy. Wiesz, w tym domu w Bretanii zostaliśmy na dwa lata. A mieliśmy niby spędzić tam wakacje. – Zrobił pauzę i uniósł brew.

Było jasne, że powinienem w jakiś sposób zareagować, ale zamurowało mnie. Nigdy wcześniej nie znajdowałem się tak blisko kogoś tak pięknego. Jego oddech pachniał miętą.

Patrzył na mnie i dostrzegłem w jego oczach błysk rozczarowania, a może nawet nie tyle rozczarowania, ile rezygnacji, jakbym zwyczajnie potwierdził jego podejrzenia na mój temat – że jestem nudny i niewarty uwagi.

– Dlaczego nie macie swojego domu? – wydusiłem w końcu.

Wzruszył ramionami.

– Bo mój tata nie ma pieniędzy na czynsz.

– I nigdy nie mieliście swojego domu?

– Raz mieliśmy, ale sprzedał go, żebyśmy mogli podróżować.

– A co ze szkołą?

– Co ze szkołą?

– No, kiedy chodzicie do szkoły?

– Nie byłem w szkole, odkąd skończyłem sześć lat. Mama mnie uczy.

– Wow. A co z kolegami?

Popatrzył na mnie dziwnie.

– Nie brakuje ci kolegów?

Zmrużył oczy.

– Nie, ani trochę – rzucił krótko.

Wyglądało na to, że zaraz odejdzie. Nie chciałem tego. Chciałem wachać jego miętowy oddech i dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Mój wzrok padł na książkę w dłoni Phina.

– Co czytasz? – zapytałem.

Spojrzał w dół i obrócił książkę okładką do góry. To był *Kościarz* Luke'a Rhineharta. W tamtym momencie nie słyszałem jeszcze o tej powieści, ale do dzisiaj zdążyłem ją przeczytać ze trzydzieści razy.

– Dobra?

– Wszystkie książki są dobre – odparł.

– To nieprawda – zaprotestowałem. – Czytałem kilka naprawdę beznadziejnych książek.

Miałem na myśli konkretnie *Anię z Zielonego Wzgórza*, która była naszą szkolną lekturą i w życiu nie natrafiłem na głupszą i bardziej irytującą powieść.

– To nie były złe książki, tylko takie, które ci się nie podobały – tłumaczył cierpliwie Phin. – To zupełnie co innego. Jedyne złe książki to takie, które napisano tak fatalnie, że nikt nie chce ich wydać. Każda książka, która została wydana, jest dla kogoś „dobrą książką”.

Pokiwałem głową. Nie mogłem zaprzeczyć tej logice.

– Już prawie skończyłem – powiedział, spoglądając znowu na powieść. – Mogę ci potem pożyczyć, chcesz?

Pokiwałem głową.

– Okej, dziękuję.

A potem poszedł. Ale ja nie ruszyłem się z miejsca, szumiało mi w uszach, miałem spocone dłonie i serce wypełnione czymś nowym i niezwykłym.

Miller Roe wstaje na widok zbliżającej się do niego Libby. Dziewczyna rozpoznaje go ze zdjęcia w internecie, chociaż mężczyzna od tamtego czasu zapuścił brodę i trochę przytył. Właśnie pałaszował kanapkę i na brodzie została mu kropelka żółtego sosu. Wyciera ręce w serwetkę, po czym wyciąga dłoń do Libby i mówi:

– Libby, wow, strasznie się cieszę, że mogę cię poznać! – Ma londyński akcent i ciemnoniebieskie oczy. Jego dłoń jest ogromna. – Proszę, usiądź. Zjesz coś? Dają tu przepyszne kanapki.

Libby spogląda na kanapkę, która wygląda jak pozostałości po wypadku samochodowym, i rzuca:

- Dopiero co jadłam śniadanie.
- To może kawy? Herbaty?
- Cappuccino, jeśli można. Dziękuję.

Idzie do lady w modnej kawiarni na West End Lane; to on zasugerował to miejsce w połowie drogi między St Albans a South Norwood. Miller jest ubrany w dżinsy z niskim stanem i spraną koszulkę, do tego zieloną bawełnianą kurtkę i buty trekkingowe. Ma duży brzuch i wielką głowę z gęstymi, ciemnymi włosami. Jego wygląd nieco przytłacza, mężczyzna wydaje się taki niedźwiedzi, lecz nie można powiedzieć, że brzydki.

Przynosi jej cappuccino i stawia na stoliku.

– Jestem ogromnie wdzięczny, że przyjechałaś. Mam nadzieję, że podróż miło ci minęła. – Odsuwa talerzyk z kanapką na bok, jakby nie zamierzał jej już jeść.

– Nie było żadnych problemów, piętnaście minut drogi.

– Z St Albans, prawda?

– Tak.

– Bardzo ładne miejsce.

– Owszem, też mi się podoba.

– Czyli – zaczyna i robi pauzę, patrząc na nią znacząco – ty jesteś tym niemowlęciem.

Libby śmieje się nerwowo.

– Na to wygląda.

– I odziedziczyłaś tamten dom?

– Zgadza się.

– Wow, to wszystko zmienia.

– Zdecydowanie.

– Widziałaś go już?

– Tamten dom?

– No.

– Tak, dwa razy.

– Boże. – Odchyła się na krześle. – Próbowałem wszystkiego, żeby wpuścili mnie do środka. Dosłownie oferowałem prawnikowi swoje pierwotne dziecko. Kiedyś nawet usiłowałem się włamać.

– Czyli nigdy nie byłeś w środku?

– Nie, zdecydowanie nie. – Śmieje się cierpko. – Zajrzałem tylko przez okna. Nawet namówiłem sąsiadów z tyłu, by wpuścili mnie do siebie i pozwolili popatrzeć przez ich okna. Ale nigdy nie wszedłem do domu. Jak tam jest?

– Ciemno. Dużo drewnianych paneli na ścianach. Dziwnie.

– Zakładam, że planujesz go sprzedać?

– Tak, sprzedam go. Tylko... – Przeciąga opuszką palca po krawędzi filiżanki, ważąc swoje następne słowa. – Najpierw chciałam

się dowiedzieć, co tam się stało.

Miller Roe wydaje jakiś cichy pomruk i pociera brodę dłonią, rozcierając kropelkę żółtego sosu.

– Boże, nie tylko ty. Ten artykuł zabrał mi dwa lata życia. Dwa szalone, popieprzone lata prawdziwej obsesji. Zrujnował mi małżeństwo, a i tak nie dowiedziałem się tego, czego chciałem się dowiedzieć. Ani trochę.

Uśmiecha się, a Libby myśli, że w sumie ma całkiem przystojną twarz. Próbuje odgadnąć jego wiek, ale nie potrafi. Miller mógłby mieć równie dobrze dwadzieścia pięć albo czterdzieści lat.

Libby sięga do torebki i wyciąga z niej klucze do domu przy Cheyne Walk, po czym kładzie je na stoliku.

Miller spogląda na nie i w jego oczach pojawia się iskra. Wyciąga rękę.

– Mój Boże, mogę?

– Jasne. Śmiało.

Przygląda się po kolei każdemu z kluczy, muska palcami breloczek.

– Jaguar? – rzuca, podnosząc wzrok na Libby.

– Najwyraźniej.

– Wiesz co, Henry Lamb, twój ojciec, był prawdziwym twardzielem. W weekendy pędził na polowania, w tygodniu imprezował w Annabel's.

– Wiem, przeczytałam twój artykuł – odpowiada pogodnie Libby.

– No tak, oczywiście.

Na chwilę zapada cisza. Miller odrywa kawałek kanapki i wkłada sobie do ust. Libby upija łyk kawy.

– Okej, co teraz? – pyta dziennikarz.

– Chcę odnaleźć brata i siostrę – odpowiada Libby.

– To znaczy, że nigdy nie próbowali się z tobą skontaktować?

– Nie, nigdy. Jaką masz teorię?

– Mam milion teorii. Ale najważniejsze pytanie brzmi tak: czy oni wiedzą, że dom był trzymany w funduszu powierniczym dla ciebie? A jeśli tak, to czy wiedzą, że właśnie go odziedziczyłaś?

Libby wzdycha.

– Nie mam pojęcia. Prawnik powiedział, że testament spisano wiele lat wcześniej, kiedy urodził się mój brat. Dom miał zostać przekazany jemu, gdy już skończy dwadzieścia pięć lat. Ale nie zgłosił się po spadek. Następna była jego siostra, jednak ona też się nie pojawiła... a oczywiście prawnicy nie mieli żadnej możliwości skontaktowania się z którymkolwiek z nich. Tak czy inaczej, mogli wiedzieć, że trafi do mnie. Zakładając... – Chciała powiedzieć „że jeszcze żyją”, ale gryzie się w język. – A tamten facet. Ten, który zmarł razem z moimi rodzicami. W artykule napisałeś, że podążyłeś za wieloma śladami, lecz wszystkie zaprowadziły cię w ślepią uliczkę. W końcu nie udało ci się dowiedzieć, kim jest ten mężczyzna?

– Nie, niestety nie. – Miller pociera brodę. – Chociaż pojawiło się pewne nazwisko. Musiałem przestać go szukać, mimo to ciągle mnie dręczy. David Thomsen.

Libby patrzy na niego pytająco.

– W liście pożegnalnym były inicjały, pamiętasz? M.L., H.L., D.T. Dlatego poprosiłem policję o listę zaginionych, których inicjały to D.T. Sprawa Davida Thomsena była jedną z trzydziestu ośmiu, które udało im się znaleźć. Trzydzieści osiem zaginionych mężczyzn z inicjałami D.T. Dziesięciu z nich było w odpowiednim wieku. Po kolei wyeliminowałem wszystkich. Jednak ten jeden mnie zafascynował. Sam nie wiem, w jego historii coś mi pasowało. Czterdziestodwulatek z Hampshire. Urodzony i wychowany w zupełnie normalnej rodzinie. Mimo to nigdzie nie było o nim wzmianki. Ani śladu, odkąd w osiemdziesiątym ósmym wrócił z Francji z żoną o imieniu Sally i dwójką dzieci, Phineasem i Clemency. Przyłączyli się do czworo promem z Saint-Malo do Portsmouth w... – Przez chwilę kartkuje swój notes. – We wrześniu

osiemdziesiątego ósmego. A potem ślad się urywa, nie ma dosłownie nic na ich temat: nie chodzili do lekarza, nie płacili podatków, nie wysłali dzieci do szkoły, nikt nie trafił do szpitala, nic. Rodziny opisały ich jako „samotników”. Doszło do jakiegoś rozłamu, wielkiej kłótni w kwestii takiego czy innego spadku. Dlatego nikt się nie zastanawiał, co się z nimi stało. Mijały lata, aż w końcu matka Davida Thomsena u schyłku życia postanowiła doprowadzić do pojednania na łożu śmierci i zgłosiła zaginięcie syna oraz jego rodziny. Policja odbębniła poszukiwania, nie znaleźli żadnych śladów, matka umarła i nikt już więcej o nich nie pytał. Aż do czasu, kiedy ja to zrobiłem, trzy lata temu. – Miller wzdycha. – Tyle czasu poświęciłem na szukanie ich. Phineas. Clemency. To są rzadko spotykane imiona. Jeśli żyją, powinni być łatwi do wyśledzenia. A mimo to nic. Nie miałem żadnego tropu, a musiałem już wysłać tekst, potrzebowałem pieniędzy. Poddałem się. – Kręci głową. – Rozumiesz już? Rozumiesz, dlaczego zajęło mi to dwa lata i prawie mnie zabiło? Dlaczego żona mnie zostawiła? Zmieniłem się w zombie. Nie chciałem o niczym innym mówić, o niczym innym myśleć.

Wzdycha i przeciąga palcami po kluczach.

– Ale dobra, zrobmy to. Dowiedzmy się, co się stało z tymi wszystkimi ludźmi. Dowiedzmy się, co się stało z tobą. – Wyciąga rękę. – Umowa stoi, Serenity Lamb?

– Tak – odpowiada Libby, ściskając jego dłoń. – Umowa stoi.

Po śniadaniu z Millerem Roe Libby rusza prosto do biura. Jest dopiero wpół do dziesiątej i Dido prawie nie zauważa jej spóźnienia. A gdy już to robi, obrzuca koleżankę taksującym spojrzeniem i szepcze nagłym tonem:

– Boże! Widziałaś się z dziennikarzem! Jak poszło?

– Świetnie. Mamy dzisiaj wieczorem spotkać się w tamtym domu i rozpocząć śledztwo.

– Tylko we dwoje? – pyta Dido, marszcząc nieco nos.

– Tak.

– Hmm. Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– A dlaczego nie?

– No nie wiem. Może jest inny, niż się wydaje. – Dido spogląda na nią zmrużonymi oczami. – Myślę, że też powinnam pojechać.

Libby mruga powoli, po czym się uśmiecha.

– Mogłaś od razu zapytać, czy możesz jechać.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Po prostu dbam o twoje bezpieczeństwo. – Dido odwraca się z powrotem do laptopa.

– Jasne, możesz „dbać o moje bezpieczeństwo”. Spotykam się z nim o siódmej. Musimy być na miejscu o szóstej trzydzieści. Okej?

– Okej – odpowiada Dido, wpatrując się w ekran, a potem nagle dodaje: – A w ogóle to przeczytałam wszystkie książki Agathy Christie, jakie kiedykolwiek się ukazały. Dwukrotnie. Więc mogę być całkiem pożyteczna.

Lucy zostawia śpiące dzieci same i kładzie na stoliku nocnym wiadomość dla Marca: „Poszłam załatwić paszporty. Wrócę za kilka godzin. Daj siostrze jeść. Pies jest u Giuseppe”.

Wychodzi z domu o ósmej i wybiera dłuższą trasę przez miasto do Gare de Nice. Zatrzymuje się na chwilę i przysiada na ławce, rozkoszując się ciepłem porannego słońca na skórze. Za piętnaście dziewiąta wsiada do pociągu jadącego do Antibes.

Krótko po dziewiątej stoi przed domem Michaela. Na kupie zostawionej przez Fitzę dzień wcześniej siedzi chmara metalicznie połyskujących much. Lucy uśmiecha się pod nosem. Potem, bardzo powoli, czując wzbierającą w niej żółć, naciska guzik dzwonka.

Otwiera jej pokojówka. Uśmiecha się, rozpoznawszy Lucy, i mówi:

– Dzień dobry! Ty jesteś żoną Michaela! Była! Matką syna Michaela. Nie wiedziałam, że Michael w ogóle ma syna! – Przyciska dłoń do piersi i wydaje się szczerze uradowana. – Taki śliczny chłopiec. Wejdz, proszę.

W domu panuje cisza.

– Mogę się zobaczyć z Michaelem?

– Tak, tak. Jest teraz pod prysznicem. Może poczekaś na tarasie?

Joy prowadzi ją na taras i każe jej usiąść, upierając się, że przyniesie kawę i ciasteczka makaronikowe, chociaż Lucy twierdzi, że wystarczy woda. Michael nie zasługuje na taką kobietę, myśli sobie. Michael na nic nie zasługuje.

Wkłada rękę do torebki i wyciąga swój stary paszport, a także kartonik ze zdjęciami Stelli i Marca. Kawę wypija, ale ciasteczka zostawia, bo nie mogłaby ich przełknąć. Na gałęzi drzewa przysiada kolorowa żoła i rozgląda się po ogrodzie w poszukiwaniu przekąski. Lucy kruszy jedno ciasteczko i rzuca na podłogę. Ptak tego nie zauważa i odlatuje, a jej robi się niedobrze. Już wpół do dziesiątej.

Potem wreszcie pojawia się on, w śnieżnobiałej koszulce i szortach w kolorze groszku, boso i z mokrymi włosami, po których już widać, że rzednieją.

– Proszę, proszę – rzuca, cmokając ją w policzki. – Dwa razy w ciągu dwóch dni. To jakieś święto. Tym razem bez dzieci?

– Tak, jeszcze śpią. Wróciliśmy wczoraj późno.

– Następnym razem. – Posyła jej swój szeroki, złoty uśmiech i zakłada nogę na nogę. – No, mów, czemu zawdzięczam tę wizytę?

– Cóż. – Lucy dotyka paszportu opuszkami palców i Michael podąża za nimi wzrokiem. – Muszę wrócić do domu. Moja przyjaciółka jest poważnie chora. Może nawet umiera. Chcę ją zobaczyć, zanim... na wypadek gdyby... no wiesz. – Z lewego oka wypływa jej łza i przepięknie ląduje na paszporcie. Lucy ją ściera. Nie planowała się rozplakać, tak wyszło.

– Och, skarbie. – Michael kładzie dłoń na jej dłoni.

Lucy uśmiecha się sztywno, siląc się na wdzięczność za ten miły gest.

– To fatalnie. Co jej jest? Rak?

Lucy kiwa głową.

– Jajnika. – Zabiera rękę i przystawia do ust, żeby zdusić cichy płacz. – Chciałabym lecieć w przyszłym tygodniu, ale mój paszport stracił ważność. A dla dzieci nigdy nie miałam. Strasznie mi przykro,

że muszę się zwrócić z tym do ciebie, ale byłeś wczoraj taki szczodry, dając mi pieniądze na skrzypce. I naprawdę nie prosiłabym, gdybym miała jakiegokolwiek inne wyjście. Masz jeszcze dojścia do odpowiednich ludzi? Tych, którzy załatwili mi ten paszport? – Przeciąga palcem pod okiem, po czym podnosi wzrok na Michaela. Patrzy na niego żałośnie, lecz z nadzieją i wciąż kusząco.

– Ojej, no, niestety nie. Ale słuchaj, postaram się coś ogarnąć. – Przyciąga dokument do siebie. – Zostaw go u mnie.

– Proszę, przyniosłam zdjęcia. I, Boże, zabrzmie jak wariatka, ale potrzebuję też paszportu dla psa. Nie zrobiłam mu kilku szczepień i nie mogę tego załatwić normalną drogą. Zresztą kto wie, ile by to zajęło czasu...

– Zabierasz psa? Żeby odwiedzić umierającą przyjaciółkę?

– Nie mam innego wyjścia.

– Może ja bym się nim zaopiekował?

Lucy pilnuje się, by nie dać po sobie poznać, jak przeraża ją myśl, że jej ukochany piesek miałby zamieszkać z tym potworem.

– Ale co ty byś począł z psem?

– Bo ja wiem, bawiłbym się z nim? Wyprowadzałbym na spacer? Karmił go?

– Trzeba robić znacznie więcej. Trzeba wstawać każdego ranka i zabierać go na dwór, żeby się załatwił. I trzeba zbierać jego kupy.

Michael przewraca oczami.

– Joy uwielbia psy. Na pewno bardzo by się ucieszyła, gdyby tu został. I ja również.

Oczywiście, myśli Lucy, Michael nie musiałby sam zbierać psich kup.

– Wiesz co, mimo wszystko wolalabym wziąć go ze sobą. Dzieci się do niego przywiązały, ja w sumie też...

– Zobaczę, co da się zrobić. Psi paszport chyba nieco wykracza poza moje możliwości, ale postaram się.

– Boże – mówi Lucy, otwierając szeroko oczy w udawanej wdzięczności. – Ogromnie ci dziękuję, Michael. Nie potrafię wprost wyrazić słowami, jak ogromną czuję ulgę. Dosłownie wczoraj dostałam wiadomość o koleżance i całą noc nie spałam, martwiąc się, jak do niej dotrzeć. Dziękuję.

– Nie dziękuj, jeszcze niczego nie załatwiłem.

– Wiem, ale jestem wdzięczna za same chęci.

Widzi, jak jego łagodna do tej pory twarz przybiera upiorny wyraz.

– Jak bardzo wdzięczna?

Lucy znowu zmusza się do uśmiechu. Doskonale wie, jak potoczy się ta rozmowa. Była na to przygotowana.

– Bardzo, bardzo wdzięczna – odpowiada.

– Ach. – Michael odchyła się na krześle i szczyrzy zęby. – Miło to słyszeć.

Lucy odwzajemnia uśmiech i przeciąga dłonią po włosach.

Michael podąża wzrokiem do zasłoniętych okien nad ich głowami, gdzie znajduje się główna sypialnia, miejsce wielu małżeńskich gwałtów. Potem znowu patrzy na Lucy, która powstrzymuje dreszcze i mówi:

– Może następnym razem.

Michael unosi brew i przerzuca rękę przez oparcie fotela po prawej stronie.

– Czyżbyś dbała o to, bym był wysoce zmotywowany?

– Być może.

– Podoba mi się twój styl.

Lucy uśmiecha się. Potem prostuje się i ciągnie za pasek torebki.

– Muszę teraz wrócić do śpiących dzieci – oznajmia.

Oboje wstają z foteli.

– Jak myślisz, kiedy... – zaczyna Lucy z wahaniem.

– Zajmę się tym od razu. Podaj mi swój numer, a zadzwonię, kiedy będę miał jakieś wieści.

– Nie mam w tej chwili telefonu.

Michael krzywi się.

– Przecież powiedziałaś, że raptem wczoraj dostałaś wiadomość o koleżance?

Jeśli spanie przez tydzień na plaży ma jakieś zalety, to takie, że uczy szybkiego myślenia.

– Och, ale to było na telefon stacjonarny, w hostelu. Ktoś mi zapisał wiadomość na kartce.

– Dobra, to jak mogę się z tobą skontaktować? Mam zadzwonić do tego hostelu?

– Nie – odpowiada chłodno Lucy. – To ty daj mi swój numer, a ja zadzwonię z budki. Może w piątek?

Michael zapisuje numer i podaje jej kartkę.

– Tak, może być w piątek. I weź jeszcze to. – Wkłada rękę do kieszeni i wyjmuje zwitek banknotów. Wyciąga kilka dwudziestek i podaje Lucy. – Kup sobie komórkę. Na Boga.

Lucy zabiera pieniądze i dziękuje. Nie ma już nic do stracenia. Właśnie zgodziła się oddać duszę za paszport.

CHELSEA, 1989

Mijały kolejne miesiące. Phineas skończył trzynaście lat, wyrosło mu jabłko Adama i rzadki, jasny zarost pod nosem. Mnie przybyły dwa centymetry wzrostu i wreszcie zapuściłem włosy na tyle, by zaczęły mi opadać. Siostrę i Clemency połączyła jeszcze bliższa więź, wypracowały sekretny język i całymi godzinami przesiadywały na strychu, w forcie z prześcieradeł i postawionych do góry nogami krzesel. Zespół Birdie wypuścił okropny singiel, który zdobył czterdzieste ósme miejsce na listach przebojów, a kiedy obrażona zrezygnowała z dalszej współpracy, nikogo z prasy muzycznej to najwyraźniej nie obeszło. Zaczęła prowadzić odpłatne lekcje gry na skrzypcach w jednym z wolnych pokojów.

Tymczasem Justin zamienił ogród ojca w hodowlę ziół i sprzedawał swoje medykamenty przez ogłoszenia w gazetach. Sally uczyła nas wszystkich przez cztery godziny dziennie przy stole w kuchni, a David trzy razy w tygodniu prowadził alternatywną terapię w salce parafialnej w World's End i wracał do domu z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi.

Phineas nie pomylił się w swoich przewidywaniach ani na jotę.
Thomsenowie nigdzie się nie wybierali.

Kiedy wracam myślami do tych lat spędzonych w domu przy Cheyne Walk z Thomsenami, widzę dokładnie punkty zwrotne, które zmieniały bieg historii naszej rodziny, prowadząc ją w odrażającym kierunku. Pamiętam tamten obiad w Chelsea Kitchen, kiedy ojciec już przegrywał w walce o władzę, chociaż był zbyt słaby, żeby to zauważyć. Pamiętam też matkę próbującą trzymać dystans, nie błyszczeć przy Davidzie z obawy, że zacznie jej pragnąć. Pamiętam, jak to wszystko się zaczęło, jednak nie mam pojęcia, jak to się stało, że po dziewięciu miesiącach obcy ludzie z cichym przyzwoleniem naszych rodziców przejęli każdy kąt domu.

Mój ojciec udawał zainteresowanie różnymi przedsięwzięciami. Kręcił się po ogrodzie z Justinem, niby zafascynowany grządkami ziół i innych roślin; każdego wieczoru o siódmej nalewał whiskey do dwóch szklanek i siadał z Davidem w kuchni, gdzie prowadzili wymuszone rozmowy o polityce i sprawach świata; wybałuszał nieco oczy z wysiłku, jaki kosztowało go udawanie, że wie, o czym mówi. (Ojciec zawsze widział świat w czarno-białych barwach; wszystko było albo dobre, albo złe, a niuanse nie istniały. Żenujące). Czasami przysiadał się do nas w trakcie lekcji i wydawał się pod ogromnym wrażeniem naszej wiedzy. Nie potrafiłem pojąć, co się z nim stało. Zupełnie jakby Henry Lamb opuścił już dom, ale zostawił swoje ciało.

Rozpaczliwie pragnąłem porozmawiać z nim o tym wszystkim, co się działo, o kresie mojego dotychczasowego życia, lecz bałem się, że w ten sposób pozbawiłbym go resztek poczucia własnej wartości. Wydawał się taki kruchy, taki słaby. Na początku lata widziałem go w porze obiadowej przed drzwiami frontowymi, jak trzymał w rękach czapkę

i kurtkę, sprawdzając zawartość portfela. Skończyliśmy już tamtego dnia lekcje i nudziłem się.

– Gdzie idziesz? – zapytałem.

– Do klubu – odparł.

Ach, swojego klubu. Kilku zadymionych pokoiów przy uliczce odchodzącej od Piccadilly. Byłem tam raz, kiedy matka wyszła z domu, a opiekunka nie dotarła. Zamiast siedzieć w domu z dwójką małych, nudnych dzieciaków, które trzeba zabawiać, wsadził nas na tylne siedzenie czarnej taksówki i zabrał do swojego klubu. Popijaliśmy sobie w kącie lemoniadę i jedliśmy orzeszki, a on palił cygara i sączył whiskey w towarzystwie mężczyzn, których nigdy wcześniej nie widziałem. Zauroczyło mnie tamto miejsce, nie chciałem go opuszczać i modliłem się, żeby opiekunka już nigdy nie przyjeżdżała.

– Mogę iść z tobą?

Popatrzył na mnie tak, jakbym zadał mu bardzo trudne pytanie z matematyki.

– Proszę, będę cicho. Nie będę się odzywał.

Podniósł wzrok, jakby odpowiedź na jego rozterki miała pojawić się na podeście schodów.

– Skończyłeś lekcje?

– Tak.

– Dobra.

Począł, aż założy kurtkę, a potem wyszliśmy razem na ulicę i złapaliśmy taksówkę.

W klubie nie znalazł nikogo znajomego i zamówiwszy napoje, popatrzył na mnie, mówiąc:

– Więc co u ciebie?

– Nie wiem. Jestem zdezorientowany.

– Zdezorientowany?

– Tak. Nie wiem, jak się potoczy nasze życie. – Wstrzymałem oddech. W przeszłości za tego typu zuchwałość ojciec skrzywiłby się, a potem odwrócił do matki i zapytał, czy jej zdaniem takie zachowanie jest akceptowalne, czy właśnie tak chcą wychowywać dziecko.

Teraz jednak skierował na mnie spojrzenie wodnistych oczu i rzucił krótko:

– Tak.

Natychmiast odwrócił wzrok.

– Ty też jesteś zdezorientowany?

– Nie, synu, skądże. Doskonale wiem, co się dzieje.

Nie potrafiłem zdecydować, czy to znaczy, że wie i ma kontrolę nad sytuacją, czy może wie, ale nie potrafi zrobić nic, by temu zapobiec.

– No i? Co się dzieje?

Dostaliśmy nasze napoje: lemoniada na białej podkładce dla mnie i whiskey z wodą dla ojca. Nie odpowiedział na moje pytanie i pomyślałem, że już nie odpowie. Potem jednak westchnął.

– Synu, czasami w życiu natrafiasz na rozwidlenie drogi. Właśnie na takie rozwidlenie natrafiliśmy z twoją matką. Ja chciałem iść w jedną stronę, ona w drugą. Ona wygrała.

Uniosłem wysoko brwi.

– Masz na myśli to, że mama chce gościć tych wszystkich ludzi? Naprawdę tego chce?

– Czy ich chce? – rzucił ponuro, jakby moje pytanie było absurdalne, chociaż wcale nie było.

– Czy chce mieszkać z tymi wszystkimi ludźmi?

– Chryste, nie wiem. Już przestałem rozumieć, czego chce twoja matka. Posłuchaj mojej rady, synu. Nigdy się nie żeń. Kobiety może i są ładne, ale niszczą mężczyznę.

Nic z tego nie miało dla mnie sensu. Co małżeństwo z kobietą – coś, czego w żadnym wypadku nie chciałem, ale co wydawało mi się wtedy nie do uniknięcia; z kim miałem wziąć ślub, jeśli nie z kobietą? – miało wspólnego z lokatorami na piętrze?

Patrzyłem na niego wyczekująco, licząc, że powie coś zrozumiałego i pouczającego. Niestety, mój ojciec nie posiadał odpowiedniej inteligencji emocjonalnej albo też, po udarze,

słownictwa potrzebnego do bycia zrozumiałym i pouczającym. Wyciągnął cygaro z kieszeni kurtki i przez chwilę przygotowywał je do zapalenia.

- Czyli nie przepadasz za nimi, zgadza się? – zapytał w końcu.
- Nie przepadam. Wyprowadzą się kiedyś?
- Cóż, gdybym miał coś do powiedzenia w tej sprawie...
- Przecież to twój dom. Z pewnością masz coś do powiedzenia.

Wstrzymałem oddech, martwiąc się, że za bardzo go naciskam, lecz on tylko westchnął.

- Można by tak pomyśleć, prawda?

Jego tępota doprowadzała mnie do szału. Miałem ochotę wrzeszczeć. Zamiast tego powiedziałem:

– Nie możesz po prostu kazać im się wynosić? Wytłumaczyć im, że chcesz swój dom z powrotem? Że chcemy znowu chodzić do szkoły? Że nie życzymy sobie już ich obecności?

- Nie. Nie mogę – odparł ojciec.
- Dlaczego?

Mój głos był wyższy o oktawę i zobaczyłem, jak ojciec się wzdryga.

– Już mówiłem. Chodzi o twoją matkę. Ona ich potrzebuje. Jego potrzebuje.

- Jego? Davida?

– Tak, Davida. Wygląda na to, że dzięki niemu łatwiej znosi swoją bezsensowną egzystencję. Dzięki niemu jej życie „nabiera znaczenia”. Ale obiecałeś, że nie będziesz się odzywał – warknął, otwierając gazetę. – Może byś tak dotrzymał słowa?

Miller Roe staje przed domem przy Cheyne Walk i gapi się w telefon. Wygląda jeszcze bardziej niechlujnie niż tamtego ranka w kawiarni przy West End Lane. Na widok zbliżających się do niego Libby i Dido prostuje się i uśmiecha.

– Miller, to jest Dido, moja koleżanka... – już ma dodać „z pracy”, ale gryzie się w język. – Dido, poznaj Millera Roe.

Podają sobie dłonie, a potem wszyscy odwracają się w kierunku domu. Okna błyszczą złotem w blasku zachodzącego słońca.

– A niech mnie, Libby Jones – mówi Dido. – Jesteś właścicielką prawdziwej willi.

Libby uśmiecha się i podchodzi, żeby odpiąć kłódkę. Nie czuje się właścicielką, kiedy stają we trójkę w przedpokoju i rozglądają się dokoła. Cały czas czeka na pojawienie się prawnika, który wyminąłby ich i wszedł do środka pewnym krokiem.

– Już rozumiem, o co ci chodziło z tymi drewnianymi panelami – odzywa się Miller. – W tym domu kiedyś było pełno wypchanych zwierząt i noży myśliwskich. Podobno stały tu prawdziwe trony, o tutaj... – Wskazuje miejsca po obu stronach schodów. – Pana i pani domu – dodaje cierpko.

– Kto ci powiedział o tronach? – pyta Dido.

– Dawni przyjaciele Henry’ego i Martiny, którzy przychodzili tutaj na słynne przyjęcia w latach siedemdziesiątych i na początku

osiemdziesiątych. Kiedy dzieci były jeszcze malutkie. W tamtych czasach było tu podobno bardzo wytwornie.

– A gdzie się podzieli ci wszyscy przyjaciele, kiedy zaczęło robić się naprawdę źle?

– Och, źle się wyraziłem. To nie byli przyjaciele, raczej znajomi. Rodzice kolegów i koleżanek dzieci ze szkoły, tymczasowi sąsiedzi, kosmopolityczna śmietanka towarzyska. Nikt, komu naprawdę zależałoby na rodzinie Lambów. Tylko ludzie, którzy ich pamiętali.

– I ich trony – dodaje Libby.

Miller uśmiecha się.

– A co z dalszą rodziną? Gdzie oni się podzieli? – drąży Dido.

– Cóż, Henry nie miał rodziny. Urodził się jako jedynak, rodzice zmarli. Ojciec Martiny nie utrzymywał z nią kontaktu, matka wyszła ponownie za mąż i mieszkała w Niemczech z drugą rodziną. Podobno chciała odwiedzić córkę, ale Martina ją ciągle zbywała. Matka nawet wysłała tutaj swojego syna w dziewięćdziesiątym drugim. Przychodził i pukał do drzwi codziennie przez pięć dni, lecz nikt mu nie otworzył. Słyszał hałasy dobiegające ze środka, widział poruszające się zasłony. Linia telefoniczna została odłączona. Matkę dręczyło poczucie winy, że nie postarała się bardziej. Nigdy się z tym nie pogodziła. Mogę...? – Skręca w lewo, w kierunku kuchni.

Libby i Dido idą za nim.

– A tutaj dzieci odbywały lekcje – ciągnie. – W szufladach było pełno papierów, podręczników, zeszytów.

– Kto ich uczył?

– Nie wiemy. Na pewno nie Henry Lamb. Nie zdał egzaminów i nie poszedł na studia. Angielski nie był ojczystym językiem Martiny, więc raczej też nie ona. Podejrzewam, że ktoś z tych tajemniczych „innych ludzi”. I najprawdopodobniej kobieta.

– Co się stało z podręcznikami? – pyta Libby.

– Nie mam pojęcia – przyznaje Miller. – Może wciąż gdzieś tutaj leżą?

Libby spogląda na duży drewniany stół na środku pomieszczenia, z czterema szufladami, po dwie na stronę. Wstrzymuje oddech i po kolei wysuwa każdą z nich. Wzdycha. Są puste.

– Może policja zabrała jako dowody w sprawie. Możliwe, że je zniszczyli – odzywa się Miller.

– Co jeszcze zabrali? – dopytuje Dido.

– Szaty. Pościel. Wszystkie medykamenty, buteleczki, słoiczki i tak dalej. Mydło. Ręczniki. To wszystko na próbki włókien. Ale właściwie nic innego tutaj nie było. Żadnych obrazów na ścianach, żadnych zabawek, butów.

– Butów? – powtarza Dido.

Libby kiwa głową. To był jeden z najbardziej szokujących szczegółów zawartych w artykule Millera. Dom pełen ludzi i ani jednej pary butów.

Dido rozgląda się.

– W latach siedemdziesiątych to wnętrze musiało być ostatnim krzykiem kuchennej mody.

– Prawda? I do tego z najwyższej półki – zgadza się Miller. – Praktycznie całe wyposażenie domu, które potem wyprzedali, pochodziło z Harrodsa. Archiwista z ich działu sprzedaży pozwolił mi spojrzeć na faktury z czasów, gdy Henry urządził dom. Sprzęt, łóżka, lampy, kanapy, ubrania, cotygodniowe dostawy kwiatów, wizyty u fryzjerów, kosmetyki, ręczniki, jedzenie, wszystko.

– W tym moja kołyska.

– Tak, w tym twoja kołyska. Która, o ile dobrze pamiętam, została kupiona w siedemdziesiątym siódmym, kiedy urodził się młody Henry.

– Czyli byłem trzecim dzieckiem, które w niej spało?

– Na to wygląda.

Ruszają do małego pokoju z przodu budynku i Dido mówi:

– Jaką masz teorię? Co twoim zdaniem się tutaj wydarzyło?

– W wielkim skrócie? Dziwni ludzie wprowadzają się do domu bogatej rodziny. Zaczynają dziać się dziwne rzeczy i wszyscy umierają, nie licząc kilku nastolatków, o których słuch zaginął. No i jeszcze niemowlę, Serenity. Są też dowody na to, że ktoś inny tutaj mieszkał. Ktoś, kto założył ogród z ziołami. Spędziłem cały miesiąc na poszukiwaniach każdego aptekarza w Wielkiej Brytanii i za granicą, który mógł mieszkać w tamtym okresie w Londynie. Nic. Ani śladu.

Pokój, w którym się znajdują, ma drewniany parkiet i drewniane panele na ścianach. Z jednej strony widać duży kamienny kominek, z drugiej resztki mahoniowego barku.

– W tym miejscu znaleźli sprzęt – mówi ponuro Miller. – Z początku policjantom wydawało się, że to narzędzia tortur, lecz później okazało się, że to domowej roboty sprzęt do kalisteniki. Ciała dwójki zmarłych okazały się bardzo szczupłe i umięśnione. Najwyraźniej ćwiczyli właśnie w tym pomieszczeniu. Możliwe, że celem było zniwelowanie negatywnych efektów niewychodzenia z domu. No i znowu, poświęciłem wiele miesięcy na poszukiwanie każdego nauczyciela kalisteniki, jakiego tylko się dało, żeby sprawdzić, czy ktoś coś wie na temat wykorzystywania tej techniki w Chelsea w latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych. Raz jeszcze pudło. – Wzdycha, a potem nagle zwraca się do Libby: – Trafiłaś do sekretnych schodów? Prowadzących na strych?

– Tak, prawnik mi je pokazał.

– A widziałaś zamki? W drzwiach pokojów dzieci?

Libby czuje, jak przechodzi ją dreszcz.

– Wtedy jeszcze nie miałam za sobą lektury artykułu, więc nie przyjrzałam się. A kiedy byłam tutaj ostatnio... – Milknie na moment.

– Ostatnim razem wydawało mi się, że słyszę kogoś na górze. Przestraszyłam się i uciekłam.

– Pójdziemy tam?

– Dobra – odpowiada, kiwając głową.

– W domu moich rodziców też są takie ukryte schody – odzywa się Dido, ściskając poręcz, gdy wspinają się po wąskich stopniach. – W dzieciństwie się ich bałam. Byłam przekonana, że jakiś urażony duch mnie tam zamknie i już nigdy nie będę mogła wyjść.

Usłyszawszy to, Libby przyśpiesza kroku i na samą górę wchodzi nieco zdyszana.

– Wszystko w porządku? – pyta łagodnie Miller.

– Aha, całkiem w porządku – mamrocze w odpowiedzi Libby.

Dziennikarz przystawia dłoń do ucha.

– Słyszysz? – pyta.

– Co takiego?

– To skrzypienie?

Libby kiwa głową, otwiera szeroko oczy.

– Tak się dzieje w starych domach, gdy robi się albo za gorąco, albo za zimno. To takie narzekanie. Właśnie coś takiego słyszałaś tamtego dnia. Narzekanie domu.

Kusi ją, by zapytać, czy domy też kaszlą, gdy jest im za gorąco, ale gryzie się w język.

Miller wyciąga telefon z kieszeni i celuje aparatem przed siebie, po czym włącza nagrywanie.

– Boże – mówi głośnym szeptem. – To jest to. To jest to.

Kieruje obiektyw na drzwi pierwszego pomieszczenia po lewej.

– Patrzcie.

Libby i Dido podążają wzrokiem we wskazane przez niego miejsce. Widać zamek od strony korytarza. Ruszają za Millerem do kolejnych drzwi. Znowu zamek. I znowu, i znowu.

– Wszystkie cztery pokoje da się zamknąć z zewnątrz. Zdaniem policji właśnie tutaj spały dzieci. To w nich znaleziono ślady krwi i wydrapane znaki na ścianach. Popatrzcie, nawet łazienka ma zamek z zewnątrz.

Trzyma rękę na klamce jednego z pokojów.

Libby kiwa głową.

Gdy pierwszy raz czytała artykuł Millera, tylko omiotła wzrokiem akapity poświęcone pomieszczeniom na górze, nie mogąc znieść tego, co w nich sugerował. Teraz chce jak najszybciej mieć to już za sobą.

Za drzwiami znajduje się całkiem spory pokój, pomalowany na biało, z żółtymi plamami przy listwach przypodłogowych, z gołym parkietem, obszarpanymi zasłonkami w oknach, cienkimi materacami w kącie, niczym więcej. W następnym pokoju jest tak samo. I następnym. Libby wstrzymuje oddech, kiedy docierają do czwartej sypialni, ponieważ jest pewna, że za drzwiami napotkają człowieka. Jednak nie ma tam nikogo, widzą tylko puste, białe pomieszczenie z białymi zasłonami i gołą podłogą. Już mają zamknąć za sobą drzwi, kiedy Miller zatrzymuje się, celuje telefonem w najdalszy kąt pokoju, gdzie leży materac.

– No co?

Podchodzi do niego i odsuwa go trochę od ściany, robiąc zbliżenie na coś, co tam leży.

– Co to jest?

Podnosi to i trzyma przed obiektywem, a potem przygląda się temu uważnie.

– To skarpetka.

– Skarpetka?

– Tak, męska skarpetka.

Czerwono-niebieska skarpetka wygląda osobiwie kolorowo na tle białego wnętrza.

– To dziwne – stwierdza Libby.

– Więcej niż dziwne. Wręcz niemożliwe. Popatrz. – Miller obraca skarpetkę i pokazuje ją Libby i Dido.

Widać na niej logo Gap.

– No i? Nie kapuję – rzuca Dido.

– To obecne logo Gap – tłumaczy Miller. – Używają go dopiero od kilku lat. – Patrzy Libby w oczy. – Ta skarpetka jest nowa.

Lucy dzwoni do Michaela o siedemnastej w piątek z budki telefonicznej za rogiem. Jej były mąż odbiera od razu.

– Tak myślałem, że to ty – mówi, a w jego głosie słychać lubieżny uśmiech.

– Jak się miewasz? – pyta Lucy promiennie.

– Och, cudownie, a ty?

– Również.

– Kupiłeś już sobie komórkę? To jest numer linii naziemnej, prawda?

– Znajomy ma mi coś załatwić. – Lucy kłamie bez wahania. – Coś ze zwrotów. Powinnam mieć ją jutro.

– Świetnie, świetnie. A ponieważ wiem, że nie dzwonicz na pogaduszki, pewnie chciałybyś dowiedzieć się, czy udało mi się spełnić twoją prośbę.

Lucy śmieje się cicho.

– Owszem, chciałabym – mówi.

– Cóż, padniesz na kolana z wdzięczności, Lucy Lou, bo załatwiłem ci pełen pakiet. Paszporty dla ciebie, dla Marca, twojej córeczki, a nawet psa. Właściwie to za wasze paszporty zabuliłem tyle, że psi dorzucili gratis!

Lucy czuje, jak wzbiera w niej żółć i lunch podchodzi jej do gardła. Nie chce myśleć o tym, ile pieniędzy Michael wydał na

paszporty i czego będzie oczekiwał w zamian. Zmusza się do śmiechu i rzuca:

– Ojej, ale miło z ich strony!

– Dupa, a nie miło – wypala Michael, po czym dodaje: – To co, wpadniesz? Przyjdiesz odebrać dokumenty?

– Pewnie! Pewnie, ale nie dzisiaj. Może jutro albo w niedzielę?

– Niech będzie niedziela. Przyjdź na obiad. Joy ma wtedy wolne, więc będziemy sami.

Lucy czuje posmak żółci w ustach.

– O której? – pyta, siląc się na luz.

– Powiedzmy, że o pierwszej. Wrzucę jakieś steki na grilla. A ty zrobisz takie coś, co kiedyś robiłaś. Jak to się nazywało? Takie z chlebem i pomidorami?

– Panzanella.

– Właśnie. Boże, kiedyś wychodziła ci przepyszna.

– Och, dziękuję. Mam nadzieję, że nie wyszłam z wprawy.

– Tak, tak, tęsknię za twoimi wprawnymi rączkami.

Lucy wybuchła śmiechem. Żegna się z Michaeliem i obiecuje, że przyjdzie w niedzielę o pierwszej. Potem odkłada słuchawkę na widełki i wyskakuje z budki, żeby zwymiotować.

CHELSEA, 1990

Latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, kiedy dopiero co skończyłem trzynaście lat, pewnego popołudnia natknąłem się na podeście schodów na matkę. Właśnie wkładała czystą pościel do szafy do suszenia. Kiedyś raz w tygodniu całe nasze pranie zabierał mały van ze złotymi literami na boku, a kilka dni później wracało równiutko poskładane i owinięte wstążką albo na wieszakach, schowane pod folią.

– Nie oddajemy już rzeczy do pralni? – zapytałem.

– Do pralni?

Włosy jej urosły. Zdaje się, że nie obcinała ich od dwóch lat, odkąd ci obcy ludzie u nas zamieszkali. Birdie nosiła długie włosy, podobnie Sally. Matka zawsze obcinała je na boba, a teraz sięgały jej już za łopatki i miały przedziałek na środku. Byłem ciekaw, czy próbowała upodobnić się do pozostałych kobiet w domu w taki sam sposób, jak ja próbowałem być jak Phin.

– Nie pamiętasz? Tamten stary facet w białym vanie zabierał nasze brudy i był taki drobny, że kiedyś martwiłaś się, czy aby na pewno będzie w stanie wszystko zanieść.

Matka powoli przesunęła wzrok w lewo, jakby próbowała przypomnieć sobie sen, a potem powiedziała:

– Ach, tak. Zupełnie o nim zapomniałam.

– Dlaczego już nie przyjeżdża?

Potarła opuszki palców, a ja popatrzyłem na nią z niepokojem. Wiedziałem, co oznacza ten gest, i już od dawna to podejrzewałem, ale teraz pierwszy raz zostało to potwierdzone. Byliśmy biedni.

– Co się stało ze wszystkimi pieniędzmi taty?

– Ciii.

– Ale ja nie rozumiem.

– Ciii! – uciszyła mnie znowu, po czym delikatnie poprowadziła mnie do sypialni i posadziła na łóżku. Chwyła mnie za rękę i obrzuciła surowym spojrzeniem. Zauważyłem, że nie pomalowała oczu, i zacząłem się zastanawiać, od jak dawna tego nie robi. Tyle rzeczy uległo powoli zmianie przez tak długi okres, że czasami trudno było niektóre z nich dostrzec.

– Musisz mi obiecać, ale naprawdę obiecać, że nikomu nie powiesz o tym słowa. Ani siostrze. Ani innym dzieciom. Ani dorosłym. Nikomu, dobra?

Pokiwałem zdecydowanie głową.

– Mówię ci to tylko dlatego, że ci ufam. Bo jesteś rozsądny. Więc nie zawieź mnie, okej?

Pokiwałem jeszcze mocniej.

– Taty pieniądze już dawno się skończyły.

Przełknąłem głośno ślinę.

– Ale jak to? Wszystkie?

– Praktycznie tak.

– To z czego się utrzymujemy?

– Tata sprzedaje swoje akcje i udziały. Wciąż jeszcze ma kilka kont oszczędnościowych. Jeśli wystarczy nam do życia trzydzieści funtów tygodniowo, powinniśmy dać sobie radę przynajmniej przez kilka lat.

– Trzydzieści funtów tygodniowo? – Wybałuszyłem oczy z wrażenia. Matka kiedyś wydawała tyle na same świeże kwiaty do wazonów. – Ale to niemożliwe!

– Właśnie, że możliwe. David usiadł z nami i wszystko policzył.

– David? Ale co on wie o pieniądzach? David nawet nie ma własnego domu!

– Ciii. – Przyłożyła palec do ust i spojrzała nieufnie w stronę drzwi. – Musisz nam zaufać, Henry. To my jesteśmy dorośli, a ty będziesz musiał nam po prostu zaufać. Birdie zarobi trochę na lekcjach gry na skrzypcach. David zarobi na prowadzeniu treningów. Justin przynosi całe mnóstwo pieniędzy.

– No tak, ale nie dają nam ani grosza, prawda?

– Dają. Wszyscy się dorzucamy. Poradzimy sobie.

I wtedy to do mnie dotarło. Wszystko stało się jasne.

– Czy my teraz żyjemy w jakiejś komunie? – zapytałem z przerażeniem.

Matka roześmiała się, jakbym zasugerował coś kompletnie absurdalnego.

– Nie! Oczywiście, że nie!

– Dlaczego tata nie może po prostu sprzedać domu? Moglibyśmy się przeprowadzić do jakiegoś małego mieszkania. Byłoby naprawdę miło. I mielibyśmy mnóstwo pieniędzy.

– Tu nie chodzi wyłącznie o pieniądze, wiesz o tym, prawda?

– No to o co? O co chodzi?

Westchnęła cicho i zaczęła masować kciukami moją dłoń.

– Cóż, chyba o mnie. Chodzi o to, jak się czuję teraz sama ze sobą. Chodzi o to, że bardzo długo byłam bardzo smutna, a to wszystko – wskazała gestem wielką sypialnię, zasłony z lambrekinami, błyszczący żyrandol – nie dawało mi szczęścia, ani trochę. A potem pojawił się David i pokazał mi inne życie, mniej samolubne. Mamy za dużo, Henry. Nie widzisz tego? O wiele, wiele za dużo, a kiedy masz za dużo, to wszystko ciągnie cię w dół. A teraz pieniędzy już praktycznie nie ma i nadszedł dobry moment, żeby coś zmienić, żeby zastanowić się nad tym, co jemy, czego używamy, co kupujemy i czym wypełniamy nasze dni. Musimy

przestać brać, a więcej dawać. Wiedziałaś, że David – gdy wypowiadała jego imię, jej głos brzmiał jak stuknięcie łyżeczką o kieliszek wina – oddał niemal wszystkie swoje pieniądze na działalność charytatywną? A teraz dzięki jego radom my robimy to samo. Pomaganie potrzebującym jest dobre dla duszy. Nasze dotychczasowe życie było takie marnotrawne. Takie niewłaściwe. Rozumiesz? Ale teraz mamy Davida, a on nam pokaże, jak wyrównać rachunek.

Dałem sobie jeszcze chwilę na to, by w pełni pojąć sens jej słów.

- Czyli zostają? Na zawsze? – powiedziałem w końcu.
- Taką mam nadzieję – odparła z uśmiechem.
- I jesteśmy biedni?
- Nie, skarbie. Nie jesteśmy biedni. Jesteśmy wolni.

Libby, Miller i Dido przeczesują każde piętro domu, szukając miejsc, którymi tajemniczy właściciel skarpetki mógłby dostać się do środka. Na tyłach znajdują się duże oszklone drzwi, które wychodzą na kamienne schodki prowadzące do ogrodu. Są zamknięte od środka na rygiel, a do tego – jak się okazuje, gdy próbują je otworzyć – także na klucz. Gałęzie wisterii wrosły we wszystkie szczeliny między drzwiami a framugą, co świadczy o tym, że nie otwierano ich od co najmniej wielu tygodni, jeśli nie lat.

Usiłują podnieść wszystkie okna po kolei, ale ani drgną. Zaglądają do ciemnych kątów w poszukiwaniu ukrytych drzwi, lecz żadnych nie znajdują.

Sprawdzają każdy klucz z pęku Libby i wreszcie udaje im się odnaleźć ten właściwy. Mimo to nie dają się otworzyć.

Miller wygląda przez przeszklenie, starając się dojrzeć, jak wyglądają z zewnątrz.

– Widzę kłódkę. Masz jakiś mały klucz?

Libby wyszukuje najmniejszy i podaje go Millerowi.

– Co byś powiedziała, gdybym pozbył się jednej z szyb?

– Pozbył się? W jaki sposób?

Pokazuje swój łokieć.

Libby krzywi się, ale mówi:

– Śmiało.

Dziennikarz bierze zniszczoną zasłonę z perkalu, żeby owinać nią rękę. Rozbija szkło, które wychodzi w dwóch kawałkach. Wkłada dłoń przez powstałą w ten sposób dziurę i odpina kłódkę kluczykiem. Drzwi wreszcie się otwierają, rozrywając pędy wisterii.

– Proszę bardzo, to tutaj uprawiano zioła. I truciznę – oznajmia, wychodząc na trawnik.

– Tę truciznę, która zabiła rodziców Libby? – pyta Dido.

– Tak. *Atropa belladonna*. Inaczej wilcza jagoda. Policja znalazła całkiem dorodny krzak.

Schodzą na sam dół ogrodu, zacieniony i chłodny dzięki koronie wysokiej akacji. Stoi tam ławka, zakrzywiona, by podążać za cieniem drzewa, i ustawiona przodem do tyłów domu. Nawet w czasie najgorętszego lata ostatnich dwudziestu lat ławka jest wilgotna i pokryta pleśnią. Libby dotyka opuszkami palców podłokietnika i wyobraża sobie Martinę Lamb siedzącą tutaj w słoneczny poranek, z kubkiem herbaty w miejscu, gdzie teraz spoczywają palce Libby, i obserwującą krążące po niebie ptaki. Wyobraża sobie, jak długa dłoń wędruje do ciężowego brzucha, a Martina uśmiecha się, wyczuwając kopiące w środku niemowlę.

A potem widzi ją rok później, jak wypija truciznę do obiadu i kładzie się na podłodze, by umrzeć bez żadnego powodu, zostawiając córkę samą na górze.

Libby nagle wycofuje rękę i odwraca się, by spojrzeć na dom.

Stąd widać cztery duże okna wychodzące z salonu na piętrze. Nad nimi cztery mniejsze, po dwa na każdą sypialnię, i jeszcze mniejsze okno pośrodku, które znajduje się nad podestem schodów. Nad nimi wszystkimi osiem węższych okien z okapami, po dwa na każde pomieszczenie na strychu, i maleńkie okrągłe okienko między nimi – tam, gdzie łazienka. Wyżej już tylko płaski dach, trzy kominy i błękitne niebo.

– Patrzcie! – woła Dido, stając na palcach i wskazując coś z ekscytacją. – Patrzcie! Czy to nie drabina? Albo wyjście

przeciwpożarowe?

– Gdzie?

– No tam! Wciśnięta za komin, ten czerwony. No przyjrzyjcie się.

Libby zauważa błysk metalu. Podąża wzrokiem w dół, do ceglanej półki, potem nad okapy i po rynnie, która jest przymocowana do kolejnego ceglanego cypla z boku budynku, skąd wystarczy krótki skok na mur otaczający ogród, później w dół do swego rodzaju betonowego bunkra i wreszcie do samego ogrodu.

Obraca się. Za jej plecami znajdują się gęste zarośla, ograniczone murem z cegieł. Libby przemierza oczywistą ścieżkę, jej stopy odnajdują miejsca wolne od chwastów. Wśród gałązek i liści jest pełno starych pajęczyn, które zostają na jej ubraniach i we włosach. Mimo to idzie dalej. Czuje w sobie ten bieg, już dobrze wie, czego szuka. I proszę bardzo, poobijana drewniana furtka, pomalowana na ciemną zieleń, wisi krzywo na zawiasach i prowadzi do zarośniętego ogródka sąsiadów.

Miller i Dido stają za jej plecami, patrzą na drewnianą furtkę. Libby otwiera ją, ile tylko może, po czym zagląda na drugą działkę.

Widzi zarośnięty, zaniedbany ogród. Na środku trawnika stoi krzywy zegar słoneczny, prowadzą do niego nierówne, przysypane żwirem ścieżki. Nie widać żadnych mebli, żadnych dziecięcych zabawek. A dalej, wzdłuż boku budynku, biegnie alejka, która zdaje się wychodzić bezpośrednio na ulicę.

– Już mam – oznajmia Libby, dotykając kłódki, którą ktoś odciął nożycami. – Popatrzcie. Ten nieznajomy, który nocował w domu, kimkolwiek by był, musiał wchodzić

przez tę furtkę. Przez działkę sąsiadów, potem kawałek po betonie – prowadzi ich z powrotem do ogrodu – i na murek, dalej po rynnie na kładkę, o tam, i półkę, a na koniec na dach i po drabinie. Teraz musimy już tylko sprawdzić, dokąd prowadzi tamta drabina.

Spogląda na Millera, on odwzajemnia spojrzenie.

– Nie jestem za bardzo wysportowany – mówi dziennikarz.

Libby patrzy na Dido, która nadyma policzki i rzuca:

– Oj, no daj spokój.

Wracają do domu i wchodzą schodami na strych. I tam, tak jak podejrzewali, znajdują małą drewnianą klapę w suficie korytarza. Libby wspina się na ramiona Millera i podnosi klapę.

– Co widzisz?

– Zakurzony tunel. I kolejne drzwi. Podnieś mnie wyżej.

Miller stęka i próbuje się wyprostować. Libby chwyta za krawędź i podciąga się. W tunelu jest bardzo gorąco, mokre od potu ubrania od razu przyklejają jej się do ciała. Libby czołga się przez tunel i kiedy popycha kolejną klapę, oślepia ją pełne słońce. Wychodzi na płaski dach, gdzie znajdują się jakieś martwe rośliny w doniczkach i dwa plastikowe leżaki.

Opiera ręce na biodrach i rozgląda się. Z tego miejsca widać spieczoną słońcem zielen Embankment Gardens, a dalej ciemny pas rzeki. Obraca się i patrzy na siatkę wąskich uliczek, które ciągną się stąd aż do King's Road; ogródek piwny wypełniony klientami, kolorowe plamy ogródków i zaparkowanych samochodów.

– Co widzisz? – pyta Dido z dołu.

– Widzę wszystko. Absolutnie wszystko.

Marco patrzy na Lucy zmrużonymi oczami.

– Dlaczego nie możemy iść z tobą? Nie rozumiem.

Lucy wzdycha, poprawia kreskę na oku, przeglądając się w małym lusterku trzymanym w ręce.

– Bo tak, okej? Michael wyświadczył mi ogromną przysługę i poprosił, żebym przyszła sama, więc przyjdę sama.

– A co, jeśli zrobi ci krzywdę?

Lucy stara się nie wzdrygnąć.

– Nie zrobi mi krzywdy, okej? Mieliśmy bardzo toksyczne małżeństwo, ale to już przeszłość. Ludzie się zmieniają.

Nie potrafi spojrzeć na syna, gdy go tak okłamuje. Od razu zauważyłby strach w jej oczach. Domyśliłby się, co zamierza zrobić. A nie potrafiłby pojąć, dlaczego zamierza to zrobić, bo nic nie wie o jej dzieciństwie, o tym, przed czym uciekała dwadzieścia pięć lat temu.

– Potrzebujesz szyfru – oznajmia Marco. – Zadzwoń do ciebie i jeśli będziesz się bała, zapytasz, co u Fitza. Dobra?

Lucy kiwa głową i uśmiecha się.

– Dobra – odpowiada, po czym przyciąga go do siebie i całuje za uchem. Marco się nie wyrywa.

Kilka minut później dzieci stoją w kuchni i patrzą, jak matka wychodzi.

– Ładnie wyglądasz, mamó – mówi Stella.

Lucy coś ściska w żołądku.

– Dziękuję, skarbie. Wracam koło czwartej. Dostanę paszporty i będziemy mogli zaplanować podróż do Londynu. – Uśmiecha się szeroko, pokazując wszystkie zęby. Stella przytula się do jej nogi. Po chwili Lucy ją odrywa i wychodzi z budynku, nie oglądając się za siebie.

Kupa Fitz'a nadal nie została sprzątnięta. Łazi po niej dwa razy więcej much. Dla Lucy ten widok jest dziwnie pokrzepiający.

Drzwi otwiera Michael; ma okulary słoneczne na głowie, ubrał się w luźne szorty i białą koszulkę. Odbiera od Lucy torbę z pomidorami, chlebem i anchois, które kupiła po drodze, a potem całuje ją w oba policzki. Czuć od niego piwem.

– Ale pięknie wyglądasz, rany. Wejdz, proszę.

Lucy idzie za nim do kuchni. Na papierze na blacie leżą dwa steki, w stalowym kubku z lodem stoi butelka wina. Michael słucha Eda Sheerana na domowym systemie dźwiękowym Sonos i wydaje się mieć wyjątkowo dobry humor.

– Napijesz się czegoś? Ginu z tonikiem? Krwawej Mary? Wina? Piwa?

– Piwa, dziękuję.

Podaje jej butelkę peroni i Lucy upija łyk. Żałuje, że nie zjadła większego śniadania, bo już czuje, jak alkohol uderza jej do głowy.

– Zdrówko – rzuca Michael, wznosząc toast butelką.

– Zdrówko – odpowiada Lucy.

Na blacie stoi miska jego ulubionych karbowanych chipsów i Lucy nabiera garść. Musi być dość trzeźwa, żeby zachować kontrolę, lecz jednocześnie dość pijana, by mieć odwagę zrobić to, co przyszła tu zrobić.

– A jak idzie pisanie książki? – pyta, wyciągając z jednej szuflady deskę do krojenia, z innej nóż, a na koniec pomidory z torby z zakupami.

– Boże, lepiej nie pytaj – mówi Michael, przewracając oczami. – Powiem tak, to zdecydowanie nie był produktywny tydzień.

– Tak bywa, nie? Tak chyba działa psychika.

– No może – rzuca, podając jej półmisek. – Może tak bywa, ale najlepsi pisarze po prostu siadają i piszą. To jak odpuszczanie sobie biegania tylko dlatego, że pada deszcz. Zwykła wymówka. Muszę się bardziej postarać. – Uśmiecha się i przez chwilę wydaje się taki skromny, niemal prawdziwy, a Lucy myśli, że może ten dzień nie skończy się tak, jak jej się wydaje, może po prostu zjedzą razem lunch, porozmawiają, a on wręczy jej paszporty i pozwoli odejść, zadowolając się jedynie serdecznym uściskiem na pożegnanie.

– Słuszna uwaga – stwierdza Lucy, czując, że superostrzy nóż Michaela wchodzi w pomidory jak w masło. – Może to faktycznie praca jak każda inna, trzeba przyjść i zrobić swoje.

– Właśnie. Właśnie tak.

Michael wypija duszkiem drugą połowę piwa i wyrzuca pustą butelkę do kosza. Wyciąga kolejne z lodówki, podaje Lucy, ale ona tylko kręci głową, pokazując swoją butelkę, wciąż prawie pełną.

– Nie guzdraj się. Już się chłodzi wyborne sancerre dla ciebie, twoje ulubione.

– Przepraszam – odpowiada Lucy, przykładając butelkę do ust. – Długo byłam abstynentką.

– Naprawdę?

– Nie celowo. Po prostu nie miałam pieniędzy.

– Dobrze, w takim razie musimy temu jak najszybciej zaradzić. No, pij. Do dna.

Teraz to słyhać; niby wciąż jest przyjacielsko, ale gdzieś w tle pobrzmiwa agresywna nuta. Nie tyle serdeczna zachęta, ile

polecenie. Lucy uśmiecha się i wypija duszkiem pół butelki. Michael cały czas jej się przygląda.

– Grzeczna dziewczynka. Brawo. A teraz resztę.

Lucy znowu się uśmiecha, z determinacją, po czym dokańcza piwo, niemal się krztusząc.

Michael szczyrzy zęby jak rekin.

– No proszę. Grzeczna, naprawdę grzeczna dziewczynka.

Zabiera pustą butelkę i odwraca się, by wyjąć z szafki dwa kieliszki do wina.

– Zapraszam – mówi, wyciągając rękę w stronę drzwi prowadzących do ogrodu.

– Jeszcze nie skończyłam – odpowiada Lucy, wskazując na tylko częściowo pokrojone pomidory.

– Później dokończysz. Najpierw się napijemy – oznajmia Michael.

Lucy idzie za nim na patio, niosąc miskę chipsów i torebkę. On nalewa wina do kieliszków i podsuwa jeden w jej stronę. Znowu wznoszą toast, a Michael przyszpila ją wzrokiem.

– No dobrze, Lucy Lou, powiedz mi wszystko. Co robiłaś przez ostatnie dziesięć lat?

– Ha! – rzuca piskliwym głosem Lucy. – Tyle tego. Od czego zacząć?

– Może od mężczyzny, który dał ci córkę?

Lucy coś skręca w żołądku. Od początku wiedziała, że gdy tylko Michael zobaczy Stellę, zaraz zacznie myśleć o tym, iż jego była żona uprawiała seks z innym mężczyzną.

– Och, naprawdę nie ma o czym mówić. To była katastrofa, ale przynajmniej została mi Stella. Więc, no wiesz.

Nachyla się w jej stronę, nie odrywa od niej orzechowych oczu. Wciąż się uśmiecha, ale tylko ustami.

– Nie mam pojęcia. Kim on był? Gdzie się poznaliście?

Lucy myśli o paszportach, które leżą gdzieś w tym domu. Nie może sobie pozwolić na rozzłoszczenie Michaela. Nie może mu

powiedzieć, że ojciec Stelli był miłością jej życia, najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała, że był doskonałym pianistą, którego muzyka wyciskała jej łzy z oczu, że złamał jej serce, którego nie udało jej się posklejać nawet po trzech latach od ich ostatniego spotkania.

– Straszny był z niego dupek – mówi i robi pauzę, upijając duży łyk wina. – Ładny chłopaczek, kryminalista z pustym łbem. Zrobiło mi się go żal. Nie zasługiwał na mnie, a już na pewno nie zasługiwał na Stellę. – Opowiada o tym wszystkim z przekonaniem, bo choć patrzy Michaelowi prosto w oczy, on nie ma pojęcia, że to wszystko o nim.

Michael sprawia wrażenie tymczasowo usatysfakcjonowanego takim wyjaśnieniem. Jego uśmiech łagodnieje, znowu wydaje się szczerzy.

– A gdzie się teraz podziewa ten idiota?

– Zwiął. Wrócił do Algierii. Złamał serce własnej matce, która za wszystko obwinia mnie. – Wzrusza ramionami. – Tak naprawdę od początku było wiadomo, że ją rozczaruje. To taki typ.

Znowu wychyla się w jej stronę.

– Kochałaś go?

Lucy prychna drwiąco.

– Boże, nigdy w życiu – mówi, wciąż myśląc o Michaelu.

On kiwa głową, jakby z aprobatą.

– Był ktoś jeszcze? Przez te wszystkie lata?

Lucy kręci głową. To kolejne kłamstwo, ale łatwiejsze.

– Nie, nikt. Ciężko się żyje z dwójką dzieci. Nawet gdybym kogoś poznała, no wiesz, nic by z tego nie wyszło. – Wzrusza ramionami.

– No tak, rozumiem. Ale wiesz co, Lucy – patrzy na nią żarliwym wzrokiem – gdybyś tylko poprosiła, pomógłbym. Zawsze. Wystarczyło poprosić.

Lucy ze smutkiem potrząsa głową.

– Tak, wiem. Jesteś zbyt dumna.

Jego stwierdzenie jest tak dalekie od prawdy, że to aż śmieszne, mimo to Lucy potakuje solennie.

– Tak dobrze mnie znasz – mówi, a on wybucha śmiechem.

– Pod wieloma względami byliśmy najgorszym możliwym połączeniem. Naprawdę, Chryste, pamiętasz w ogóle, co się działo? Boże, byliśmy szaleni! Ale na swój sposób byliśmy też zajebiści, prawda?

Lucy zmusza się do uśmiechu i znowu kiwa głową, lecz jakoś nie potrafi potwierdzić tego na głos.

– Może powinniśmy byli bardziej się postarać – ciągnie Michael i dolewa sobie już wina, a potem też Lucy, która zdążyła upić raptem dwa łyki.

– Czasami tak się dzieje w życiu – rzuca bezmyślnie.

– To prawda, Lucy – zgadza się Michael, jakby powiedziała coś bardzo mądrego. Pociąga solidnie wina i dodaje: – Opowiedz mi o synu. Mądry jest? Uprawia jakiś sport?

Miły jest? Dobry jest? – pyta samą siebie Lucy. Opiekuje się młodszą siostrzyczką? Czy zapewnia mi kontakt z rzeczywistością? Czy ładnie pachnie? Czy potrafi śpiewać? Czy potrafi rysować przepiękne portrety? Czy zasługuje na więcej niż taką matkę jak ja i gówniane życie, które mu dałam?

– Jest całkiem mądry. Przeciętny z matematyki i przyrody, świetny z języków, sztuki, angielskiego. Ale nie jest wysportowany. Zupełnie nie.

Przygląda mu się, szuka w jego spojrzeniu choć cienia rozczarowania. Jednak on zdaje się podchodzić do tego pragmatycznie.

– Nie da się być dobrym we wszystkim. Ale przystojny to on jest. Interesuje się już dziewczynami?

– Ma dopiero dwanaście lat – rzuca nieco szorstko Lucy.

– To już ten wiek. Boże, chyba nie myślisz, że jest gejem, co?

Ma ochotę chlusnąć mu winem w twarz i wyjść. Zamiast tego mówi:

– Kto wie? Na razie nic o tym nie świadczy. Tak czy inaczej, nie wydaje się w ogóle zainteresowany tymi sprawami. Ale wiesz co – zmienia temat – powinnam chyba wracać do tej panzanelli. Żeby miała czas się trochę przegryźć, zanim usiądziemy do jedzenia.

Wstaje od stolika. On też wstaje.

– A ja powinienem rozpalić grilla. – Lucy rusza w stronę kuchni, lecz zanim zdąży odejść, Michael chwyta jej dłonie i odwraca ją twarzą do siebie. Oczy ma już zamglone, trudno mu skupić wzrok, a jest dopiero wpół do drugiej. Kładzie ręce na jej biodrach i przyciąga w swoją stronę. Potem zgarnia jej włosy z ucha, nachyla się i szepcze: – Nie powinienem być cię wypuszczzać.

Muska ustami jej usta, po czym klepie ją w tyłek i patrzy, jak wychodzi do kuchni.

CHELSEA, 1990

Krótko po tym, jak matka powiedziała, że David zmusił ich do oddania wszystkich pieniędzy na cele charytatywne i zamierza mieszkać u nas już na stałe, zobaczyłem, jak całują się z Birdie.

W tamtym momencie było to dla mnie obrzydliwe pod wieloma względami.

Po pierwsze, jak wiecie, brzydziła mnie sama Birdie. Nie mogłem znieść myśli o jej twardych usteczkach przyciskających się do wielkich, pełnych warg Davida, jego dłoniach na jej kościstych biodrach, jej śliskim języku badającym wewnątrz wilgotnej jaskini utworzonej z ich ust. Fuj.

Po drugie, byłem trochę tradycjonalistą i widok zdrady małżeńskiej dogłębnie mnie zszokował.

A po trzecie – cóż, trzeciej potworności nie zauważyłem od razu. Nie mogłem, ponieważ konsekwencje tego, co niechcący zobaczyłem, nie były do końca oczywiste. Jednak z pewnością czułem coś podobnego do strachu, gdy ujrzałem Davida i Birdie, ponieważ instynkt podpowiadał mi, że mogą obudzić w sobie nawzajem rzeczy, które lepiej byłoby pozostawić uśpione.

Wydarzyło się to w sobotni poranek. Sally wyszła z domu, żeby robić zdjęcia na jakimś planie filmowym. Justin poszedł postawić stoisko na targowisku, by sprzedawać swoje ziołowe medykamenty. Rodzice siedzieli w ogrodzie w szlafrokach i czytali gazety, popijając herbatę. Ja spałem do ósmej trzydzieści, długo jak na mnie. Zawsze byłem rannym ptaszkiem; rzadko zdarzało mi się wstawać później niż o dziewiątej, nawet w wieku nastoletnim. Stałem z oczu resztki snu, wyszedłem z pokoju i od razu ich zobaczyłem, jak obściskiwali się w progu pokoju Davida. Ona miała na sobie muślinową koszulę nocną, on czarny bawełniany szlafrok z paskiem. Ona wcisnęła mu nogę między kolana. Ocierali się krociami. On trzymał dłoń na jej bladej, pokrytej pieprzykami szyi, a ona na jego lewym pośladku.

Natychmiast wycofałem się do swojego pokoju, serce waliło mi jak oszalałe, żołądek podjechał do gardła. Podniosłem obie ręce do ust, próbując powstrzymać mdłości i przerażenie. Rzuciłem pod nosem przekleństwo. Potem jeszcze raz, tym razem głośno. Chwilę później uchyliłem nieznacznie drzwi, ale tamtych już nie było. Nie wiedziałem, co robić. Musiałem komuś o tym powiedzieć; musiałem powiedzieć Phinowi.

Phin odgarnął jasne włosy z twarzy. Niebywałe, że po wejściu w okres dojrzewania stawał się jeszcze przystojniejszy. Miał dopiero czternaście lat i już mierzył ponad metr osiemdziesiąt. Nigdy nie widziałem u niego choćby jednego pryszcza, a wpatrywanie się w jego twarz w zasadzie stało się moim nowym hobby.

– Muszę z tobą porozmawiać – syknąłem do niego nagłąco. – To naprawdę, naprawdę ważne.

Poszliśmy na koniec ogrodu, gdzie w plamie porannego słońca stała zakrzywiona ławka. Na drzewach rozwinęły się już wszystkie pąki liści i kwiatów, więc nie dałoby się nas dojrzeć z okien domu. Usiedliśmy twarzą do siebie.

– Właśnie coś zobaczyłem. Coś bardzo, bardzo złego.

Phin popatrzył na mnie zmrużonymi oczami. Widziałem, że spodziewał się usłyszeć coś dziecinnego i banalnego, na przykład o kocie liżącym masło. Widziałem, że nie ma za grosz wiary w to, że mógłbym podzielić się rzeczywiście szokującymi wiadomościami.

– Widziałem twojego tatę. Z Birdie...

Nie patrzył już na mnie z pobłażliwą niecierpliwością, na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

– Wychodzili z pokoju Birdie i Justina. I całowali się.

Wzdrygnął się trochę na te słowa. Zrobiłem na nim wrażenie. Wreszcie, po dwóch latach, Phin mnie w pełni zauważył. Zobaczyłem, jak zaciska zęby.

– Kłamiesz mi, gówniarzu? – niemal warknął.

Pokręciłem głową.

– Przysięgam, że nie. Widziałem to dosłownie przed chwilą. Jakies dwadzieścia minut temu. Przysięgam.

Oczy Phina szybko wypełniły się łzami i widziałem, że bardzo się stara je powstrzymać. Niektórzy zwracali uwagę, że brakuje mi empatii. To może być prawda. Nawet przez chwilę nie pomyślałem, że te wieści mogłyby zasmucić Phina. Spodziewałem się szoku. Oburzenia. Obrzydzenia. Lecz nie smutku.

– Przepraszam, chciałem tylko...

Pokręcił głową. Jego piękne jasne włosy spadły mu na twarz, po czym znowu się rozdzieliły, odkrywając grymas ponurej, rozdierającej serce odwagi.

– Nie przepraszaj. Cieszę się, że mi o tym powiedziałeś.

Na chwilę zapadła cisza. Nie wiedziałem, co robić. Mogłem cieszyć się niezmaconą uwagą Phina. Jednak zraniłem go. Popatrzyłem na jego wielkie, opalone dłonie, splecione i wykręcone na kolanach, i miałem ochotę je chwycić, pieścić, podnieść do ust, pocałunkiem odgonić jego smutki. Poczulem przeszywającą mnie falę ogromnego fizycznego pożądania, wzbierające z samej głębi

przemóżne pragnienie. Szybko oderwałem wzrok od jego dłoni i zamiast tego spojrzałem na ziemię między swoimi gołymi stopami.

– Powiesz o tym swojej mamie? – zapytałem w końcu.

Znowu potrząsnął głową. Raz jeszcze opadły mu włosy i skryły przede mną jego twarz.

– To by ją zabiło – powiedział krótko.

Przytaknąłem, jakbym wiedział, co ma na myśli. Tak naprawdę nie miałem o tym pojęcia. Miałem dopiero trzynaście lat. I nie byłem nad wiek rozwinięty. Wiedziałem, że widok Birdie i Davida całujących się namiętnie w bieliźnie nocnej wywołał we mnie obrzydzenie. Wiedziałem, że żonaty mężczyzna nie powinien całować się z kobietą, która nie jest jego żoną. Mimo to nie potrafiłem ekstrapolować tych uczuć na innych. Nie potrafiłem wyobrazić sobie, jak mogłaby odebrać to druga osoba. Nie rozumiałem, dlaczego Sally miałyby umrzeć, bo jej mąż pocałował Birdie.

– Powiesz siostrze?

– Nikomu, kurwa, nie powiem – wypalił. – Chryste. I ty też gęba na kłódkę. Poważnie. Nic nie rób, chyba że ci każę. Jasne?

Jeszcze raz przytaknąłem. Nie miałem pojęcia, co począć, więc cieszyłem się, że Phin przejął stery.

Czułem, że ten moment przemija. Phin już się zbierał, żeby wstać i wejść do środka, i wcale nie zamierzał zapraszać mnie, miałem zostać sam na ławce i gapić się na mury domu, gdy to wszystko jeszcze się we mnie kotłowało, cała ta żądza, to palące pragnienie. I wiedziałem, że pomimo tego, co się przed chwilą wydarzyło, wrócimy do normalności, do obustronnej uprzejmej rezerwy.

– Wyjdźmy dzisiaj – wydyszałem. – Zróbmy coś.

Odwrócił się i popatrzył na mnie.

– Masz jakieś pieniądze?

– Nie, ale mogę coś zdobyć.

– Ja też coś skołuję. Spotkajmy się w przedpokoju o dziesiątej.

Po tych słowach wstał i poszedł. Patrzyłem na niego, na kształt jego kręgosłupa rysujący się pod koszulką, na szerokie ramiona, duże stopy dudniące o ziemię, smutno zwieszoną piękną głowę.

Znalazłem garść monet w kieszeni kurtki ojca. Z portmonetki matki wyjąłem dwa funty. Uczesałem grzywkę i założyłem dżersejową kurtkę z suwakiem, którą kilka tygodni wcześniej matka kupiła mi w sklepie z używanymi rzeczami na Oxford Street i która była o wiele ładniejsza niż wszystko, co miałem z Harrodsa i od Petera Jonesa.

Phin siedział na tronie pod schodami z książką w ręku. Aż do dzisiaj tak właśnie wyobrażam sobie Phina – tylko że w moich fantazjach podnosi na mnie wzrok znad lektury, na mój widok w jego oczach pojawia się iskra, a na twarzy zakwita uśmiech. W rzeczywistości ledwo zareagował na moje przyjście.

Wstał powoli, po czym ukradkiem rozejrzał się dokoła.

– Czysto – rzucił i dał mi znak, żebym poszedł za nim do wyjścia.

– Gdzie idziemy? – zapytałem, goniąc za nim bez tchu.

Patrzyłem, jak podnosi rękę i podchodzi do krawężnika. Zaraz podjechała taksówka i wsiedliśmy.

– Nie stać mnie na taksówkę. Mam tylko dwa funty pięćdziesiąt centów.

– Nic się nie martw – powiedział spokojnie. Wyciągnął z kieszeni zwitek dziesięciofuntówek i uniósł znacząco brew.

– Chryste! Skąd to wytrzasnąłeś?

– Z sekretnej skrytki ojca.

– Twój ojciec ma sekretną skrytkę?

– Tak. I wydaje mu się, że nikt o niej nie wie. Ale ja wiem wszystko.

– Nie zauważy?

– Może nie. Może tak. Tak czy inaczej, nie zdoła udowodnić, że ja je wzięłem.

Taksówka wyrzuciła nas przy Kensington High Street. Podniosłem wzrok na budynek przed nami: długa fasada, kilkanaście łukowych okien, do tego wielkie chromowane litery układające się w napis KENSINGTON MARKET. Słyszałem muzykę dobiegającą z głównego wejścia, to było coś metalicznego, dudniącego, niepokojącego. Poszedłem za Phinem do środka i znalazłem się w przerażającej króliczej norze pełnej krętych korytarzy, w każdym były liczne sklepiki, a przed nimi zblazowani ludzie z tęczowymi włosami, pomalowanymi na czarno oczami, w skórzanych ubraniach, z białymi ustami, w podartym szyfonie, siatce, z świekami, w butach na platformie, z kolczykami w nosie i na twarzy, z obrożami, czubami, w draperiach, halkach, z tlenionymi włosami, w różowej kracie, plastikowych butach do ud, w stylu pixie, w bejsbolówkach, z bokobrodami, upiętymi wysoko kokami, w sukniach balowych, z czarnymi ustami, czerwonymi ustami, żujący gumę, jedzący kanapki z bekonem, popijający herbatę z kwiecistej filiżanki z podniesionym paluszkim o pomalowanym na czarno paznokciu, trzymający fretkę na nabitej świekami skórzanej smyczy.

Każdy sklepik puszczał własną muzykę; gdy je mijaliśmy, brzmiało to tak, jakby ktoś ciągle przełączał kanały w radiu. Phin dotykał różnych rzeczy: vintage'owej bejsbolówki, jedwabnej koszulki do gry w kręgle z imieniem Billy na plecach, płyt, nabijanego świekami skózanego paska.

Ja niczego nie dotykałem. Byłem przerażony. Z następnego sklepiku dobywał się dym kadzidła. Na stołku przed nim siedziała kobieta z białymi włosami i białą skórą. Spojrzała na mnie przez chwilę lodowato niebieskimi oczami i złapałem się za serce.

Przy następnym stoisku siedziała kobieta z niemowlęciem na kolanach. Nie przyszłoby mi do głowy, żeby zabrać w to miejsce małe dziecko.

Przez godzinę krążyliśmy po korytarzach tego dziwnego miejsca. Kupiliśmy kanapki z bekonem oraz bardzo mocną herbatę w dziwnej kawiarni na najwyższym piętrze i obserwowaliśmy ludzi. Phin kupił sobie czarno-biały szal, jaki noszą ludzie na Saharze, a do tego jakieś płyty winylowe z muzyką, jakiej nigdy wcześniej nie słyszałem. Namawiał mnie, żebym wziął sobie czarną koszulkę z rysunkami węży i mieczy. Odmówiłem, chociaż w głębi ducha mi się podobała. Przymierzył niebieskie zamszowe buty z podeszwą z krepy, które nazwał creepersami. Obejrzał się w wysokim lustrze, zgarnął włosy z twarzy i zebrał je sobie w czub, z miejsca zmieniając się w przystojnego łamacza niewieścich serc z lat pięćdziesiątych, coś między Montgomerym Cliftem a Jamesem Deanem.

Kupiłem sobie krawat bolo ze srebrną głową barana. Kosztował dwa funty. Do papierowej torebki włożył go chłopak, który wyglądał jak punkowy kowboj.

Wyszliśmy stamtąd godzinę później i powitała nas normalność sobotniego poranka, z rodzinami robiącymi zakupy, ludźmi wsiadającymi do autobusów.

Przeszliśmy półtora kilometra do Hyde Parku, gdzie usiedliśmy na ławce.

– Spójrz – powiedział Phin, rozprostowując palce prawej dłoni.

Zobaczyłem małą, zgniecioną przezroczystą torebkę foliową. W środku znajdowały się dwa kwadraciki papieru.

– Co to jest? – zapytałem.

– To kwas.

Nie rozumiałem.

– LSD – wyjaśnił.

Słyszałem o LSD. To był narkotyk, coś związanego z hippisami i halucynacjami.

– Co takiego? Ale jak...? Dlaczego? – Otworzyłem szeroko oczy.

– Od gościa w sklepie z płytami. Właściwie to sam z siebie powiedział, że ma kwas. Nie pytałem. Chyba myślał, że jestem

starszy.

Wpatrywałem się w maleńkie papierki w maleńkiej torebce. Mój umysł zalała fala implikacji.

– Ale nie zamierzasz chyba...?

– Nie. A przynajmniej nie dzisiaj. Ale może kiedy indziej? Gdy będziemy w domu? Chciałbyś?

Pokiwałem głową. Chciałem wszystkiego, jeśli tylko oznaczało to spędzanie czasu z Phinem.

Kupił nam kanapki w eleganckim hotelu z widokiem na park. Podali nam je na talerzach ze srebrną krawędzią, a do tego sztuczkami. Usiedliśmy przy wysokim oknie i zastanawiałem się, jak wyglądaliśmy: wysoki, przystojny chłopak, prawie mężczyzna, a obok niego dzieciakowaty kolega w niechlujnej dżersejowej kurtce.

– Co twoim zdaniem robią teraz dorośli? – zapytałem.

– Gównu mnie to obchodzi – odparł Phin.

– Mogli zadzwonić po policję.

– Zostawiłem liścik.

– Aha – rzuciłem, zdziwiony jego aktem konformizmu. – A co napisałeś?

– Że wychodzę z Henrym i wrócę później.

Z Henrym. Serce szybciej mi zabiło.

– Opowiesz mi, co się wydarzyło w Bretanii? Dlaczego wyjechaliście?

Pokręcił głową.

– Nie chcesz wiedzieć.

– Właśnie, że chcę. Co się stało?

Westchnął.

– To przez moją tatę. Zabrał coś, co nie należało do niego. A potem powiedział, no wiesz, myślałem, że mieliśmy się wszystkim dzielić. Tylko że to była jakaś pamiątka rodzinna. Warta koło tysiąca

funtów. A on ją po prostu zabrał do miasta, sprzedał i udawał, że widział, jak „ktoś” włamał się do domu i ją ukradł. Pieniądze schował. Właściciel dowiedział się przez swoje kontakty. I rozpętało się piekło. Wyrzucili nas następnego dnia. – Wzruszył ramionami. – No i były jeszcze inne rzeczy. Ale głównie o to chodziło.

Nagle zrozumiałem, dlaczego nie miał wyrzutów sumienia, biorąc pieniądze ojca.

David utrzymywał, że zarabia dużo, prowadząc treningi, ale ile właściwie można wyciągnąć z grupki hippisów w salce katechetycznej dwa razy w tygodniu? Czy to możliwe, że sprzedał coś cennego z naszego domu? Zdążył już przekabacić matkę, żeby pozwoliła mu zarządzać finansami rodziny. Może pobierał pieniądze bezpośrednio z naszego konta bankowego. A może to były pieniądze, które zdaniem mojej matki szły na cele charytatywne.

Wszystkie moje bliżej niesprecyzowane podejrzenia wobec Davida Thomsena skryształizowały się w coś namacalnego, realnego.

– Lubisz swojego tatę? – zapytałem, bawiąc się rzeżuchą na brzegu talerza.

– Wręcz przeciwnie. Nienawidzę go.

Pokiwałem głową, uspokojony.

– A ty? Lubisz swojego tatę?

– Mój tata jest słaby – odparłem z żarliwym przekonaniem.

– Wszyscy ludzie są słabi – oznajmił Phin. – Na tym polega problem tego zjebanego świata. Zbyt słabi, żeby naprawdę kochać. Zbyt słabi, żeby się mylić.

Zaparło mi dech w piersi; z tego stwierdzenia płynęła niesamowita moc. Natychmiast poczułem, że to najprawdziwsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszę. To ludzka słabość prowadziła do wszystkiego, co złe.

Patrzyłem, jak Phin wyjmuje dziesięciofuntowe banknoty, żeby zapłacić za drogie kanapki.

– Naprawdę mi głupio, że nie mogę ci oddać – powiedziałem.

Phin pokręcił głową.

– Mój ojciec odbierze ci wszystko, co masz, a potem zniszczy ci życie. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Libby, Dido i Miller zamykają za sobą dom i idą do pubu. To ten sam lokal, który Libby zobaczyła z dachu. W środku jest pełno ludzi, ale udaje im się znaleźć wysoki stolik w ogródku i przynoszą sobie wolne stołki z innych miejsc.

– Waszym zdaniem kto to jest? – pyta Dido, mieszając słomką gin z tonikiem.

– To na pewno nie jakiś bezdomny – odpowiada Miller. – Za pusto tam. No wiecie, gdyby faktycznie tam mieszkał, trzymałby tam mnóstwo różnych rzeczy.

– Twoim zdaniem ten ktoś przychodzi tylko od czasu do czasu? – pyta Libby.

– Tak mi się wydaje.

– Czyli jednak rzeczywiście ktoś tam był w sobotę, gdy weszłam do środka?

– Pewnie tak.

Libby wstrząsa dreszcz.

– Słuchaj, powiem ci, co myślę. Urodziłaś się w czerwcu dziewięćdziesiątego trzeciego, prawda?

– Dziewiętnastego czerwca. – Znowu przechodzi ją dreszcz, gdy podaje tę datę. Skąd w ogóle to wiadomo? Może ktoś to zmyślił. Pomoc społeczna? Rodzice adopcyjni? Libby czuje, że niczego nie może już być pewna.

– Właśnie. Czyli twój brat i siostra mogli znać datę twoich urodzin, skoro sami byli już wtedy nastolatkami. A jeśli wiedzieli też, że domem zarządza fundusz powierniczy i miał zostać ci przekazany, gdy skończysz dwadzieścia pięć lat, ich powrót do Chelsea miałby sens. Może chcieli cię zobaczyć...

Libby wciąga gwałtownie powietrze.

– Czyli uważasz, że to mógł być mój brat?

– Tak, myślę, że to mógł być Henry.

– Ale jeśli wiedział, że to ja, i był wtedy w domu, dlaczego nie zszedł, żeby się ze mną przywitać?

– No, tego nie wiem.

Libby sięga po kieliszek wina, przystawia go na krótko do ust, po czym znowu odstawia.

– Nie – oznajmia stanowczo. – To nie ma sensu.

– Może nie chciał cię przestraszyć? – sugeruje Dido.

– No to mógł mi zostawić jakąś wiadomość. Mógł skontaktować się z prawnikiem i powiedzieć, że chce się ze mną spotkać. A zamiast tego czai się na strychu jak jakiś świr.

– A może jest świrem? – rzuca Dido.

– Co udało ci się o nim dowiedzieć? – pyta Libby Millera. – Oprócz tego, że to mój brat?

– Właściwie nic. Wiem tylko, że uczęszczał do Portman House School od trzeciego do jedenastego roku życia. Jego nauczyciele twierdzili, że był mądrym chłopcem, chociaż trochę wyniosłym. Właściwie nie miał przyjaciół. A potem w osiemdziesiątym ósmym odszedł i dostał się do St Xavier's College w Kensington, ale nie podjął nauki. Nikt więcej o nim nie słyszał.

– Naprawdę tego nie rozumiem – mówi Libby. – To całe czajenie się, czołganie w tunelach i krzakach, chowanie na strychu, chociaż wiedział, że jestem na dole... Jesteś pewien, że to Henry?

– Oczywiście, że nie. Ale kto inny mógłby wiedzieć, że pojawisz się w domu? Kto mógłby wiedzieć, jak dostać się do środka?

– Ktoś z pozostałych. Może to jakiś inny mieszkaniec tamtego domu.

Lucy sprawdza godzinę na telefonie, kiedy Michael na chwilę skupia się na osie, która próbuje dobrać się do jego talerza. Macha serwetką, żeby ją odgonić, ale owad ciągle przylatuje.

Już prawie piętnasta. Chciała wrócić do domu przed szesnastą. Potrzebuje paszportów, lecz wie też, że proszenie o nie przyspieszy to, co nieuniknione – wizytę w sypialni Michaela.

Zaczyna sprzątać talerze.

– Zanieśmy to do środka, wtedy pozbędziemy się twojej irytującej koleżanki.

Michael ma szkliste oczy i uśmiecha się do niej z wdzięcznością.

– Świetny plan. I zrobmy jeszcze kawę.

Lucy idzie przodem do kuchni i zaczyna wstawiać naczynia do zmywarki. Michael przygląda jej się, gdy ekspres mieli ziarna kawy.

– W ogóle nie straciłaś figury, Luce. Całkiem nieźle jak na czterdziestoletnią matkę dwójki dzieci.

– Trzydziestodzieciuletnią. – Uśmiecha się sztywno i wrzuca dwa widelce do koszyka na sztućce. – Ale dziękuję.

Atmosfera jest niezręczna, trochę nieprzyjemna. Za długo czekali z tym, co nastąpi teraz. Za dużo wypili, za dużo zjedli, za długo siedzieli w leniwej scenerii ogrodu.

– Muszę niedługo wracać do dzieciaków – mówi Lucy.

– Och, daj spokój – rzuca lekkim tonem Michael. – Marco to duży chłopak. Może jeszcze przez chwilę zajmować się siostrzyczką.

– Tak, oczywiście, ale Stella trochę się niepokoi, gdy długo mnie nie ma.

Widzi, jak Michael zaciska zęby. Nie lubi słuchać o słabościach innych ludzi. Brzydzi się słabością.

– Czyli mam rozumieć, że chcesz paszporty?

– Tak, proszę.

Serce bije jej tak mocno, że czuje jego dudnienie w kanałach słuchowych.

Michael zadziera głowę i uśmiecha się do niej.

– Ale nie uciekaj od razu, dobra?

Idzie do swojego gabinetu i słycać, jak wysuwa szuflady. Wraca po chwili, trzymając w ręku filcową torebkę ze sznureczkiem, a w niej paszporty. Macha jej nią przed oczami.

– Prawdziwy mężczyzna zawsze dotrzymuje słowa – mówi, zbliżając się do niej powoli, nie odrywając od niej wzroku, wciąż potrząsając torebką.

Lucy nie potrafi go przejrzeć. Czyżby oczekiwał, że wyrwie mu paszporty z ręki? A może chce, by za nim goniła? Co robić?

– Dziękuję – mówi, uśmiechając się nerwowo.

A potem on zatrzymuje się przed nią, krawędź blatu wpija się w dolną część pleców Lucy, on ściska torebkę w dłoni, jego usta wędrują do miejsca, w którym szyja łączy się z ramieniem. Za chwilę przenosi je na jej gardło, słycać jęk.

– Oj, Lucy, moja Lucy – mówi. – Boże, jak ty pachniesz. Jesteś taka... – Ociera się o nią. – Cudowna. Jesteś... – Znowu głośno jęczy, jego wargi znajdują jej wargi. Lucy odwzajemnia pocałunek. Po to tutaj przyszła. Przyszła pieprzyć się z Michaeliem i teraz będzie się pieprzyć z Michaeliem, skoro pieprzyła się z nim w przeszłości, to może się z nim pieprzyć i teraz, naprawdę może, zwłaszcza jeśli

będzie udawać, że to Ahmed, a nawet nieznajomy, tak, poradzi sobie, poradzi.

Wpuszcza jego język do ust i zamyka oczy, zaciska ciasno powieki. Jego dłonie chwytają ją z tyłu, podnoszą na blat, Michael bierze jej nogi i oplata nimi swoje ciało, trzyma ją za kostki tak mocno, że Lucy się krzywi, ale nie przestaje, całuje go dalej, bo właśnie po to tutaj przyszła. Za nimi słychać szumiący, syczący ekspres do kawy. Lucy strąca pusty kieliszek, ten toczy się po blacie i roztrzaskuje o bok czajnika. Próbuje zabrać rękę od szkła, ale Michael popycha ją, szarpie za materiał spódnicy, żeby sięgnąć po gumkę majtek. Lucy stara się z jednej strony uciec od odłamków, ale z drugiej nie przerywać tego, co się dzieje, bo to się musi wydarzyć, żeby już było za nią, żeby mogła założyć majtki i wrócić do domu, do dzieci. Usiłuje skupić się na tym, by pomóc mu się rozebrać, ale czuje, jak szkło wpija jej się w dolną część pleców. Ostatni raz stara się przesunąć w bok, lecz Michael nagle odsuwa się i rzuca:

– Do kurwy nędzy, przestań mi uciekać.

I popycha ją mocno, szkło przebija jej skórę, a wtedy Lucy skacze do przodu i krzyczy z bólu.

– Co teraz, do chuja? Kurwa mać!

Niemal w zwolnionym tempie Lucy widzi zbliżającą się do niej dłoń, a potem czuje, jak dzwonią jej zęby, mózg obija się o czaszkę.

W jej ustach pojawia się smak krwi, ciepło spływa jej po plecach.

– Wbiło mi się szkło. Zobacz. Kieliszek się zbił i...

Tylko że on jej nie słucha. Zamiast tego znowu ją wpycha na blat, odłamki ranią jej plecy w innym miejscu, on wchodzi w nią, zasłania jej usta dłonią, to nie tak miało wyglądać. Wszystko miało się odbyć za jej zgodą. Miała go do siebie dopuścić. A teraz czuje ból, krwawi, jego ręka śmierdzi spalonym mięsem, w jego oczach płonie wściekłość, a ona tylko chce paszporty, chce te pieprzone paszporty, nie tego, jej ręka natyka się na nóż; to nóż, którym kroїła pomidory, który wchodził w nie jak w masło, a teraz jest w jej dłoni i wchodzi

w bok ciała Michaela, w miejsce pod brzegiem koszulki, miękkie, delikatne ciało, gdzie skóra jest jak u dziecka, w którą ostrze zatapia się z taką łatwością, że Lucy prawie nie zauważa tego, co właśnie zrobiła.

Oczy Michaela na moment spowija mgła dezorientacji, lecz zaraz się rozwiewa. Odsuwa się od niej i zatacza do tyłu. Spogląda w dół na krew wypływającą z dziury w jego boku i próbuje ją zatamować rękami, ale nic z tego.

– Ja pierdolę, Lucy. Coś ty, kurwa, narobiła? – Patrzy na nią z niedowierzaniem, wybałuszając oczy. – Pomóż mi. Kurwa.

Lucy znajduje ściereczki i wkłada mu w rękę.

– Trzymaj mocno – mówi zdyszana. – Trzymaj przy ranie.

Michael bierze ją i przyciska do boku, lecz zaraz nogi się pod nim uginają i upada na podłogę. Lucy próbuje mu pomóc wstać, ale on odgania ją machnięciem ręki. Nagle dociera do niej, że Michael umiera. Wyobraża sobie, jak dzwoni pod numer alarmowy, jak przyjeżdża karetka, jak policja wypytuje, co się stało. Powie im, że ją zgwałcił. Znajdą się dowody. Odłamki szkła wciąż wbite w jej plecy, spodnie Michaela wciąż na wysokości jego kostek. Tak, uwierzą jej. Uwierzą.

– Zadzwońię po karetkę – mówi do Michaela, który zaczyna patrzeć ślepo przed siebie. – Oddychaj. Już do nich dzwonię.

Wyciąga telefon z torebki drżącymi palcami, włącza go i już ma wybrać pierwszą cyfrę, kiedy dociera do niej jedno: może i uwierzą, ale jej nie wypuszczą. Będzie musiała zostać we Francji i odpowiadać na pytania; będzie musiała przyznać się, że przebywa tutaj nielegalnie, że oficjalnie nie istnieje, a wtedy zabiorą jej dzieci i wszystko się wyda, jej życie w krótkim czasie zmieni się w koszmar.

Jej palec wciąż dotyka ekranu komórki. Spogląda na podłogę, gdzie Michael leży i się trzęsie. Krew nadal wypływa z rany. Zbiera jej się na wymioty i dopada do zlewu, oddycha ciężko.

– Boże, o Boże, o Boże. O Boże, o Boże, o Boże.

Znowu się odwraca, patrzy na telefon, patrzy na Michaela. Nie wie, co począć. I wtedy to dostrzega; życie opuszcza jego ciało. Już to kiedyś widziała. Wie, jak to wygląda. Michael nie żyje.

– O Boże. O Boże, o Boże. – Kuca i sprawdza Michaelowi puls. Nic nie wyczuwa.

Lucy wstaje i zaczyna mówić sama do siebie.

– Dobra. Zastanów się. Kto wie, że tu jesteś? Joy, mógł powiedzieć Joy. Ale powiedziała by jej, że przyjdzie Lucy Smith. Tak. Lucy Smith. Tylko że to nie jest moje prawdziwe nazwisko, a teraz nie jestem nawet Lucy Smith. Jestem... – Drżącymi rękami sięga po filcową torebkę i wyciąga ze środka paszporty. Przerzuca na odpowiednią stronę i odczytuje nazwisko. – Marie Valerie Caron. Dobrze. Dobrze. Jestem Marie Caron. Świetnie. A Lucy Smith nie istnieje. Joy nie wie, gdzie mieszkam. Ale... Szkoła! Michael wiedział, gdzie Marco chodził do szkoły. Tylko czy powiedziała by o tym Joy? Nie, nie powiedziała by Joy, po co miałaby jej to mówić. Oczywiście, że nie. Nawet gdyby powiedział, oni tam znają tylko Lucy Smith, nie Marie Caron. Stella chodzi do innej szkoły niż Marco, o niej wiem tylko ja i Samia. A co z ludźmi od paszportów? Nie, oni na pewno tak głęboko ukryli się w przestępczym podziemiu, że nikomu do głowy nie przyjdzie ich szukać. Zostają jeszcze dzieci. One wiedzą, że tu byłam, ale nikomu o tym nie powiedzą. Dobrze. Świetnie.

Krąży po kuchni i mówi do siebie, potem spogląda na ciało Michaela. Powinna go tak zostawić? Żeby Joy znalazła go jutro rano? A może przenieść go, posprzątać wszystko? Ukryć ciało? To duży facet. Gdzie miałaby go schować? Nie udałoby się jej zrobić tego skutecznie, ale może zyskałaby trochę czasu na wyjazd z dziećmi do Londynu.

Tak, postanawia, że to zrobi. Posprząta wszystko. Ściągnie jego ciało do piwniczki na wino. Joy przyjdzie do pracy i pomyśli, że Michael gdzieś wyjechał. Nie zorientuje się, dopóki jego ciało nie

zacznie śmierdzieć. Do tego czasu po Lucy nie będzie już śladu. I wszyscy założą, że zabił go ktoś z podejrzanego towarzystwa, z którym miał kontakt.

Lucy otwiera szafkę pod zlewem. Wyciąga płyn do dezynfekcji i świeżą rolkę superchłonnych ręczników kuchennych.

Zaczyna sprzątać.

CHELSEA, 1990

Usiedliśmy z Phinem na dachu. To Phin znalazł to miejsce, ja nie miałem pojęcia o jego istnieniu. Żeby się tu dostać, trzeba podnieść klapę w suficie korytarza na strychu, przeczołgać się przez niski tunel, a potem podnieść drugą klapę, która otwiera wyjście na płaski dach z niesamowitym widokiem na miasto i rzekę.

Najwyraźniej nie my pierwsi odkryliśmy sekretny taras na dachu. Natrafiliśmy tutaj na jakieś obdrapane plastikowe fotele, kilka zasuszonych roślin w doniczkach i nieduży stolik.

Nie potrafiłem uwierzyć, że ojciec nie wiedział o tym miejscu. Zawsze narzekał na ogród od północy, przez co nie mógł cieszyć się popołudniowym słońcem. A tymczasem tutaj marnowała się prywatna oaza, gdzie słońce świeciło cały dzień.

Kwadratowe skrawki papieru, które Phin dostał na Kensington Market tydzień wcześniej, okazały się składać z połączonych ze sobą czterech jeszcze mniejszych skrawków. Na każdym segmencie znajdował się obrazek z uśmiechniętą buźką.

– A co, jeśli będziemy mieli złego tripa? – zapytałem i poczułem się nieznośnie głupio, używając takiego języka.

– Musimy wziąć po połowie. Żeby zacząć od mniejszej dawki – stwierdził Phin.

Pokiwałem zdecydowanie głową. Wolałbym w ogóle niczego nie zażywać. Nie należałem do tego typu ludzi. Ale to był Phin i, jak to się mówi, skoczyłbym za nim w ogień.

Patrzyłem, jak połyka kawałek papieru, a potem on patrzył, jak robię to samo. Niebo miało kolor wodnistego błękitu. Słońce nie świeciło mocno, lecz tutaj, na dachu, i tak dało się odczuć jego ciepło na skórze. Przez jakiś czas nic nie czuliśmy. Rozmawialiśmy o roztaczającym się przed nami widoku: ludziach siedzących w ogródkach, łódkach pływających leniwie po Tamizie, stojącej po drugiej stronie rzeki elektrowni. Mniej więcej po trzydziestu minutach rozluźniłem się, przekonany, że kwas nie zadziałał, że nic się nie wydarzy, że mi się upiekło. Potem jednak krew zaczęła rozgrzewać mi się pod skórą; podniosłem wzrok do nieba i zobaczyłem, że jest wypełnione pulsującymi białymi żyłkami, bił od nich blask i im dłużej na nie patrzyłem, tym wyraźniej mieniły się kolorami jak macica perłowa. Zdałem sobie sprawę, że niebo wcale nie jest niebieskie, że ma milion różnych barw, które zlewają się ze sobą, by stworzyć blady błękit, a niebo było przebiegłe i kłamliwe, w rzeczywistości znacznie przewyższało nas swoją mądrością, a może wszystko, co uważaliśmy za pozbawione duszy, tak naprawdę jest od nas mądrzejsze i się z nas śmieje. Spojrzałem na liście drzew i zacząłem kwestionować ich zieloność. Czy faktycznie jesteście zielone? – pytałem sam siebie. Czy może jesteście maluteńkimi drobinkami fioleto, czerwieni, żółci i złota, które bawią się ze sobą i śmieją, śmieją, śmieją. Popatrzyłem na Phina.

– Czy twoja skóra naprawdę jest biała?

On spojrzał na siebie.

– Nie, jest... – Przeniósł wzrok na mnie i wybuchnął głośnym śmiechem. – Mam łuski! Patrz! Mam łuski. A ty! – Wskazał na mnie z ogromnym rozbawieniem. – Ty masz pióra! O Boże, co się z nami stało? Jesteśmy zwierzętami!

Przez minutę ganialiśmy się po dachu, wydając zwierzęce odgłosy. Ja gładziłem swoje pióra, Phin pokazywał gadzi język. Obaj wyraziliśmy swój szok i podziw dla jego długości.

– Masz najdłuższy język, jaki kiedykolwiek widziałem.

– To dlatego, że jestem jaszczurką. – Schował go i pokazał jeszcze raz. Przyglądałem mu się z uwagą. Gdy znowu się pojawił, nachyliłem się i chwyciłem go zębami.

– Au! – rzucił Phin, łapiąc język palcami i śmiejąc się ze mnie.

– Przepraszam! Jestem tylko głupim ptakiem. Myślałem, że to robak.

Później przestaliśmy się śmiać i usiedliśmy na plastikowych leżakach, wpatrując się bez końca w przelewające się po niebie zorze. Zwiesiliśmy ręce po bokach, od czasu do czasu nasze knykcie ocierały się o siebie, a za każdym razem, gdy czułem dotyk skóry Phina, wydawało mi się, jakby jego jestestwo przenikało za wierzchnie warstwy mojego ciała i drobiny jego esencji zlały się z moją esencją, tworząc zupę ze mnie i z niego, która była o wiele, wiele zbyt kusząca, pragnąłem wejść w nią, przejąć ją aż do ostatniej kropelki, moje palce chwyciły jego palce i pozwolił mi na to, pozwolił mi trzymać go za rękę, a ja czułem, jak wpływa we mnie jak wtedy, gdy weszliśmy raz na pokład łodzi płynącej kanałem i mężczyzna otworzył śluzę, a woda zaczęła przepływać z jednego miejsca w drugie.

– Patrz – powiedziałem, odwracając się do Phina. – Patrz. Ty i ja. Jesteśmy teraz tą samą osobą.

– Naprawdę? – odparł Phin, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Tak, popatrz. – Wskazałem nasze dłonie. – Jesteśmy jednością.

Pokiwał głową i siedzieliśmy jeszcze jakiś czas, nie wiem jak długo, może pięć minut, może godzinę, z rękami splecionymi, wpatrzeni w niebo i pogrążeni w dziwnej, narkotycznej zadumie.

- Nie mamy złego tripa, prawda? – zapytałem w końcu.
- Nie, mamy dobrego tripa – stwierdził Phin.
- Najlepszego – odparłem.
- Tak, najlepszego.
- Powinniśmy tutaj zamieszkać. Przynieść tutaj nasze łóżka i mieszkać.

– Powinniśmy. Powinniśmy to zrobić. Teraz!

Skoczyliśmy obaj na równe nogi, rzuciliśmy się do tunelu nad strychem i zobaczyłem, że jego ściany pulsują jak wnętrze żywego ciała; poczułem się tak, jakbyśmy trafili do gardła, a może przełyku. Omal nie wypadliśmy na podłogę korytarza na strychu i nagle miałem wrażenie, że jesteśmy w złym miejscu, trochę jak w *Doktorze Who*, kiedy główny bohater otwiera drzwi TARDIS-a i nie wie, gdzie się znalazł.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałem.

– Na dole. W dolnym świecie.

– Chcę z powrotem na górę.

– Weźmy poduszki. Szybko. – Phin złapał mnie za rękę i pociągnął do swojego pokoju, skąd zabraliśmy poduszki i już mieliśmy znowu wspiąć się do tunelu, kiedy przed nami pojawił się David.

Właśnie wyszedł spod prysznic, był mokry i przepasany w biodrach ręcznikiem, z gołym torsem. Gapilem się na jego sutki. Były ciemne i jakby skórzane.

– Co tam knujecie? – zapytał, patrząc to na Phina, to na mnie. Jego głos brzmiał jak niski pomruk grzmotu. Był wysoki i absolutnie twardy, niczym posąg. Czułem, jak jego obecność mrozi mi krew w żyłach.

– Bierzemy poduszki na górę – odparł Phin.

– Na górę?

– Na górę – powtórzył Phin. – To jest dół.

– Dół.

– Dół – potwierdził Phin.

– Co jest z wami nie tak, do cholery? Popatrz na mnie. – David chwycił mocno szczękę Phina i spojrzał mu w oczy. – Naćpałeś się? – zapytał, po czym przeniósł wzrok na mnie. – Boże, obaj się naćpaliście. Coście wzięli, cholera jasna? Co to jest? Haszysz? Kwas? No co?

Zaraz kazał nam zejść na dół, wezwał moich rodziców i mamę Phina, David wciąż był ubrany tylko w ręcznik, a ja wciąż gapiłem się na jego sutki i czułem, jak śniadanie zaczyna mi się burzyć w jelitach. Siedzieliśmy w salonie, otoczeni przez portrety olejne i wypchane zwierzęta przybite do ścian, a czworo dorosłych zadawało nam pytanie za pytaniem, niekończący się potok pytań.

Jak? Co? Skąd? Jak zapłaciliście? Czy tamci wiedzieli, ile macie lat? Mogliście umrzeć. Jesteście zbyt młodzi. Coście sobie myśleli, do cholery?

I właśnie w tym momencie do pokoju weszła Birdie.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Och, wynoś się – rzucił Phin. – To nie ma z tobą nic wspólnego.

– Ani mi się waź odzywać w ten sposób do dorosłego – wypalił David.

– Jaki z niej dorosły – sprzeczał się Phin.

– Phin!

– Nie jest dorosła. Nie jest nawet człowiekiem. Jest świnią. Popatrz. No popatrz na tę jej różową skórę, te jej oczka. To świnią.

Wszyscy wciągnęli gwałtownie powietrze. Wpatrywałem się w Birdie i próbowałem wyobrazić ją sobie jako świnię. Tylko że w moich oczach wyglądała raczej jak stary kot, jeden z tych wyliniiałych, kościstych sierściuchów z kaprawymi oczkami.

Potem popatrzyłem na Phina i zauważyłem, że gapi się na ojca, po czym otwiera szeroko usta i wybucha śmiechem. Usłyszałem, jak mówi:

– Czyli całowałeś się ze świnią!

Zaniósł się głośnym rechotem.

– Ona jest świnia, a ty całujesz świnie. A wiedziałeś, że jest świnia, kiedy się z nią całowałeś?

– Phin! – Sally się skrzywiła.

– Henry widział, jak tata całuje się z Birdie. W zeszłym tygodniu. To dlatego wzięliśmy pieniądze taty i wyszliśmy bez pytania. Bo wkurzyłem się na niego. Ale teraz już wiem, dlaczego ją pocałował. Bo – Phin śmiał się już tak mocno, że ledwo mógł mówić – chciał pocałować świnie!

Mnie też chciało się śmiać, bo Phin i ja byliśmy tą samą osobą, ale nie czułem już tego, ta niezwykle silna więź zniknęła, a zastąpiło ją zimne przerażenie.

Sally wybiegła z pokoju; Phin ruszył za nią, potem David, wciąż w samym ręczniku. Spojrzałem niezręcznie na Birdie.

– Wybacz – rzuciłem pod wpływem dziwnego impulsu.

Ona tylko popatrzyła na mnie z otwartymi ustami, po czym również wyszła z pokoju.

Zostałem sam z rodzicami. Ojciec wstał.

– Który z was wpadł na pomysł, żeby zażyć narkotyki?

Wzruszyłem ramionami. Czułem, że mój trip dobiega końca. Czułem, że wracam do rzeczywistości.

– Nie wiem.

– To on, prawda?

– Nie wiem – powtórzyłem.

Ojciec westchnął.

– Będą konsekwencje, młody człowieku – rzucił szorstko. – Będziemy musieli je przedyskutować. Na razie chodźmy do kuchni, napij się wody i coś zjesz. Coś porządnego. Może jakieś tosty, Martino?

Matka pokiwała głową, a ja poszedłem za nią, zakłopotany.

Nad naszymi głowami dało się słyszeć głosy: szkliste samogłoski Sally, dudnienie Davida i kwilenie Birdie, jakieś kroki, otwierane

i zamykane drzwi. Wymieniliśmy z matką spojrzenia, gdy wkładała do tosterka kromki chleba dla mnie.

– To prawda? – zapytała. – Phin nie skłamał, mówiąc o Davidzie i Birdie?

Pokiwałem głową.

Chrząknęła, lecz nic już nie powiedziała.

Chwilę później trzasnęły drzwi frontowe. Wyrzuciłem na korytarz i zobaczyłem Justina, który właśnie wracał z sobotniego targu z workami jutowymi w rękach. Wkrótce symfonia krzyków na górze wzbogaciła się o jego głos.

Matka podała mi tosta i jadłem w milczeniu. Przypomniałem sobie dziwny strach, jakim tydzień wcześniej nappełnił mnie widok Birdie całującej się z Davidem; to wrażenie, że właśnie na świat wy dostało się coś zepsutego, jakby tamci dwoje byli kluczami i jedno otworzyło drugie. A potem pomyślałem o dotyku dłoni Phina i o tym, że my też byliśmy takimi kluczami, ale my wypuściliśmy coś wyjątkowego i dobrego.

– Co się teraz stanie? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia – przyznała matka. – Ale na pewno nic dobrego. Nic dobrego.

Michael leży w piwniczce, a Lucy od godziny sprząta. Podnosi worek na śmieci z podłogi przed wejściem, znajdują się w nim przesiąknięte krwią papierowe ręczniki, para lateksowych rękawiczek Joy i wszelkie ślady ich ostatniego posiłku: puste butelki po winie i piwie, serwetki, niezjedzona panzanella. Opatrzyła skaleczenia na plecach plastrami z apteczki Michaela, a w jej torebce leżą trzy tysiące dolarów, które wyjęła z szuflady w jego szafce nocnej.

Spogląda na maserati stojące na podjeździe. Spowija ją dziwny smutek: Michael już nigdy nie przejedzie się sportowym samochodem. Już nigdy nie zarezerwuje spontanicznej wycieczki na Martynikę, nie otworzy kolejnej butelki szlachetnego szampana, nie napisze tej swojej durnej książki, nie wskoczy do basenu w ubraniach, nie wręczy kobiecie bukietu stu róż, nigdy więcej nikogo nie przeleci, nikogo nie pocałuje...

Nikogo nie skrzywdzi.

To uczucie mija. Wrzuca worek do wielkiego pojemnika na śmieci przy plaży. W jej żyłach krąży adrenalina, która pomaga jej się skoncentrować i nie tracić siły. Kupuje dwie reklamówki pełne smakołyków dla dzieci. Marco pisze do niej o siedemnastej. *Gdzie jesteś?*

W sklepie. Niedługo wrócę, odpowiada.

Dzieci współpracują bez wahania. Z niedowierzaniem przyglądają się zawartości reklamówek.

– Jedziemy do Anglii – mówi im, siląc się na lekki ton. – Poznamy córkę mojej przyjaciółki, żeby świętować jej urodziny.

– Tamto dziecko! – rzuca Marco.

– Tak. Dziecko. I zatrzymamy się w domu, w którym mieszkałam w dzieciństwie. Ale najpierw czeka nas przygoda! Pojedziemy do Paryża! Pociągiem! Potem przesiądziemy się do innego pociągu, do Cherbourga. Tam wejdziemy na pokład statku i popłyniemy na taką wysepkę o nazwie Guernsey, gdzie będziemy spać przez jedną czy dwie noce w uroczej chatce. Później wsiądziemy na inny statek, a ten zabierze nas do Anglii. Na koniec pojedziemy samochodem do Londynu.

– Wszyscy? Nawet Fitz? – zapytała Stella.

– Nawet Fitz. Ale musimy się spakować, dobrze? I porządnie wyspać, bo musimy być na stacji o piątej rano! Dobra! To najpierw jedzenie, potem kąpiel, pakowanie i do łóżka.

Zostawia dzieci, żeby zaczęły zbierać swoje rzeczy, a sama idzie do pokoju Giuseppe. Pies skacze na nią z radości, Lucy pozwala polizać się po twarzy. Spogląda na Giuseppe i zastanawia się, co mu powiedzieć. Jest lojalny, ale to starszy człowiek i czasami miesza mu się w głowie. Lucy postanawia, że skłamię.

– Jutro zabieram dzieci na wakacje. Jedziemy na Maltę. Mam tam przyjaciół.

– Och, Malta to magiczne miejsce – odpowiada Giuseppe.

– Tak – zgadza się Lucy, czując smutek, że okłamuje jednego z najserdeczniejszych ludzi, jakich zna.

– Ale o tej porze roku jest tam strasznie gorąco. – Spogląda na psa. – Chcesz, żebym się nim zaopiekował przez ten czas?

Pies. Nie pomyślała o przeklętym psie. Chwilowo ogarnia ją panika, ale zaraz się opanowuje i mówi:

– Zabieram go ze sobą. Jako psa opiekuna. Na moje lęki.

– Masz lęki?

– Nie, ale powiedziałam im, że mam, i pozwolili mi zabrać psa.

Giuseppe nie będzie tego kwestionował. Nie do końca wie, jak działa współczesny świat. Dla niego nadal jest tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty siódmy.

– To miło z ich strony – mówi, głaszcząc psa. – Pojedziesz na wakacje, kolego! I to jakie wakacje! Jak długo was nie będzie?

– Dwa tygodnie. Może trzy. Możesz wynająć nasz pokój, jeśli będzie potrzebny.

Uśmiecha się.

– Ale zadbam o to, by czekał na wasz powrót.

Lucy chwyta jego dłoń.

– Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. – Ścisła go mocno; nie ma pojęcia, najmniejszego pojęcia, czy jeszcze go kiedyś zobaczy. Wychodzi z pokoju, zanim zauważy jej łzy.

– Zostanę dzisiaj na noc w tym domu, dobrze? – mówi Miller, odstawiając pusty kufel na stół. – Nie masz nic przeciwko?

– Gdzie będziesz spał?

– Nie będę spał.

Na jego twarzy maluje się zdecydowanie.

– Okej. – Libby kiwa głową. – Jeśli chcesz.

Wracają do domu i Libby jeszcze raz odpina kłódkę, odsuwa drewnianą osłonę i wchodzi do środka. Przystają na chwilę, kierując wzrok do góry, nasłuchują. Jednak w domu panuje cisza.

– No cóż, chyba powinniśmy już wracać – odzywa się Libby, zerkając na koleżankę. Dido kiwa głową, a Libby rusza w kierunku wyjścia. – Na pewno sobie poradzisz? – pyta jeszcze Millera. – Będziesz tutaj zupełnie sam.

– Hej, popatrz na mnie. Czy ja wyglądam, jakbym miał się przestraszyć samotności w ciemnym, pustym domu, gdzie zginęło trzech sekciarzy w tunikach?

– Chcesz, żebym też została?

– Nie. Wracaj do siebie, do wygodnego łóżka. – Składa ręce i patrzy na nią szczenięciami oczami.

– Chciałbyś, żebym została, prawda? – mówi z uśmiechem Libby.

– Nie. W żadnym wypadku.

Libby wybuchają śmiechem i spogląda na Dido.

- Nie pogniewasz się? Będę jutro rano w pracy, obiecuję.
- Zostań i nie śpiesz się. Przyjedź, kiedy będzie ci pasowało – odpowiada Dido.

Kiedy Libby wraca do domu po odprowadzeniu Dido na stację metra, robi się już ciemno. Rozkoszuje się atmosferą ciepłego letniego wieczoru w Chelsea, z chmarami nastoletnich blondynek w dziurawych dżinsach i masywnych adidasach, z pięknie urządzonymi pokojami widocznymi przez rozświetlone okna. Przez chwilę wyobraża sobie, jak by to było zamieszkać tutaj, stać się częścią tego oderwanego od rzeczywistości światka, zostać dziewczyną z Chelsea. Wyobraża sobie dom przy Cheyne Walk pełen antyków, z błyszczącymi kryształowymi żyrandolami i sztuką nowoczesną.

Jednak wszystkie te fantazje wyparowują, gdy otwiera drzwi pod numerem szesnaście. Dom jest splamiony, zbezczeszczone.

Miller siedzi w kuchni przy wielkim, drewnianym stole. Podnosi wzrok na zbliżającą się Libby.

- Szybko, popatrz na to.

Świeci latarką w telefonie na coś, co znalazł w szufladzie. Libby zagląda do środka.

- Popatrz – powtarza Miller.

Na samym tyle szuflady ktoś napisał czarną kredką dwa słowa: JESTEM PHINEM.

CHELSEA, 1990

Kilka tygodni później Sally wyprowadziła się z domu. Minęło parę dni i Birdie przeniosła się do Davida. Mimo to Justin został. Zachował pokój, w którym spali razem z Birdie.

Ostatecznie ominęła mnie kara za narkotyki, Phina również. Stało się jednak jasne, że utrata matki była dla niego gorsza niż każda kara, którą mógłby wymyślić jego ojciec. Obwinił siebie, przede wszystkim siebie. Dopiero potem winił Birdie. Nienawidził jej i mówił o niej „to”. Później winił ojca. A na samym końcu, niestety, i głównie podświadomie, winił mnie. W końcu to ja podzieliłem się z nim tą potworną, fatalną w skutkach wiadomością, którą on potem niechcący wykorzystał, by zniszczyć małżeństwo rodziców. Gdybym mu o niczym nie powiedział, nie doszłoby do tego wszystkiego: nie poszlibyśmy na zakupy, nie wzięlibyśmy kwasu, nie powiedziałby obrzydliwych rzeczy o całowaniu świni. Dlatego też ta więź, która narodziła się między nami wtedy na dachu, nie tyle wyparowała, ile spłonęła w oparach toksycznego dymu.

Trudno było nie zgodzić się, że sam to wszystko na siebie ściągnąłem. Kiedy pomyślę o intencjach, jakie mną kierowały w chwili, gdy dzieliłem się wieściami z Phinem, o mojej chęci wzbudzenia skandalu i podziwu, o braku empatii i poszanowania jego uczuć, tak, czuję się odpowiedzialny. I zapłaciłem wysoką cenę,

naprawdę. Ponieważ nieświadomie niszcząc małżeństwo jego rodziców, zniszczyłem też całe swoje życie.

Krótko po wyprowadzce Sally natrafiłem na Justina siedzącego przy stoliku na tarasie w ogrodzie, przebierającego w stosikach ziół i kwiatów. Fakt, że pozostał pod tym samym dachem co jego niewierna dziewczyna, wydał mi się smutny i nieco przewrotny. Żył niemal tak samo jak wcześniej, pielęgnował i zbierał swoje rośliny, zmieniał je w płócienne woreczki proszku, maleńkie fiolki mikstur, do których przywiązywał etykiety z napisem „Aptekarz z Chelsea”. Nosił te same ubrania, chodził takim samym mozolnym krokiem; nie dało się poznać, czy jego wnętrzem wstrząsają jakieś emocjonalne zawieruchy. Ponieważ sam cierpiałem przez złamane przez Phina serce, byłem ciekaw, co się dzieje w głowie Justina. A kiedy Sally odeszła, Birdie związała się z Davidem, nie wspominając już o tym, że moi rodzice stali się cieniem dawnych siebie, Justin wydawał się dziwnie normalny na tle pozostałych mieszkańców domu.

Usiadłem naprzeciwko, a on podniósł na mnie wzrok i uśmiechnął się.

– Witaj, chłopcze. Jak tam?

– No... – Miałem powiedzieć, że wszystko dobrze, ale przypomniałem sobie, że wcale nie było dobrze. – Jest dziwnie.

Przyjrzał mi się dokładniej.

– Cóż, to na pewno.

Przez chwilę milczeliśmy. Patrzyłem, jak Justin delikatnie odrywa pąki od łodyżek i układa je na tacy.

– Dlaczego jeszcze tutaj mieszkasz? – zapytałem w końcu. – Teraz, gdy ty i Birdie...?

– Dobre pytanie – odparł, nie podnosząc na mnie wzroku. Położył kolejny pączek na tacy, potarł palce, po czym spuścił dłonie na kolana. – Może dlatego, że chociaż nie jesteśmy razem, ona wciąż

jest częścią mnie? Wiesz, ta część miłości, w której nie chodzi o seks, nie umiera od razu. A przynajmniej nie musi.

Pokiwałem głową. W moim przypadku było to zdecydowanie prawdą. Chociaż istniało duże prawdopodobieństwo, że już nigdy nie będę miał szansy potrzymać Phina za rękę, ani nawet dłużej z nim porozmawiać, nie miało to wpływu na moje uczucia do niego.

– Myślisz, że jeszcze się zejdziecie?

Westchnął.

– Może. A może nie.

– A co myślisz o Davidzie?

– Ach.

Jego mowa ciała uległa subtelnej zmianie. Ściągnął ramiona, splótł palce.

– Nie jestem pewien – powiedział w końcu. – Pod pewnymi względami wydaje mi się niesamowity. Pod innymi... – Pokręcił głową. – Przeraza mnie.

– Tak – rzuciłem głośniejszym i bardziej żarliwie, niż zamierzałem. – Tak – powtórzyłem już ciszej. – Mnie też przeraza.

– A w jaki sposób?

– Jest taki... – Uciekłem wzrokiem w niebo, szukając odpowiedniego słowa. – Złowrogi.

Justin się zaśmiał.

– Ha, właśnie. Idealnie powiedziane. Złowrogi. Proszę. – Podał mi garść małych żółtych kwiatków w kształcie stokrotek oraz sznurek. – Powiąż je łądzkami w nieduże pęczki.

– A co to?

– Nagietek lekarski. Przydaje się na problemy skórne. Wspaniała rzecz.

– A to? – Wskazałem tacę pełną żółtych pączków.

– To rumianek. Parzy się z niego herbatę. Powąchaj. – Podał mi jeden z pączków. Przystawiłem go do nosa. – Czyż nie pachnie obłądnie?

Pokiwałem głową i owinąłem sznurkiem kilka nagietków, po czym zawiązałem go na kokardkę.

– Może być?

– Doskonale. A w ogóle – zaczął – słyszałem o tobie i Phinie. O tym waszym, no wiesz, tripie.

Zarumieniłem się.

– Rany, ja nie tykałem narkotyków, dopóki nie skończyłem osiemnastu lat! A ty ile masz? Dwanaście?

– Trzynaście – odparłem twardo. – Mam trzynaście lat.

– Taki młody! Podziwiam was.

Nie rozumiałem tego podziwu. Przecież zrobiliśmy coś w oczywisty sposób złego. Mimo to uśmiechnąłem się.

– Wiesz co – powiedział konspiracyjnym szeptem. – Mogę tutaj hodować cokolwiek zechcę. Naprawdę. Rozumiesz, co mam na myśli?

Pokręciłem głową.

– Nie hoduję tylko tego, co jest dobre dla ludzi. Mogę hodować też inne rzeczy. Co byś tylko zechciał.

Potaknąłem poważnie, po czym rzuciłem:

– Masz na myśli narkotyki?

Roześmiał się znowu, z głębi brzucha.

– No, narkotyki też można. – Postukał się w nos. – Ale miałem na myśli trucizny.

W tym samym momencie otworzyły się tylne drzwi. Obaj odwróciliśmy się, żeby zobaczyć, kto to.

To byli David i Birdie. Szli, obejmując się nawzajem w pasie. Spojrzeli przelotnie w naszą stronę, po czym poszli usiąść po drugiej stronie ogrodu. Atmosfera się zmieniła. Trochę jakby słońce schowało się za chmurą.

– Wszystko w porządku? – zapytałem bezgłośnie Justina samym ruchem warg.

Pokiwał głową.

– Spoko.

Siedzieliśmy przez jakiś czas pod tłumiącym kocem ich obecności, rozmawiając o różnych ziołach i roślinach, ich zastosowaniach. Zapytałem Justina o trucizny, a on mi opowiedział o *Atropa belladonna*, znanej jako wilcza jagoda, którą, według legendy, żołnierze Makbeta otruli zbliżającą się armię Anglików, a także o cykucie, którą Sokrates wypił na swojej egzekucji. Usłyszałem też o wykorzystywaniu ziół magicznych oraz afrodyzjaków, takich jak *Ginkgo biloba*, miłorząb japoński.

– Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś? – zapytałem.

Justin wzruszył ramionami.

– Głównie z książek. No i od mamy, która lubi pracować w ogrodzie. Wiesz, wychowałem się pośród roślin. To w sumie taka... naturalna progresja.

Od czasu odejścia Sally nie mieliśmy ani jednej lekcji. Łaziliśmy razem z pozostałymi dziećmiakami po domu, znudzeni i niespokojni. Gdy tylko narzekaliśmy, że nie mamy co robić, zaraz słyszeliśmy „przeczytaj książkę” albo „policz coś”.

To chyba dlatego byłem taki skory do tego, by nauczyć się czegoś nowego, a jedyne, co nam oferowano, to dziwne ćwiczenia Davida i grę na skrzypcach Birdie.

– A czy są jakieś rośliny, które sprawiają, że ludzie robią coś, no wiesz... wbrew swojej woli?

– No cóż, oczywiście są rośliny halucynogenne, magiczne grzybki i takie tam.

– I da się je wyhodować? W takim ogrodzie jak ten?

– Mogę wyhodować praktycznie wszystko, właściwie wszędzie, chłopcze.

– Mogę ci pomóc? Mogę ci pomóc hodować różne rzeczy?

– Oczywiście. Możesz być moim uczniem. Będzie fajnie.

Nie wiem, o czym Birdie i David rozmawiali za zamkniętymi drzwiami ich strasznej sypialni; wolałem nie zastanawiać się zbyt intensywnie nad rzeczami, które się tam odbywały. Słyszałem coś, co nawet po niemal trzydziestu latach przyprawia mnie o dreszcze. Każdej nocy spałem z poduszką na głowie.

Rano schodzili na dół razem, zadowoleni z siebie, zadzierając nosa. David miał obsesję na punkcie włosów Birdie, które sięgały jej do pasa. Cały czas ich dotykał. Owijał sobie kosmyki wokół palców, przeciągał po nich dłonią, przeczesywał, mówiąc do niej. Raz widziałem, jak przystawił sobie kosmyk do nosa i wciągnął głęboko powietrze.

– Czyż włosy Birdie nie są cudowne? – zapytał kiedyś. Popatrzył na moją siostrę i Clemency, które miały włosy do ramion. – Nie chciałybyście takich włosów, dziewczynki?

– W wielu religiach u kobiet noszenie włosów do pasa jest uważane za bardzo uduchowione – stwierdziła Birdie.

Chociaż oboje nie należeli do szczególnie religijnych osób, na początku swojego związku dużo o tym mówili. Rozmawiali o sensie życia i o tym, jak wszystko jest strasznie jednorazowe. Rozmawiali o minimalizmie i feng shui. Zapytali matkę, czy mogą przemałować swój pokój na biało, czy mogliby przesunąć zabytkową metalową ramę łóżka do innego pokoju i położyć materac bezpośrednio na podłodze. Czuli wstręt do aerozoli, fast foodu, leków z apteki, sztucznych tkanin, plastikowych torebek, samochodów i samolotów. Już wtedy poruszali temat globalnego ocieplenia i martwili się o swój ślad węglowy. Z perspektywy apokaliptycznych doniesień o złowieszczych upałach lata dwa tysiące osiemnastego roku, oceanie pełnym krztuszących się plastikiem zwierząt wodnych i niedźwiedziach polarnych zsuwających się z topniejącej pokrywy lodowej tamtych dwoje wyprzedzało swoje czasy. Jednak w kontekście roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego, kiedy

świat dopiero zachwycił się całą tą nowoczesną technologią i kulturą szybkiej konsumpcji, byli aberracją.

I może szanowałbym Davida i Birdie za siłę ich zaangażowania w ratowanie planety, gdyby nie to, że David oczekiwał tego samego od wszystkich. Nie wystarczyło, że oni dwoje spali na samym materacu. Wszyscy musieli spać na materacach położonych na podłodze. Nie wystarczyło, że on i Birdie zrezygnowali z samochodów, aspiryny i paluszków rybnych. Wszyscy musieliśmy zrezygnować z każdej z tych rzeczy. Stało się dla mnie jasne, że to, co wyczułem podświadomie, widząc wtedy ich pocałunek, właśnie się spełniło. Birdie odblokowała coś w Davidzie i teraz chciała, żeby on miał kontrolę nad wszystkim.

Wyglądało na to, że utraciliśmy wolność.

Ciemno robi się dopiero przed dziesiątą. Libby i Miller rozmawiają przy stoliku w ogrodzie w zapadającym zmierzchu, nie zauważając braku światła, dopóki nie dotrze do nich, że nie widzą już nawzajem białek swoich oczu. Ostatnią godzinę przed zmrokiem spędzili na przeszukiwaniu domu i właśnie o tym teraz rozmawiają: o rzeczach, które znaleźli.

Oprócz słów „JESTEM PHINEM” nabazgranych we wnętrzu szuflady znaleźli ten sam napis na spodniej stronie wanny na strychu, na listwie przypodłogowej w jednym z pokoiów również na strychu, a także w środku szafy w jednej z sypialni na pierwszym piętrze. Natrafili też na kilka strun w mniejszym pomieszczeniu na dole oraz pulpit na nuty w szafce narożnej. Natknęli się na stertę czystych pieluszek tetrowych, agrafek, kremu na odparzenia i śpioszki w szafie w pokoju, w którym stała kołyska z Libby. Do tego jeszcze książki w skrzyni w korytarzu na tyłach, poszarzałe i pokryte pleśnią, traktujące o leczniczym zastosowaniu ziół i innych roślin oraz średniowiecznych czarach. Wszystkie były owinięte starym kocem i nakryte poduszkami, które niegdyś musiały ozdabiać meble ogrodowe.

Wypatrzyli też cienką złotą obrączkę wciśniętą między parkiet a listwę przypodłogową. Dopatrzyli się stempla pobierczego i Miller zrobił mu zdjęcie, by potem je powiększyć. Wpisali go do

wyszukiwarki i okazało się, że obrączka została oznaczona w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym, czyli w roku ślubu Henry'ego i Martyny. Maleńka błyskotka ukryła się przed sokolim wzrokiem szabrowników i detektywów, leżąc w swojej ciemnej skrytce przez co najmniej dwadzieścia pięć lat.

Libby nosi teraz tę obrączkę na serdecznym palcu lewej dłoni. To obrączka jej matki. Pasuje idealnie. Dziewczyna bawi się nią, rozmawiając z Millerem.

Milkną co kilka minut, nasłuchując dudnienia kroków w zaroślach. Miller od czasu do czasu chodzi na tyły ogrodu, szukając cieni, jakiegoś znaku, że ktoś wchodzi przez furtkę. Przynoszą poduszki znalezione w skrzyni, gaszą świece i siedzą w kącie trawnika najdalej od tylnych drzwi. Rozmawiają szeptem, kiedy Miller nagle patrzy na Libby wielkimi oczami i podnosi palec do ust.

– Ciii – ucisza ją, po czym jego oczy wędrują na tył ogrodu.

Coś tam jest. Libby prostuje się. Tak, teraz to widzi. Na ich oczach na drugą stronę trawnika zakrada się mężczyzna, wysoki i szczupły, z krótkimi włosami, okularami odbijającymi blask księżycy, w białych tenisówkach i z torbą na ramieniu. Patrzą, jak rzuca torbę na murek, po czym idą za nim. Słyszą, jak wspina się po rynnie do cypla na pierwszym piętrze. Wtedy oboje przesuwają się bardzo cicho, żeby zobaczyć, jak nieznajomy znika na dachu.

Serce Libby bije jak oszalałe.

– O mój Boże – szepcze. – O mój Boże, co teraz?

– Ja pierdolę, nie mam pojęcia – odpowiada równie cicho Miller.

– Powinniśmy iść i skonfrontować się z nim?

– Nie wiem. A ty co sądzisz?

Libby kręci głową. Jest w równej mierze przerażona i ogarnięta przemożną chęcią, by zobaczyć się z tym mężczyzną twarzą w twarz.

Zerka na Millera. On ją obroni. Albo przynajmniej wygląda jak ktoś, kto mógłby ją obronić. Mężczyzna, którego widzieli, był od

niego drobniejszy i nosił okulary. Libby kiwa głową i mówi:

– Tak, wejdźmy do środka. Porozmawiajmy z nim.

Miller sprawia wrażenie nieco wystraszonego, ale szybko odzyskuje rezon i rzuca:

– Dobra, chodźmy.

W domu panuje ciemność, rozpraszana jedynie przez słabe światło lamp ulicznych i srebrzysty blask księżyca odbijający się od rzeki. Libby idzie za Millerem, pokrzepiona jego barczystą sylwetką. Zatrzymują się przed schodami, po czym wchodzą bardzo ostrożnie, powoli pokonując każdy następny stopień, aż znajdą się na podeście. Tutaj jest jaśniej, księżyc zagląda przed duże okno wychodzące na ulicę. Oboje patrzą do góry, a potem na siebie nawzajem.

– Okej? – pyta Miller.

– Okej – odpowiada Libby.

Kłapa w suficie na najwyższym piętrze jest opuszczona, drzwi do łazienki zamknięte. Słychać ciurkanie, ktoś właśnie sika do sedesu, pod koniec przerywanym strumieniem, następnie szum wody w kranie, chrząknięcie. Później drzwi się otwierają i ze środka wychodzi mężczyzna. Jest przystojny, to pierwsza myśl Libby. Przystojny facet z równo przyciętymi jasnymi włosami, młodą, ogoloną twarzą, umięśnionymi ramionami. Ubrany w szary podkoszulek, wąskie czarne dżinsy, modne okulary i fajne tenisówki.

Na ich widok podskakuje wysoko i łapie się za serce.

– Chryste. Ja pierdolę – rzuca pod nosem.

Libby też podskakuje. Podobnie Miller.

Przez chwilę wszyscy się na siebie gapią.

– Ty jesteś... – odzywa się w końcu nieznajomy, a Libby w dokładnie tym samym momencie mówi:

– Ty jesteś...

Wskazują na siebie nawzajem, po czym oboje spoglądają na Millera, jakby on mógł udzielić im odpowiedzi. Mężczyzna odwraca

się z powrotem do Libby i rzuca:

– Ty jesteś Serenity?

Libby kiwa głową.

– A ty jesteś Henry?

Tamten patrzy na nich przez chwilę w osłupieniu, po czym jego twarz łagodnieje.

– Nie, nie jestem Henry. Jestem Phin.

||

CHELSEA, 1990

Moja matka, z pochodzenia Niemka, wiedziała, jak zrobić porządne Boże Narodzenie. To była jej specjalność. Już na początku grudnia zaczynała stroić dom w domowej roboty dekoracje z kandyzowanymi pomarańczami, czerwoną kraciatą bawełną i malowanymi szyszkami, a w powietrzu unosił się zapach piernika, świątecznej strucli i grzanego wina. Żadnych tandetnych lamet, papierowych girland, żadnych sklepowych słodczy.

Nawet mój ojciec przepadał za Bożym Narodzeniem. Miał strój Świętego Mikołaja, który zakładał w każdą Wigilię, gdy byliśmy jeszcze mali, a ja wciąż nie potrafię wytłumaczyć, jak to możliwe, że jednocześnie wiedziałem, że to on, ale też nie miałem o tym pojęcia. Kiedy teraz o tym myślę, zaczynam dostrzegać w tym tego samego rodzaju samooszukiwanie się, które odgrywało swoją rolę w tym, jak wszyscy traktowali Davida Thomsena. Ludzie patrzyli na niego i widzieli tylko człowieka, ale jednocześnie też rozwiązanie swoich problemów.

Ojciec nie przebrał się na Wigilię. Powiedział, że jesteśmy już na to za duzi, i pewnie miał rację. Ale także dodał, że nie czuje się najlepiej. Matka tak czy inaczej przygotowała tradycyjny świąteczny wieczór. Usiedliśmy wokół (mniejszej niż zwykle) sosny i rozpakowaliśmy (mniej liczne niż zwykle) prezenty, podczas gdy

w tle grały kolędy i ogień trzaskał w kominku. Po mniej więcej trzydziestu minutach, tuż przed kolacją, ojciec powiedział, że musi się położyć, bo ma potworny ból głowy.

Pół minuty później leżał na podłodze w salonie, z udarem.

W tamtym momencie nie wiedzieliśmy jeszcze, że to udar. Myśleliśmy, że ma jakiś napad. Albo zawał. Doktor Broughton, prywatny lekarz mojego ojca, przyjechał go obejrzyć, wciąż ubrany w wigilijny strój w postaci czerwonego swetra w serek i muszki w ostrokrzewy. Pamiętam jego twarz, kiedy ojciec powiedział, że nie ma już prywatnego ubezpieczenia, jak szybko doktor wyszedł z domu, natychmiast porzucając przymilny uśmiech. Wysłał ojca prosto do szpitala w karetce państwowej służby zdrowia i nawet się nie pożegnał.

Ojciec wrócił do domu w drugi dzień świąt.

Lekarze powiedzieli, że nic mu nie jest, że przez jakiś czas będzie miał problemy kognitywne, trochę kłopotów z motoryką, ale jego mózg sam się naprawi i ojciec wróci do normalności w ciągu kilku tygodni. Może nawet szybciej.

Tylko że podobnie jak po pierwszym udarze, nigdy do końca nie doszedł do siebie. Wydawał się jeszcze bardziej nieobecny. Używał niewłaściwych słów. Albo w ogóle nie potrafił się wysłowić. Całymi dniami przesiadywał w fotelu w swojej sypialni, jedząc bardzo powoli herbatniki. Czasami śmiał się w niewłaściwych momentach. Innym razem w ogóle nie rozumiał żartu.

Poruszał się powoli. Unikał schodów. Przestał wychodzić z domu.

A im słabszy stawał się ojciec, tym wyraźniej jego miejsce zajmował David Thomsen.

Gdy w maju dziewięćdziesiątego pierwszego skończyłem czternaście lat, w domu już panowały zasady. Nie zwyczajne rodzinne zasady typu nie kładź nóg na meblach, najpierw praca

domowa, potem telewizja. Nie przypominały zasad, które znaleźliśmy przez całe nasze życie.

Teraz mieliśmy szalone, despotyczne zasady, zapisane czarnym markerem na dużym plakacie przyklejonym do ściany w kuchni. Pamiętam je do dzisiaj:

Nie obcinać włosów BEZ POZWOLENIA Davida i/lub Birdie.

Żadnej telewizji

Nie przyjmować gości BEZ POZWOLENIA Davida i/lub Birdie

Zakaz próżności

Zakaz chciwości

Nikt nie wychodzi z domu BEZ WYRAŻNEGO POZWOLENIA Davida i/lub Birdie

Żadnego mięsa

Żadnych produktów odzwierzęcych

Zakaz używania skóry/zamszu/wełny/piór

Żadnych plastikowych pojemników

Nie więcej niż cztery śmieci na dzień na osobę, wliczając w to resztki jedzenia

Żadnych sztucznie barwionych ubrań

Żadnych farmaceutyków

Żadnych chemikaliów

Jedna kąpiel lub prysznic NA OSOBĘ NA DZIEŃ

Jeden szampon na tydzień

WSZYSCY MIESZKAŃCY muszą spędzić minimum dwie godziny dziennie z Davidem w pokoju ćwiczeń

WSZYSTKIE DZIECI muszą spędzić minimum dwie godziny dziennie z Birdie w pokoju muzycznym

Wszystkie posiłki należy przygotowywać w domu z organicznych składników

Zakaz ogrzewania gazowego lub elektrycznego

Żadnych krzyków

Żadnego przeklinania

Żadnego biegania

Lista na początku była krótka, ale im większy był wpływ Davida na życie domowników, tym stawała się dłuższa.

W tamtym okresie Sally wciąż przychodziła raz czy dwa razy w tygodniu, żeby zabrać dzieci na herbatę. Spała na kanapie u koleżanki w Brixton i desperacko próbowała znaleźć mieszkanie dość duże, by mogli zamieszkać we troje. Phin zawsze po powrocie od matki był wyjątkowo smutny. Zamykał się w pokoju i omijał kilka następnych posiłków. Właściwie to przez niego powstało sporo nowych zakazów. David nie znosił jego humorów. Nie mógł patrzeć na marnowanie jedzenia albo na drzwi, których nie dało się otworzyć w dowolnym momencie. Nie tolerował u innych zachowania, które nie współgrało z jego wizją świata. Nie znosił nastolatków.

Dodano dwie nowe zasady:

Zakaz zamykania drzwi na klucz

WSZYSCY DOMOWNICY muszą stawiać się na WSZYSTKIE POSIŁKI

Pewnego ranka, krótko po tym, jak Phin piąty raz wrócił ze spotkania z matką i złamał pierwszą z tych dwóch zasad, poszedłem na górę i zobaczyłem, jak David – z zaciśniętymi zębami i kurczowo trzymając śrubokręt – wymontowuje zamek w drzwiach Phina.

Phin siedział na łóżku i patrzył na to z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Gdy w porze obiadu nadal w grobowym milczeniu nie ruszył się z łóżka, David ściągnął go na dół za wciąż skrzyżowane ręce, po czym rzucił na krzesło.

Siłą przysunął je do stołu i postawił przed Phinem dużą miskę cukinii i ryżu z curry. Phin w dalszym ciągu miał skrzyżowane ręce. David wstał, nałożył trochę jedzenia na łyżkę i przycisnął do ust chłopaka. Phin zacisnął zęby. Słyszałem, jak łyżka o nie uderza. Wszystko to było szokujące. Phin miał wtedy piętnaście i pół roku, ale sprawiał wrażenie o wiele starszego. Był wysoki i silny. Sytuacja

wyglądała tak, jakby za chwilę mogło dojść do przemocy. Jednak Phin trwał przy swoim, wzrokiem wypalał dziurę w ścianie naprzeciwko, twarz mu stężała z gniewu i determinacji.

W końcu David zaniechał prób nakarmienia syna łyżką i rzucił nią na drugą stronę pokoju, curry zostawiło brzydki żółty półksiężyc na ścianie, a łyżka wylądowała na podłodze z wściekłym metalicznym odgłosem.

– Do swojego pokoju! Natychmiast! – wrzasnął David. Miał napiętą całą szyję, na skroni pulsowała mu żyłka, był fioletowobrazowy. Nigdy wcześniej nie widziałem kogoś równie rozwścieczonego jak on w tamtej chwili.

– Z przyjemnością – syknął Phin.

Znikąd pojawiła się ręka Davida i jakby w zwolnionym tempie uderzyła Phina w tył głowy. Chłopak obrócił się, popatrzył ojcu w oczy. Dostrzegłem między nimi czystą nienawiść.

Phin poszedł dalej. Usłyszeliśmy jego kroki na schodach, pewne i rytmiczne. Ktoś chrząknął. Zobaczyłem, jak Birdie i David wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Birdie, skrzywiona i wyraźnie niezadowolona, zdawała się mówić: *Tracisz kontrolę, zrób coś*. Z kolei David, wściekły i groźny, odpowiadał: *Zamierzam*.

Gdy tylko posiłek się skończył, poszedłem do pokoju Phina. Siedział na łóżku z kolanami podciągniętymi do piersi. Podniósł na mnie wzrok.

– Czego?

– Wszystko w porządku?

– A jak myślisz?

Wszedłem głębiej. Czekałem, aż każe mi wyjść, ale nie zrobił tego.

– Bolało? Kiedy cię uderzył? – zapytałem.

Moi rodzice, chociaż oboje byli dziwni, nigdy mnie nie bili. Nie potrafiłem sobie czegoś takiego wyobrazić.

– Nie bardzo.

Podszedłem jeszcze bliżej.

Potem nagle Phin podniósł na mnie wzrok i znowu to się stało. Widział mnie. Naprawdę mnie dostrzegął.

– Nie mogę tu zostać – powiedział, kręcąc głową. – Muszę się wydostać.

Serce zaczęło mi szybciej bić. Phin jako jedyny potrafił rozpalić we mnie nadzieję.

– Gdzie byś poszedł?

– Nie wiem. Może do mamy.

– Ale...

Już miałem powiedzieć, że jego mama sypia na sofie u koleżanki w Brixton, jednak Phin przerwał mi w pół zdania.

– Nie wiem, dobra? Wiem tylko, że muszę stąd uciekać. Nie mogę tu dłużej być.

– Kiedy to zrobisz?

– Teraz.

Popatrzył na mnie spod tych niesamowitych rzęs. Przyjrzałem się dobrze jego twarzy i wydawało mi się, że rzuca mi wyzwanie.

– Chcesz... Mam... iść z tobą?

– Nie! Ja pierdolę, nie.

Skuliłem się. Nie. Oczywiście, że nie.

– Co powiedzieć dorosłym? Jeśli zapytają?

– Nic – syknął. – Nie odzywaj się. Po prostu nic im nie mów.

Pokiwałem głową, otwierając szeroko oczy. Patrzyłem, jak wrzuca różne rzeczy do torby: spodnie i skarpetki, podkoszulek, książkę, szczoteczkę do zębów. Odwrócił się i zauważył mój wzrok.

– Idź. Proszę.

Wyszedłem z pokoju i powoli ruszyłem w stronę tylnej klatki schodowej, gdzie usiadłem na trzecim stopniu w dół i przymknąłem

drzwi, by przez szparę patrzeć, jak Phin znika razem z torbą w tunelu prowadzącym na dach. Nie potrafiłem wyobrazić sobie, co robi i gdzie się wybiera. Przez chwilę wydawało mi się, że może zamierza mieszkać na dachu. Jednak, choć był już maj, nie było to możliwe. Potem usłyszałem jakieś odgłosy dobiegające z zewnątrz i wpadłem do pokoju Phina, przyłożyłem dłoń do szyby w oknie i wyjrzałem na ogród. I zaraz go zobaczyłem, właśnie pędził po trawniku w stronę atramentowego cienia drzew. Nagle zniknął.

Odwróciłem się twarzą do pustego pokoju. Podniosłem jego poduszkę i przystawiłem do twarzy. Wciągnąłem w nozdrza jego zapach.

Kiedy Lucy wychodzi z Blue House następnego ranka, wciąż jest ciemno. Dzieci są ciche i mają szeroko otwarte oczy. Lucy wstrzymuje oddech, kiedy przekazuje pieniądze na bilety do Paryża kobiecie w okienku, która wygląda, jakby znała wszystkie jej najskrytsze tajemnice. Robi to jeszcze raz, gdy wchodzi do pociągu, a potem znowu, kiedy do wagonu wchodzi konduktor i prosi o okazanie biletów. Za każdym razem, kiedy pociąg zwalnia, Lucy wstrzymuje oddech i rozgląda się w poszukiwaniu blasku niebieskiego światła albo granatowych mundurów żandarmerii. W Paryżu siedzi z dziećmiakami i psem w najcichszym kącie najcichszej kawiarni, czekając na połączenie do Cherbourga. I wtedy wszystko zaczyna się od nowa: otępiający strach na każdym kroku, na każdej stacji. W porze obiadu, kiedy wsiadają do następnego pociągu, wyobraża sobie, że w domu Michaela Joy zaczyna się zastanawiać, gdzie on jest, a wtedy serce Lucy bije tak szybko i mocno, jakby miała zaraz umrzeć. Odbywa mentalną podróż po wnętrzu domu, szukając czegoś, o czym zapomniała, jakiejś wielkiej czerwonej flagi, przez którą Joy może od razu zajrzeć do piwniczki. Ale nie, jest pewna, absolutnie pewna, że nie zostawiła żadnej wskazówki, żadnego śladu. Zyskała trochę czasu. Przynajmniej jeden dzień. A nawet potem, czy Joy opowie policji o sympatycznej kobiecie imieniem Lucy, matce syna Michaela, coś takiego, co

wzbudziłoby ich podejrzenia? Nie, opowie im o jego podejrzanym konszachtach z podziemiem, o typach spod ciemnej gwiazdy, którzy czasami przychodzili do domu, żeby porozmawiać „o interesach”. Joy wskaże im zupełnie inny kierunek, a kiedy ostatecznie zdadzą sobie sprawę, że to ślepy zaułek, po Lucy nie będzie już śladu.

Gdy tego wieczoru docierają do Cherbourg, jej serce już nie bije jak oszalałe i nawet apetyt wraca jej na tyle, by mogła zjeść croissanta kupionego w Paryżu.

Idą na postój taksówek i wsiadają do zdezelowanego renault scenic, po czym Lucy prosi kierowcę, by zawiózł ich do Diélette. Pies włazi jej na kolana i opiera pysk na opuszczonej do połowy szybie w oknie. Już późno. Dzieci zasypiają.

Diélette to niewielkie miasteczko portowe, w którym jest dużo zieleni i wzgórz. Jedyne ludźmi płynącymi późnym promem do Guernsey są Brytyjczycy na wakacjach, głównie rodziny z małymi dziećmi. Lucy ścisła mocno paszporty w spoconych dłoniach. Są francuskie, chociaż ona jest Angielką. Dzieci mają wpisane inne nazwiska niż ona, Stella ma inny kolor skóry. Wiozą ze sobą wielkie i brudne plecaki, a do tego są tak zmęczeni, że wydają się chorzy. A ich dokumenty są fałszywe. Lucy jest przekonana, absolutnie pewna, że ktoś ich zatrzyma, odciągnie na bok, zacznie zadawać pytania. Zaplanowała tę długą i krętą drogę powrotną do Londynu w taki sposób, żeby zmylić ewentualną pogoń, mimo to, kiedy pokazuje paszporty celnikowi w porcie, serce bije jej tak mocno, że nie zdziwiłaby się, gdyby mężczyzna mógł je usłyszeć. Przegląda papiery, patrząc to na zdjęcie, to na pasażera, po czym oddaje je i daje im znak spojrzeniem, że mogą przejść dalej.

Potem wypływają w morze, na wzburzone, sinogranatowe wody kanału La Manche, i wkrótce zostawiają Francję w tyle.

Lucy siedzi z tyłu promu i trzyma Stellę na kolanie, żeby dziewczynka mogła patrzeć, jak kraj, w którym się urodziła, i jedyny

dom, jaki znała, zmniejsza się, aż zostają z niego tylko migoczące na horyzoncie światła.

– Pa, pa, Francjo – mówi Stella, machając. – Do widzenia.

Libby wpatruje się w Phina, a on w nią.

– Kiedyś tutaj mieszkałem – mówi, chociaż nikt nie kazał mu wyjaśniać, kim jest. Potem szybko, zanim Libby zdąży odpowiedzieć, dodaje: – Jesteś naprawdę ładna.

– Och – rzuca dziewczyna.

Później Phin spogląda na Millera i pyta:

– A ty kim jesteś?

– Cześć. – Miller wyciąga do niego wielką łapę. – Jestem Miller Roe.

Phin przygląda mu się badawczo.

– Dlaczego rozpoznaję to nazwisko?

Miller mruczy coś pod nosem i wzrusza ramionami.

– Jesteś tym dziennikarzem, prawda?

– Owszem.

– Gówniany był ten twój artykuł. Myliłeś się we wszystkim.

– Ano. Teraz już wiem.

– Nie mogę uwierzyć w to, jaka jesteś ładna – odzywa się Phin, ponownie skupiając wzrok na Libby. – Jesteś bardzo podoba do...

– Matki?

– Tak, jesteś podobna do swojej matki.

Libby myśli o zdjęciach matki z farbowanymi na czarno włosami jak u Priscilli Presley, pomalowanymi kredką oczami. Traktuje te

słowa jako komplement.

– Co ty tutaj robisz? – pyta.

– Czekam na ciebie – odpowiada Phin.

– Ale byłam już tutaj ostatnio. Słyszałam cię na górze. Dlaczego nie zszedłeś?

Wzrusza ramionami.

– Zszedłem, ale kiedy dotarłem na dół, ciebie już nie było.

– Och.

– Pójdziemy? – rzuca Phin, wskazując schody.

Ruszają za nim na dół i do kuchni.

Phin siada po jednej stronie stołu, Miller i Libby po drugiej. Libby przygląda się uważnie twarzy Phina. Musi być już po czterdziestce, ale wygląda na o wiele młodszego. Ma niezwykle długie rzęsy.

– Czyli to wszystko jest twoje – mówi, rozkładając ręce.

Libby kiwa głową.

– Chociaż właściwie chyba powinno też należeć do mojego brata i siostry, prawda?

– Cóż, ich strata. W ogóle zdaje się, że powinienem ci złożyć życzenia urodzinowe. Trochę spóźnione.

– Dziękuję. Ile czasu minęło, odkąd opuściłeś ten dom?

– Całe dekady.

Zapada długa, bardzo krucha cisza. W końcu przerywa ją Phin.

– Domyślam się, że macie mnóstwo pytań.

Miller i Libby wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Libby kiwa głową.

– Cóż – mówi Phin – może byśmy się stąd wynieśli? Mieszkam niedaleko stąd, po drugiej stronie rzeki. Mam schłodzone wino. I taras. I koty, które wyglądają jak poduszki.

Znowu patrzą po sobie.

– Nie zabiję was. Moje koty też nie. Chodźcie. Opowiem wam o wszystkim ze szczegółami.

Dwadzieścia minut później wychodzą za Phinem z błyszczącej windy na wyłożony marmurem korytarz.

Jego mieszkanie znajduje się na drugim końcu.

Światła zapalają się automatycznie, gdy prowadzi ich do salonu z przeszklonymi drzwiami na taras z widokiem na rzekę.

Wszystko jest jasne i idealnie czyste. Wielkie białe owcze futro leży na bardzo długiej kremowej kanapie. Ekstrawagancki bukiet lili i róż stoi w wazie, która pasowałaby do salonu wystawienniczego ekskluzywnego producenta mebli kuchennych.

Phin sięga po małego pilota i otwiera nim drzwi tarasowe, po czym zaprasza ich, by usiedli na dwóch sofach przy niskim stoliku. Gdy on idzie po wino, Libby i Miller patrzą po sobie.

– To mieszkanie musi być warte kilka milionów – zauważa Miller.

– Jak nie więcej – odpowiada Libby, po czym wstaje i wygląda na rzekę. – Popatrz! To tamten dom. Jesteśmy dokładnie naprzeciwko.

Miller dołącza do niej.

– Cóż, możemy chyba śmiało założyć, że to nie przypadek.

– Myślisz, że go obserwował?

– Tak, zdecydowanie tak myślę. Z jakiego innego powodu wybrałby mieszkanie z takim widokiem?

– Jakie zrobił na tobie wrażenie? – szepcze Libby.

Miller wzrusza ramionami.

– Wydaje się trochę...

– Dziwny?

– Tak, trochę dziwny. I jeszcze...

Wtedy jednak wraca gospodarz, w jednej ręce trzymając butelkę wina i trzy kieliszki w wiaderku z lodem, a drugą przyciskając do piersi kota. Wiaderko odstawia na stolik, ale kota nie wypuszcza.

– Poznajcie Mindy – mówi, przytrzymując kocią łapkę tak, jakby się z nimi witał. – Mindy, to jest Libby i Miller.

Zwierzę ich ignoruje, próbując wydostać się z rąk Phina.

– Och, dobra – zrzuca uciekającego kota. – Bądź wredna, jak sobie chcesz. – W końcu odwraca się do gości. – Moja ulubienica. Zawsze zakochuję się w tych, którzy nie mogą mnie znieść. To dlatego wciąż jestem singlem.

Otwiera wino i nalewa go do kieliszków, po czym wznosi toast.

– Za spotkania po latach.

Stukają się i zaraz zapada nieco niezręczna cisza.

– Niesamowity widok – przerywa ją Miller. – Jak długo tu mieszkasz?

– Niedługo. Raptem w zeszłym roku skończyli budowę.

– Niebywałe, prawda? Dokładnie naprzeciwko Cheyne Walk.

Phin kiwa głową.

– Chciałem być blisko, kiedy wrócisz – mówi do Libby.

Na taras wychodzi inny perski kot. Ten ma okropną nadwagę i wybałuszone oczy.

– Ach, no i proszę. Pan Atencjusz. Usłyszał, że mam gości. – Bierze ogromne kocisko i kładzie sobie na kolanach. – Nazwałem go Dick, żeby mieć pewność, że mi go nie zabraknie^[3].

Libby wybucha śmiechem i popija wino. W innej rzeczywistości to byłoby idealne spotkanie towarzyskie: dwóch przystojnych mężczyzn, ciepła letnia noc, cudowny taras z widokiem na Tamizę, kieliszek zimnego białego wina. Jednak w tej rzeczywistości wszystko wydaje się wypaczone i trochę groźne. Nawet koty.

– Skoro zamierzasz opowiedzieć nam ze szczegółami, co się wydarzyło na Cheyne Walk, zrobisz to oficjalnie? Mogę być dzisiaj dziennikarzem?

– Możesz być, kim zechcesz.

– Mogę cię nagrać? – Miller sięga do kieszeni po telefon.

– Jasne – odpowiada Phin, przeczesując palcami gęstą sierść kota. – Dlaczego nie? Nie mam już nic do stracenia. Śmiało.

Miller przez jakiś czas bawi się komórką. Libby widzi, że trzęsą mu się trochę ręce, zdradzając ekscytację. Upija jeszcze jeden duży

łyk wina, żeby ukoić nerwy. Potem Miller odkłada telefon na stolik i pyta:

– Dobra. Powiedziałaś, że w artykule nic się nie zgadzało. Może zaczniemy od tego?

– Zdecydowanie. – Tłusty kot zeskakuje na podłogę, a Phin odruchowo zaczyna zbierać sierść ze spodni.

– W trakcie prac nad tekstem natrafiłem na mężczyznę, który nazywał się David Thomsen. Pisane przez „e”.

– Tak – potwierdził Phin. – To mój ojciec.

Libby dostrzega na twarzy Millera triumfalną ulgę. Dziennikarz wypuszcza powietrze z płuc i ciągnie:

– A twoja matka to Sally?

– Tak, Sally jest moją matką.

– A Clemency...?

– To moja siostra.

– A trzecie ciało...

– Należało do mojego ojca. – Phin kiwa głową. – Strzał w dziesiątkę. Szkoda, że nie wpadłeś na to przed napisaniem artykułu.

– Właściwie to wpadłem. Ale nie mogłem was namierzyć. Szukałem całymi miesiącami i nic. Więc co się z wami wszystkimi stało?

– Wiem tylko, co się stało ze mną. Obawiam się, że nie mam pojęcia, gdzie trafiły moja matka i Clemency.

– Nie utrzymywaliście kontaktu?

– Ani trochę. Ostatni raz widziałem je, gdy byłem nastolatkiem. Wydaje mi się, że matka mieszka w Kornwalii, i zakładam, że Clemency również. – Wzrusza ramionami i sięga po kieliszek. – Pentreath – dodaje.

Miller obrzuca go pytającym spojrzeniem.

– Wydaje mi się, że mieszka w Pentreath.

– Aha. To świetnie, dziękuję.

– Nie ma za co – odpowiada Phin, po czym zaciera ręce i mówi:
– Zapytaj o coś innego! Zapytaj, co się naprawdę wydarzyło tamtego dnia, gdy wszyscy zginęli.

Miller uśmiecha się ponuro i rzuca:

– Okej, co się wtedy naprawdę wydarzyło? Tamtego dnia, gdy wszyscy zginęli?

Phin patrzy na nich oboje przebiegle, a następnie pochyla się tak, by jego usta znalazły się bezpośrednio nad mikrofonem telefonu.

– Po pierwsze, to wcale nie było samobójstwo. To było morderstwo.

[3] Dick to oczywiście imię męskie, ale też wulgarne określenie penisa. W oryginale bohater odwołuje się do sformułowania *get some dick*, które oznacza seks z mężczyzną.

CHELSEA, 1991

Phin zniknął na tydzień. Ledwo znośłem bezsensowność wszystkiego podczas jego nieobecności. Gdy był jeszcze w domu, każde wyjście do kuchni mogło zaowocować ujrzeniem jego twarzy, każdy poranek zaczynał się od myśli o możliwych spotkaniach. Bez niego byłem w ponurym domu pełnym obcych ludzi.

Minął tydzień i pewnego dnia usłyszałem trzaśnięcie drzwi oraz głosy niosące się z korytarza, po czym pojawił się Phin, a tuż za nim Sally. Mówiła coś gorączkowo do Davida, który stał z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Wcale nie kazałam mu przychodzić. Na Boga. To ostatnia rzecz, którą mogłabym zrobić. Już sama nadużywam gościnności Toni, a co dopiero, gdy pojawił się tam jeszcze mój nastoletni syn.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś? – zapytał David.

– Powiedział, że wiedziałeś o wszystkim! Dlaczego miałam mu nie wierzyć? No i w końcu zadzwoniłam, prawda?

– Myślałem, że go zamordowali. Szaleliśmy ze zmartwienia.

– Szaleliście? Jacy „wy”, do cholery?

– No my, my wszyscy. I bardzo cię proszę, nie używaj takiego słownictwa w naszym domu.

– Phin powiedział, że go uderzyłeś.

– Wcale go nie uderzyłem. Na Boga. To było klepnięcie.

– Klepnąłeś go?

– Rany boskie, Sal, nie masz pojęcia, najmniejszego pojęcia, jak to jest mieszkać z tym dzieciakiem. Pyskuje. Kradnie. Bierze narkotyki. Nie szanuje pozostałych domowników...

Sally podniosła rękę.

– Wystarczy. To nastolatek. Jest dobrym dzieckiem, po prostu przechodzi trudny okres. Tak już bywa.

– Cóż, to może i prawda, gdy się ma takie żalosne spojrzenie na świat. Ale reszta by się z tym nie zgodziła. Nic go nie tłumaczy. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł zachowywać się w ten sposób w jego wieku. To diabelstwo.

Zobaczyłem, jak Sally ściska Phina za ramię. Zobaczyłem, jak wciąga policzki, po czym mówi:

– Jutro oglądam mieszkanie w Hammersmith. Dwie sypialnie. Możemy zacząć opiekę naprzemienną.

David popatrzył na nią sceptycznie.

– Jak zamierzasz opłacić czynsz?

– Pracuję, odkładam pieniądze.

– No dobrze, zobaczymy. Ale poważnie, nie wydaje mi się, żeby Phin był u ciebie bezpieczny. Jesteś dla niego zbyt pobłażliwa.

– Nie jestem pobłażliwa, David. Tak wygląda miłość. Mógłbyś spróbować czasami.

Sally została jeszcze kilka godzin. Atmosfera w domu była toksyczna. Birdie nie wychodziła z pokoju, ale słyszałem, jak ostentacyjnie kaszle, wzdycha i chodzi w kółko. Kiedy Sally wreszcie sobie poszła, Birdie zeszła na dół i rzuciła się w ramiona Davida, szepcząc melodramatycznie:

– Wszystko w porządku, mój kochany?

– Nic mi nie jest – odparł David, kiwając stoicko głową.

A potem popatrzył zmrużonymi oczami na syna i wypowiedział słowa, które zasygnalizowały początek prawdziwego koszmaru.

– W tym domu nie będzie już tak jak wcześniej. Zapamiętajcie to sobie.

Pierwszą zmianą było zamykanie Phina w jego pokoju za każdym razem, gdy David i Birdie nie mogli go mieć na oku. Jakimś cudem dorośli zdołali przekonać nas, że to normalne, uzasadnione, a nawet korzystne. „To dla jego bezpieczeństwa” stało się nową mantrą.

Wolno mu było wychodzić tylko wtedy, gdy miał wziąć prysznic, pracować w ogrodzie, pomagać w kuchni, uczyć się gry na skrzypcach, jeść oraz ćwiczyć z Davidem.

Ponieważ i tak większość wolnego czasu spędzaliśmy w swoich pokojach, z początku nie wydawało nam się to takie złowieszcze, jak można by pomyśleć, czytając o tym. Jak teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że jako dzieci potrafiliśmy zaakceptować najdziwniejsze sytuacje. A jednak nie ma wątpliwości, że to był szokujący rozwój wydarzeń.

Pewnego dnia, krótko po tym, jak Phin wrócił z matką, siedziałem po turecku na łóżku i czytałem książkę, którą pożyczył mi kilka tygodni wcześniej. Aż podskoczyłem na jego widok, bo był już późny wieczór i założyłem, że jego drzwi zostały na noc zamknięte na klucz.

– Jak...? – zacząłem.

– Justin zaprowadził mnie na górę po obiedzie i przypadkiem zapomniał dobrze przekręcić klucz.

– Stary, dobry Justin. Co zrobisz? Chyba nie uciekniesz znowu?

– Nie, teraz już nie ma sensu. W przyszłym tygodniu matka ma się przeprowadzić i zamieszkać z nią. To wszystko się wreszcie

skończy.

Poczułem się, jakby zadał mi cios w gardło.

– Ale twój tata... pozwoli ci na to? – zapytałem łamiącym się głosem.

– Gównu mnie obchodzi, czy mi pozwoli, czy nie. W grudniu kończę szesnaście lat. Chcę mieszkać z matką. Nic nie może na to poradzić.

– A co z Clemency?

– Ona też ze mną pójdzie.

– Myślisz, że kiedy Clemency się wyprowadzi, twój tata i Birdie również?

Wybuchnął ostrym śmiechem.

– Nigdy w życiu. To już jego dom, zapuścił tu korzenie. Wszystko idzie po jego myśli.

Na chwilę zapadła między nami cisza, po czym Phin powiedział:

– Pamiętasz tamten wieczór? Kiedy poszliśmy na dach? I zarzuciliśmy kwas?

Pokiwałem zdecydowanie głową. Jak mógłbym zapomnieć?

– A wiesz, że jeszcze jeden został? Na górze?

– Jeden...?

– Kwadrat. Kwadrat kwasu. Gość z Kensington Market dał mi dwa. Zarzuciliśmy tylko jeden.

Przez chwilę miałem w głowie tę myśl.

– Chcesz powiedzieć, że...?

– Chyba. No wiesz, teoretycznie miałem być bezpiecznie zamknięty w pokoju. Dziewczyny śpią. Nikt teraz tu nie przyjdzie. Mógłbyś zejść na dół i powiedzieć dorosłym, że idziesz do łóżka, a potem przynieść tutaj szklankę wody. Ja poczekam.

Oczywiście zrobiłem dokładnie to, co powiedział.

Wzięliśmy koc i przebraliśmy się w piżamy. Ja pierwszy przeszedłem przez otwór w suficie, Phin podał mi wodę, a potem ruszył za mną. Był lipiec, ale powietrze było wilgotne i chłodne. Phin

znalazł foliową torebkę tam, gdzie ją zostawił w donicy. Właściwie to nie chciałem brać. Liczyłem na to, że w jakiś sposób kwadrat stracił swoją toksyczność w czasie tych kilku miesięcy, gdy leżał tutaj, wystawiony na działanie żywiołów. Liczyłem, że porwie go nagły podmuch wiatru. Albo że Phin odłoży go, mówiąc: „Nie potrzebujemy kwasu. Mamy siebie”.

Zmietliśmy suche liście z plastikowych leżaków i usiedliśmy obok siebie.

Phin wyłożył kwadrat na wnętrze dłoni.

Niebo było niesamowite. Królewski błękit, palony bursztyn, szminkowy róż. Odbijało się na powierzchni wody. W oddali mienił się Battersea Bridge.

Zauważyłem, że Phin też patrzy w niebo. Było jakoś inaczej niż w czasie naszej poprzedniej wizyty w tym miejscu. Phin wydawał się inny. Bardziej zadumany, mniej buntowniczy.

– Jak myślisz, kim będziesz w przyszłości? Gdy dorośniesz? – zapytał mnie.

– Będę robił coś związanego z komputerami. Albo filmami.

– A może jednym i drugim? – zasugerował.

– Może. Będę kręcił filmy z pomocą komputerów.

– Fajnie – skwitował.

– A ty?

– Chcę mieszkać w Afryce. Zostać przewodnikiem safari.

Roześmiałem się.

– Skąd ci się to wzięło?

– Wybraliśmy się na safari, gdy podróżowaliśmy. Miałem wtedy sześć lat. Zobaczyliśmy, jak hipopotamy uprawiają seks. To najbardziej wryło mi się w pamięć, ale pamiętam też właśnie przewodnika. Takiego naprawdę fajnego Anglika. Nazywał się Jason.

Zauważyłem, że przy ostatnim zdaniu w jego głosie zabrzmiała tęsknota. Przez nią poczułem się bliżej Phina w sposób, którego nie potrafiłem do końca pojąć.

– Pamiętam, jak powiedziałem rodzicom, że chciałbym się tym zajmować, gdy dorosnę. Ojciec stwierdził, że nigdy nie zdobędę fortuny, jeśli będę woził turystów w land roverze. Jakby nie liczyło się nic prócz pieniędzy... – Westchnął i spojrzał na swoją dłoń. – To jak, zaczynamy?

– Tylko troszkę. Naprawdę ociupinkę – odparłem.

Na kilka kolejnych godzin świat stał się sennym marzeniem. Patrzyliśmy w niebo tak długo, aż przestało się mienić kolorami. Gadaliśmy absolutne bzdury o sensie istnienia. Chichotaliśmy, aż dostaliśmy czkawki.

W pewnym momencie Phin powiedział:

– Jak już się przeprowadzimy do Hammersmith, musisz nas kiedyś odwiedzić. Zostać na jakiś czas.

– Tak, chętnie.

A potem nadeszła taka chwila, że ja zapytałem:

– Co byś zrobił, gdybym cię teraz pocałował?

A Phin śmiał się i śmiał, aż dostał napadu kaszlu. Zgiął się wpół, cały uchachany, a ja patrzyłem na niego ze ślepym uśmiechem, starając się pojąć sedno jego odpowiedzi.

– Nie, ale serio. Co byś zrobił? – powtórzyłem.

– Zepchnąłbym cię z tego dachu – odparł, wciąż uśmiechnięty, po czym rozłożył palce i rzucił: – Plask.

Zmusiłem się do śmiechu. Ha-ha. Jakie to zabawne.

– Dawaj, idziemy stąd – powiedział potem.

– Dokąd?

– Pokażę ci. Chodź za mną.

No to poszedłem. Takim byłem głupiutkim smarkaczem. Poszedłem za nim z powrotem na strych i przez okno, a później po murze w dół w jakimś przerażającym i niesamowitym, przyprawiającym o mdłości akcie szalonej brawury.

– Co ty wyprawiasz? – pytałem raz po raz, wpijając paznokcie w gołą cegłę, rozrywając sobie spodnie o ostre krawędzie. – Dokąd

idziemy?

– To moje sekretne przejście! – wypalił, patrząc na mnie dzikim wzrokiem. – Chodźmy nad rzekę! Nikt się nie dowie!

Kiedy wreszcie wylądowaliśmy na trawniku, krwawiłem z trzech różnych miejsc, ale nic mnie to nie obchodziło. Ruszyłem za Phinem, który przemknął przez cienie do furki na tyłach ogrodu, o której istnieniu nie miałem pojęcia. Nagle, niczym w *Opowieściach z Narnii*, znaleźliśmy się u sąsiadów, Phin chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą w magiczny półmrok Chelsea Embankment, przez ulicę i na brzeg rzeki. Tam puścił moją dłoń. Przez chwilę staliśmy w milczeniu obok siebie i patrzyliśmy na złote i srebrne robaki wijące się po powierzchni wody. Wciąż zerkałem na Phina, który w tym słabym, migotliwym świetle wyglądał piękniej niż kiedykolwiek.

– Przestań się na mnie gapić – powiedział.

Gapilem się jeszcze mocniej.

– Mówię serio. Przestań.

Mimo to nie odrywałem od niego oczu.

A potem popchnął mnie obiema rękami, popchnął mocno w czarną wodę i nagle znalazłem się pod jej powierzchnią, w uszach miałem szum bąbelków, ubrania nasiąkły wodą i oblepiły mnie swoim ciężarem, i próbowałem krzyczeć, lecz zamiast tego łyknąłem wody, a szukając oparcia dla nóg i rąk, wciąż trafiałem na gęste nic. Później moje oczy otworzyły się i zobaczyłem twarze: otoczyła mnie konstelacja poczerniałych twarzy. Próbowałem się do nich odezwać, poprosić o pomoc, lecz wszystkie odwróciły się i w tej samej chwili zacząłem wypływać, czując bolesny ucisk na nadgarstku – to Phin ciągnął mnie po kamiennych schodach na brzeg.

– Ty pieprzony wariacie – rzucił i zaśmiał się, jakbym to ja postanowił, że wpadnę do Tamizy, jakby to wszystko było tylko zwidem na haju.

– Ty sukinsynie! – Pchnąłem go, wrzeszcząc głosem chłopca przed mutacją, piskliwym i nieznośnym. – Ty skończony sukinsynie!

Wyminąłem go, przemaszerowałem przez szeroką ulicę, ktoś na mnie zatrąbił, a potem stanąłem przed drzwiami frontowymi naszego domu.

Phin gonił mnie i zdyszany zbliżył się do mnie przed wejściem.

– Co ty wyrabiasz, do kurwy nędzy?

Powinienem był się wtedy opanować, naprawdę powinienem. Trzeba było wziąć głęboki wdech, ponownie ocenić sytuację i podjąć inną decyzję. Ale byłem przepelniony tak przemożnym gniewem, nie tylko dlatego, że zostałem pchnięty w zimną, brudną Tamizę, ale też dlatego, że przez lata Phin raz mnie przyciągał do siebie, raz odpychał, poświęcał mi strzępki uwagi, kiedy leżało to w jego interesie, a totalnie ignorował mnie, gdy nie byłem mu do niczego potrzebny. I popatrzyłem wtedy na niego – był suchy i piękny, a ja mokry i brzydki – po czym odwróciłem się i z przekonaniem nacisnąłem guzik dzwonka.

Gapił się na mnie. Widziałem, że zastanawia się, czy zostać, czy uciec. Jednak sekundę później drzwi się otworzyły i stanął w nich David, popatrzył na mnie, na Phina, znowu na mnie, jego ramiona uniosły się, usta zacisnęły i wyglądał jak zwierzę w klatce szykujące się do skoku. Bardzo powoli, z ledwie hamowaną wściekłością rzucił:

– Do środka, już.

Phin odwrócił się i zaczął biec, ale jego ojciec był wyższy i sprawniejszy; dogonił go, zanim Phin zdążył dotrzeć do rogu ulicy, i powalił na ziemię. Patrzyłem na to w defensywnej pozycji, z uniesioną brodą i ciasno oplatając się rękami.

W drzwiach pojawiła się moja matka.

– Co tu się dzieje, do diabła? – zapytała, wyglądając na zewnątrz. – Co wyście robili?

– Phin wepchnął mnie do rzeki – powiedziałem, szczękając zębami.

– Chryste – rzuciła, wciągając mnie do środka. – Włóż, na Boga. Zdejmuj te mokre ubrania. Co, do diabła...

Nie poszedłem i nie rozebrałem się. Stałem i patrzyłem, jak David ciągnie swojego prawie dorosłego syna po chodniku niczym świeżo upolowaną zwierzynę.

To koniec, pomyślałem. To naprawdę koniec.

W środę rano, po dwóch dniach spędzonych w zwyczajnym B&B i po przepłynięciu nieco wzburzonych wód kanału La Manche, Lucy wynajmuje auto w Portsmouth i ruszają w drogę do Londynu.

Uciekała stąd zimą i w jej wyobrażeniu Anglia już zawsze pozostała zimna, drzewa zawsze bezlistne, a ludzie opatuleni kilkoma warstwami ubrań. Jednak teraz w Wielkiej Brytanii panuje długie, gorące lato, a po ulicach chodzą opaleni, szczęśliwi ludzie w krótkich spodenkach i okularach przeciwsłonecznych, na chodnikach stoją stoliki, w fontannach chlupią się dzieci, a przed sklepami wystawiono leżaki.

Stella wygląda przez tylne okno, z Fitzem na kolanach. Nigdy wcześniej nie opuszczała Francji. Właściwie nigdy nie wyjechała poza Côte d'Azur. Swoje krótkie życie spędziła w całości na ulicach Nicei, w Blue House, mieszkaniu babci i w przedszkolu.

– I co myślisz o Anglii? – pyta Lucy, patrząc na córkę w lusterku wstecznym.

– Podoba mi się. Ma ładne kolory – oznajmia Stella.

– Ładne kolory, co?

– Tak, drzewa są wyjątkowo zielone.

Lucy uśmiecha się, a Marco wskazuje jej drogę, korzystając z aplikacji Google Maps.

Trzy godziny później za oknami auta zaczyna pojawiać się Londyn w postaci przebłysków nędznej drogi dojazdowej do centrum.

Kątem oka widzi, jak jej syn odwraca się do okna, spodziewając się widoku na Big Bena i pałac Buckingham, a zamiast tego widzi Dixie Fried Chicken i sklepy z używanymi rzeczami.

Wreszcie pokonują rzekę, której woda migocze w blasku słonecznego dnia, jakby ktoś rozsypał na jej powierzchni diamenty. Domy przy Cheyne Walk błyszczą jasno.

– No i dotarliśmy – mówi do Marca. – To ten dom.

– Który? – pyta, wyraźnie przejęty.

– O, tamten – odpowiada Lucy, wskazując numer szesnaście. Mówi lekkim tonem, lecz na widok domu serce bije jej boleśnie szybko.

– Ten zabity deskami? To ten?

– Tak – potwierdza, jednocześnie spoglądając na dom i szukając miejsca parkingowego.

– Wielki – stwierdza chłopiec.

– Owszem, wielki.

A jednak wydaje jej się dziwnie mniejszy, gdy patrzy na niego oczami dorosłej kobiety. Jako dziecko widziała w tym domu prawdziwą willę. Teraz rozumie, że to tylko dom. Piękny, ale tylko dom.

Staje się jasne, że nigdzie w pobliżu nie znajdzie wolnego miejsca, w końcu zatrzymują się na drugim końcu King's Road, w strefie należącej do World's End, gdzie trzeba ściągnąć specjalną aplikację do opłacenia parkowania.

Jest trzydzieści stopni, równie gorąco jak na południu Francji.

Kiedy docierają do domu, są już cali mokrzy od potu, a pies dyszy głośno.

Drewniana osłona jest zabezpieczona kłódką. Stają we trójkę przed wejściem.

– Jesteś pewna, że to właściwy dom? – dopytuje Marco. – Jak ktoś może tu mieszkać?

– W tej chwili nikt tutaj nie mieszka, ale wejdziemy do środka i poczekamy, aż pojawią się pozostali.

– Tylko jak się tam dostaniemy?

Lucy wciąga głęboko powietrze i mówi:

– Chodźcie za mną.

Libby budzi się następnego ranka w snopie jasnego światła. Przeciąga dłońmi po podłodze pod łóżkiem, a potem po szafce nocnej, próbując zlokalizować telefon. Nie ma go. Wspomnienia zeszłej nocy są niewyraźne, bezkształtne. Szybko wstaje i się rozgląda. Leży na bardzo niskim drewnianym łóżku z ogromnym materacem, który znajduje się w małym białym pokoju. Jest tu też Miller.

Instynktownie przyciska kołdrę do piersi, po czym zdaje sobie sprawę, że jest ubrana; ma na sobie tę samą bluzkę co wieczorem, a do tego bieliznę. Jak przez mgłę pamięta, że ściągnęła szorty, gdy Miller był w łazience, po czym schowała się pod pościelą. Czuje też resztki pasty do zębów, którą wypłukała sobie usta. Właściwie w głowie mającą jej różne mgliste wspomnienia.

Jest w mieszkaniu Phina.

Jest w łóżku z Millerem.

Oboje są ubrani i tam, gdzie ona ma głowę, on ma nogi i na odwrót.

Zeszłego wieczoru Phin co chwilę dolewał im wina. I upierał się, żeby zostali na noc – do tego stopnia, że zrobiło się dziwnie.

– Nie idźcie – mówił. – Proszę. Dopiero co cię znalazłem, nie chcę cię znowu stracić.

– Nie stracisz mnie – odpowiedziała. – Jesteśmy teraz praktycznie sąsiadami, popatrz! – Z tymi słowami wskazała na drugi brzeg rzeki, gdzie stał szereg nobliwych domów, a pośród nich ten z numerem szesnaście.

– Proszę – jęczał, jego długie rzęsy niemal dotykały idealnie ułożonych brwi. – Tutaj na pewno będzie wam lepiej niż na tamtych starych, wstrętnych materacach. Rano zrobię wam pyszne śniadanie! Mam awokado. To chyba ulubiony przysmak milenialsów, prawda?

– Ja wolę jajka – odparł Miller.

– A ty właściwie jesteś milenialsem? – zapytał go Phin, trochę wrednie mrużąc oczy.

– Ledwo, ale się łapię. Tylko ta moda na awokado jakoś mnie ominęła.

Libby spogląda na wyświetlacz zegarka stojącego na szafce nocnej i szybko przelicza, że jeśli wyjdzie w ciągu ośmiu minut, powinna zdążyć na dziewiątą do pracy. Jak na nią to i tak późno, ale wcześniej niż o dziewiątej nikt nie będzie dzwonił ani nie przyjdzie żaden klient.

Zakłada z powrotem szorty i dźwiga się z niskiego łóżka.

Miller porusza się.

Spogląda na niego.

Widzi fragment tatuażu w miejscu, gdzie podwinęła mu się koszulka na rękę. Libby nie cierpi tatuaży. W dzisiejszych czasach bardzo to utrudnia randkowanie. A jednak mimowolnie zauważa, że Miller wygląda uroczo. Jest taki miękki i przyjemny.

Odwraca od niego wzrok i na paluszkach rusza do łazienki, z której chyba korzystała już zeszłego wieczoru. W lustrze wygląda całkiem przyzwoicie. Zeszłego ranka wysuszyła włosy na szczotce i jakoś przetrwały późniejsze przygody. Znowu odświeża sobie usta pastą do zębów i przepłukuje gardło wodą z kranu. Zbiera włosy w kucyk i zagląda do szafki, gdzie znajduje dezodorant.

Gdy wraca do pokoju, Miller już nie śpi. Uśmiecha się do niej.

– Dzień dobry – mówi. Wyciąga ręce nad głowę i wtedy Libby widzi cały jego tatuaż. To jakiś celtycki wzór. Mogło być gorzej.

– Wychodzę – rzuca, sięgając po torebkę.

– Dokąd?

– Do pracy.

– Boże, naprawdę? Szefowa nie da ci wolnego?

Libby zatrzymuje się. Oczywiście, że da jej wolne. Tylko że to nie w stylu Libby. Już na samą myśl robi się poirytowana.

– Nie, chcę iść do pracy. Mam dzisiaj ważny dzień. Klientów poumawianych.

– Nie chcesz nikogo zawieść?

– Nie chcę nikogo zawieść.

– Cóż – mówi Miller i ściąga pościel, tym samym pokazując swoje czerwono-niebieskie dżersejowe bokserki i umięśnione nogi rugbysty. – Daj mi trzydzieści sekund, a wyjdę z tobą.

– A wiesz może, gdzie jest mój telefon? – pyta Libby.

– Nie mam pojęcia – przyznaje Miller, wstając z łóżka i wkładając spodnie.

Jego włosy to jakieś szaleństwo. Broda też. Libby powstrzymuje się od śmiechu.

– A zamierzasz, no wiesz, spojrzeć w lustro?

– Powinienem? – Wydaje się zbity z tropu.

Libby myśli o tym, która jest godzina, i rzuca:

– Nie, nie musisz. Chodźmy poszukać telefonów i wynośmy się stąd.

Kładzie rękę na klamce i naciska. Drzwi nie chcą się otworzyć. Naciska jeszcze raz. Znowu nic z tego. Próbuje jeszcze cztery razy, po czym odwraca się do Millera i mówi:

– Zamknięte na klucz.

CHELSEA, 1991

Po tamtej nocy, gdy zostałem wepchnięty do rzeki, David przez tydzień trzymał Phina zamkniętego w pokoju. Cały tydzień. Pod pewnymi względami cieszyłem się z tego, bo nie mogłbym mu spojrzeć w oczy. Co prawda wepchnął mnie do rzeki, ale ja zrobiłem coś znacznie, znacznie gorszego.

Przede wszystkim jednak po prostu cierpiałem. Cierpiałem przez wyrzuty sumienia, żal, wściekłość, bezradność i tęsknotę. Wszystkie posiłki zanoszono mu do pokoju, mógł dwa razy dziennie skorzystać z toalety, a wtedy jego ojciec czaił się przy drzwiach z rękami skrzyżowanymi na piersi niczym złowrogi wykidajło.

Atmosfera panująca w domu w tamtych dniach była ciężka i niemożliwa do odczytania. Jej źródłem był David. Emanowała z niego okropna ponura energia i nikt nie chciał mu się narazić, ja również.

Pewnego popołudnia w tym okresie usiadłem z Justinem w ogrodzie, by razem z nim posortować zioła. Podniosłem wzrok na okno Phina.

– Nie uważasz, że David przesadził z ukaraniem Phina? – zapytałem.

Justin wzruszył ramionami.

– Mógł cię zabić, kolego. Mogłeś zginąć.

– No wiem. Ale nie zabił mnie. Nie zginąłem. To po prostu... złe.

– W sumie sam bym tak pewnie nie zrobił, ale ja nie jestem ojcem, nie wiem, jak to jest mieć dzieci. David chyba po prostu „wykonuje swoje zadanie”. – Przy ostatnich słowach narysował w powietrzu cudzysłów.

– Swoje zadanie? Co masz na myśli?

– No wiesz, jego zadaniem jest posiadanie absolutnej kontroli nad absolutnie wszystkim.

– Nienawidzę go – powiedziałem i głos mi się niespodziewanie załamał.

– No to jest nas dwóch.

– Dlaczego nie odejdziesz?

Spojrzał najpierw na mnie, a potem na drzwi do ogrodu.

– Zamierzam – wyszeptał. – Tylko nikomu nie mów, dobra?

Pokiwałem głową.

– Pewna kobieta na targu powiedziała mi o takim małym gospodarstwie w Walii. Szukają kogoś, kto by im założył ogród z ziołami. Byłoby jak tutaj, praca za darmowy nocleg, wyżywienie i tak dalej. Tylko bez nadzoru kutasiarza z manią wielkości. – Przewrócił oczami.

Uśmiechnąłem się. „Kutasiarz z manią wielkości”. Podobało mi się to określenie.

– Kiedy odchodzisz?

– Niedługo. Naprawdę niedługo. – Szybko podniósł na mnie wzrok. – Chcesz wyjechać razem ze mną?

Zamrugąłem.

– Do Walii?

– No. Do Walii. Możesz w dalszym ciągu być moim uczniem i pomagierem.

– Ale mam dopiero czternaście lat.

Nic już nie mówił, tylko kiwnął głową i wrócił do wiązania ziół.

Dopiero później w pełni zrozumiałem, co do mnie wtedy powiedział. Nie zapraszał mnie do Walii, żebym mógł nadal się od niego uczyć; nie zapraszał mnie, bo byłem mu potrzebny. Chciał, żebym wyjechał razem z nim, bo uważał, że z nim będę bezpieczniejszy niż w moim własnym domu.

Justin zniknął dwa dni później. Nikomu nic nie powiedział i wyszedł z domu tak wcześnie, że nawet David nie był jeszcze na nogach. Dostałem już nauczki po tym, co się wydarzyło z Phinem, i nie powiedziałem nikomu o małym gospodarstwie w Walii. Wydawało mi się, że Justin nie chciał, by ktokolwiek się o tym dowiedział. Później tego samego dnia poszedłem do jego pokoju. Pojawił się w naszym domu z niewielkim dobytkiem, opuścił go z jeszcze mniejszym. Zbliżyłem się do okna, gdzie na parapecie stały w rzędzie wszystkie jego książki.

Nowoczesna księga czarów.

Wicca dla początkujących.

Wiccańska księga magii ziół.

Czułem, że nie bez powodu je zostawił.

Rozejrzałem się po korytarzu i gdy miałem już pewność, że nikt się nie nawinie, schowałem książki pod sweter.

Już miałem pobiec z powrotem do swojego pokoju, kiedy kątem oka zobaczyłem coś jeszcze na szafce nocnej. Coś małego i futrzanego. Z początku pomyślałem, że to martwa mysz, ale gdy się temu bliżej przyjrzałem, okazało się, że to królicza łapka na krótkim łańcuszku. Gdzieś majaczyła mi myśl, że taka królicza łapka ma przynosić szczęście, trochę jak czterolistna koniczyna. Szybko wcisnąłem ją do kieszeni i popędziłem do pokoju, gdzie schowałem wszystko pod materacem.

Zawsze oczekiwałem, że Justin jeszcze się odezwie.

Gdy policja już odkryła ciała i rozpoczęło się śledztwo oraz poszukiwania „zaginionych w tragicznych okolicznościach” dzieci Lambów, czekałem bez końca, aż Justin nagle pojawi się w wiadomościach i opowie o swoim pobycie w naszym domu, o tym, jak David Thomsen zamykał swojego nastoletniego syna w pokoju i mówił wszystkim, co mają jeść, w co się ubierać i gdzie chodzić albo nie.

Od tamtego czasu wielokrotnie próbowałem wyszukać Justina w internecie, ale nie przynosiło to żadnych efektów. Można założyć, że zginął lub wyemigrował w jakieś odległe miejsce; albo wiedział, co się z nami wszystkimi stało, ale wolał zachować milczenie i nie mieszać się do tej sprawy. Bez względu na to, jaka była prawda, zawsze w głębi ducha czułem ulgę. Lecz krótko po jego odejściu bardzo mi go brakowało. Z początku go nie lubiłem, jednak okazało się, że Justin to najmniejszy z moich pieprzonych problemów.

Mijały miesiące. Lato zmieniło się w zimę. Przejąłem pieczę nad ogródkiem Justina. David aktywnie zachęcał mnie do tego, bo pasowało do jego ideologii: dzieci powinny ciężko pracować, robiąc pożyteczne rzeczy. Nie powinny uczyć się tego, przez co mogłyby trafić w szpony złego kapitalizmu. Nie miał pojęcia o książkach pod moim materacem ani o tym, jakich szczególnych umiejętności nabywałem. Każdego wieczoru przynosiłem osobie, która akurat gotowała, garście świeżej bazylii i mięty, za co dostawałem pochwały. Birdie nawet raz zrobiła mi gorącą kąpiel, bo zobaczyła mnie w ogrodzie na deszczu, jak przykrywałem delikatne sadzonki.

– Doskonała robota – powiedziała, podając mi ręcznik, gdy szedłem na górę. – David jest z ciebie bardzo zadowolony.

David jest z ciebie bardzo zadowolony.

Miałem ochotę ją ugryźć, jak pies.

Jak można się było spodziewać, Sally nie dostała mieszkania w Hammersmith i wciąż spała na kanapie w Brixton, a teraz wspominała coś o przeprowadzce do Kornwalii.

Pewnego wieczoru pojawiła się w towarzystwie Phina i Clemency, trzy godziny spóźniona po tym, jak zabrała ich na jakieś przyjęcie u znajomej. Było jasne, że dużo wypita. Wiele razy widziałem już pijanych dorosłych, gdy moi rodzice jeszcze prowadzili bujne życie towarzyskie i w każdy weekend zapraszali gości. Mimo to chyba nigdy wcześniej nie widziałem nikogo tak pijanego jak Sally tamtego popołudnia.

– Nie mogę w to uwierzyć – usłyszałem pełen napięcia i gniewu głos Davida – że w twojej głowie narodził się choć cień nadziei, że ktokolwiek pozwoli tym dzieciom z tobą mieszkać. Popatrz tylko na siebie.

– I kto! Kto to mówi! – wypaliła Sally. – Ty spójrz na siebie! Za kogo ty się masz? Jesteś żaloszny. Żaloszny. Ty i ta twoja brzydula. I Bóg jeden wie, kogo jeszcze pieprzysz. Bóg wie.

Patrzyłem, jak David próbuje siłą zaprowadzić Sally do wyjścia. Widziałem, że ma ochotę ją uderzyć i bardzo się stara tego nie zrobić.

Wtedy pojawiła się moja matka.

– Zaparzę ci kawy – powiedziała, łapiąc Sally delikatnie za łokieć i rzucając Davidowi groźne spojrzenie. – Chodź. Zaraz ci się zrobi lepiej.

Udałem, że nie wiem, co się dzieje, i chwilę później pojawiłem się w kuchni.

– Chciałem nalać sobie wody – wyjaśniłem, chociaż nikogo to właściwie nie obchodziło. Zamarkowałem, że wychodzę, ale ukryłem się po cichu tuż za drzwiami do spiżarni.

Sally płakała, przyciskając do twarzy chusteczkę.

– Proszę, zaopiekuj się nimi. Proszę, zaopiekuj się nimi dla mnie. Naprawdę nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła... – Resztę jej słów zagłuszyło trąbienie łodzi na rzece. – Tak strasznie się martwię. Phin powiedział, że został zamknięty na klucz w pokoju, a ja wiem, że zrobił coś złego. No wiesz, naprawdę rozumiem, że Henry mógł się utopić. Ale to takie... okrutne? Prawda? Jak można tak po prostu zamknąć dziecko na klucz? David to taki okrutny człowiek...

– Wiesz, jaki on jest – odparła matka. – On o nas dba w ten sposób. On nas uratował, Sally. Naprawdę. Zanim się pojawił, moje życie nie miało sensu. Ale teraz budzę się każdego ranka z myślą, jak cudownie jest żyć. Jak cudownie jest być mną. Nie odbieram niczego planecie. Nie niszczę świata. Nie dokładam swojej cegiełki do globalnego ocieplenia. Moje dzieci nie skończą za biurkami z blatem ze szkła, odbierając pieniądze biednym. Żałuję tylko tego, że David nie pojawił się w naszym życiu wcześniej.

Libby wali pięściami w drzwi. Miller też. Drzwi są solidne, przeciwpożarowe. Dziennikarz podchodzi do okna, żeby sprawdzić, czy da się tamtędy uciec, ale jest zablokowane, a mieszkanie znajduje się na dziesiątym piętrze.

Jeszcze raz przeszukują cały pokój, jednak po komórkach nadal ani śladu.

Po trzydziestu minutach przestają walić w drzwi i siadają pokonani na podłogę, opierając się plecami o łóżko.

– I co teraz? – pyta Libby.

– Poczekajmy jeszcze pół godziny, a potem spróbuję je wyważyć kopniakiem.

– Dlaczego nie spróbujesz teraz?

– Nie jestem tak silny, na jakiego wyglądam. Rozwaliłem sobie kiedyś plecy i muszę uważać.

– W takim razie poczekajmy dziesięć minut.

– Dobra, dziesięć minut.

– Co on, twoim zdaniem, kombinuje? – pyta Libby.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Myślisz, że nas zabije?

– Och, wątpię.

– No to dlaczego nas tutaj zamknął?

– Może przypadkiem?

Libby patrzy na niego z niedowierzaniem.

– Żartujesz, prawda?

Zegar pokazuje siódmą trzydzieści siedem i Libby próbuje jeszcze raz policzyć, czy zdoła dojechać do pracy na czas, kiedy nagle oboje się prostują, słysząc trzask zamykanych drzwi. Potem rozlega się głos. To Phin zwraca się do któregoś z kotów. Słychać cmokanie. Skaczą na równe nogi i zaczynają znowu walić pięściami w drzwi.

Chwilę później te otwierają się i do środka zagląda Phin.

– O Boże – mówi, zakrywając usta dłonią. – O Boże. Strasznie was przepraszam. Niestety jestem lunatykiem. Zdarzało mi się już wchodzić do pokoju gości, raz nawet próbowałem położyć się do ich łóżka. Dlatego zamknąłem was przed pójściem spać. A potem obudziłem się strasznie wcześnie i postanowiłem, że wyjdę się przebiec. Zupełnie o was zapomniałem. Jest mi niezmiernie przykro. Chodźcie, zrobię wam śniadanie.

– Nie mam czasu na śniadanie. Muszę jechać do pracy.

– Oj, zadzwoń i powiedz, co się stało. Na pewno zrozumieją. Daj spokój. Mam świeżo wyciskany sok pomarańczowy i w ogóle. Znowu jest piękna pogoda, moglibyśmy posiedzieć na tarasie. Proszę.

Znowu to robi, znowu nie przyjmuje odmowy, tak samo jak poprzedniego dnia. Libby czuje się osaczona.

– Dlaczego nas nie uprzedziłeś? Dlaczego nie powiedziałeś wczoraj, że zamkniesz drzwi na klucz? Albo nie kazałeś nam zamknąć się od środka?

– Było już bardzo późno, a ja byłem bardzo pijany i bardzo głupi.

– Naprawdę nas nastraszyłeś, wiesz? Byłam przerażona. – Libby czuje, że głos jej się łamie przy tych słowach, opuszcza ją napięcie sprzed chwili.

– Proszę, wybacz mi. Jestem durniem. Nie pomyślałem. Spaliście już i nie chciałem was budzić. Po prostu przekręciłem klucz. Bezmyślnie. No, już. Chodźcie i zjedzcie coś.

Wymieniają z Millerem porozumiewawcze spojrzenia. Widzi, że dziennikarz chce zostać, więc kiwa głową.

– Dobra, ale pośpieszmy się. I jeszcze jedno. Phin?

Patrzy na nią z przymilnym uśmiechem.

– Gdzie są nasze telefony?

– A nie ma ich w pokoju? – dziwi się Phin.

– Nie. Ani jednego, ani drugiego.

– W takim razie musieliście je wczoraj zostawić gdzieś tutaj. Poszukajmy ich.

Idą za nim korytarzem i wychodzą z powrotem na otwarty salon.

– O, tutaj są – rzuca lekko. – Podpięliście je do ładowarki w kuchni. Chyba wszyscy wypiliśmy o wiele za dużo. Idźcie na taras, a ja przyniosę śniadanie.

Siadają z Millerem na kanapie. Słońce świeci teraz po drugiej stronie brzegu rzeki, odbijając swoje promienie w oknach domów przy Cheyne Walk.

Libby czuje, jak Miller przysuwa się bliżej.

– To się nie klei – syczy jej do ucha. – Nie kupuję tego całego „byłem tak pijany, że zamknąłem was w pokoju, o niczym nie mówiąc”. Tego z komórkami też nie. Może i sobie wczoraj popiłem, ale dobrze pamiętam, że miałem telefon w ręce, gdy kładłem się do łóżka. Wyczuwam ściemę.

Libby kiwa głową ze zrozumieniem.

– Wiem. Też coś mi tu nie gra.

Włącza swoją komórkę i dzwoni do Dido. Odzywa się poczta głosowa.

– To długa historia, ale ciągle jestem w Chelsea. Mogłabyś poprosić Claire, by porozmawiała z Morganami, gdy przyjdą o dziesiątej? Ma wszystkie szczegóły. A najnowsze cenniki są w systemie. Trzeba je tylko wydrukować. Na kolejne swoje spotkanie zdążę. Obiecuję. Strasznie przepraszam, wyjaśnię wszystko, jak już się zobaczymy. A jeśli nie dojadę do dziewiątej trzydzieści, zadzwoń

do mnie. Gdybym nie odbierała – zerka szybko za siebie i widzi Phina w kuchni, jak kroi chleb – to wiedz, że jestem w Battersea w bloku bezpośrednio naprzeciwko tamtego domu. Okej? Nie wiem, jaki to numer. Ale mieszkanie znajduje się chyba na dziesiątym piętrze. Do zobaczenia niedługo. Jeszcze raz przepraszam. Pa.

Rozłącza się i spogląda na Millera, który przygląda jej się kątem oka i uśmiecha się łagodnie.

– Nie pozwolę, żeby przytrafiło ci się coś złego – mówi. – Już ja zadbam, żebyś dotarła na to spotkanie o dziesiątej. Cała i zdrowa. Okej?

Obmywa ją fala czułości. Libby uśmiecha się i kiwa głową.

Pojawia się Phin z tacą i stawia ją przed nimi na stole. Jajecznicą, pogniecione awokado posypane sezamem, sterta tostów z ciemnego żytniego chleba, odrobina śmietankowego masła i dzbanek soku pomarańczowego z lodem.

– Czyż nie wygląda pięknie? – pyta, podając im talerze.

– Wygląda niesamowicie – stwierdza Miller, pocierając dłonie, po czym zaczyna nakładać sobie tosty.

– Kawy? Herbaty? – proponuje Phin.

Libby prosi o kawę i dolewa do filiżanki mleka z dzbanuszką. Sięga po kromkę chleba, ale dociera do niej, że nie ma ochoty na jedzenie.

Spogląda na Phina. Chciałaby zapytać go o coś w związku z historią, którą opowiedział im zeszłego wieczoru, jednak nie potrafi sobie jej przypomnieć; ciągle jej umyka. To coś związanego z kobietą o imieniu Birdie, która grała na skrzypcach. Coś związanego z kotem. Coś o liście zasad, pogańskiej ofierze i jakiejś bardzo, bardzo złej rzeczy dotyczącej Henry'ego. Tylko że to wszystko jest tak mgliste. Libby zastanawia się, czy Phin w ogóle im cokolwiek powiedział. W końcu pyta:

– Masz jakieś zdjęcia z dzieciństwa?

– Nie – odpowiada przepaszającym tonem. – Ani jednego. Pamiętaj, że kiedy opuszczaliśmy dom, nic w nim nie było. Ojciec sprzedał absolutnie wszystko. A jeśli czegoś nie zdołał sprzedać, oddał to na cele charytatywne. Ale... – Waha się. – Pamiętasz może piosenkę? Taką z lat osiemdziesiątych o tytule... Nie, oczywiście, że nie pamiętasz. W każdym razie istniał taki zespół o nazwie Original Version i tamtego lata przed naszym wprowadzeniem się do domu przez całe tygodnie ich piosenka utrzymywała się na szczycie list przebojów. Birdie, o której wam wczoraj opowiadałem, była przez jakiś czas w tym zespole. Birdie i Justin, oboje. Nagrali w domu teledysk. Chcesz go zobaczyć?

Libby wciąga gwałtownie powietrze. Nie licząc zdjęcia rodziców w wieczorowych strojach z artykułu Millera, to będzie najlepsza okazja do przekonania się, jak wyglądało miejsce, w którym się urodziła.

Przenoszą się do salonu i Phin podłącza telefon do wielkiego telewizora. Wpisuje coś w wyszukiwarkę na YouTube i uruchamia filmik.

Libby od razu rozpoznaje piosenkę. Nie znała wcześniej ani tytułu, ani wykonawcy, ale sam utwór kojarzy bardzo dobrze.

Teledysk zaczyna się widokiem na zespół grający na brzegu rzeki. Wszyscy są ubrani w podobny sposób: tweed, szelki, czapki, martensy. Jest ich bardzo dużo, grupa liczy około dziesięciu członków, w tym dwie kobiety – jedna gra na skrzypcach, druga na jakiegoś rodzaju skórzanym bębnie.

– Tutaj – mówi Phin, pauzując wideo i wskazując na ekran. – To jest Birdie. Ta z długimi włosami.

Libby przygląda się kobiecie z teledysku. Jest chuda, ze słabo uwydatnionym podbródkiem i poważną miną. Przyciska mocno skrzypce i patrzy władczo w obiektyw kamery.

– To Birdie? – pyta Libby. Nie potrafi za bardzo pogodzić widoku tej kruchej, nijakiej postaci z osobą opisaną im wczoraj przez Phina:

sadystką zdolną do okrucieństwa i znęcania się nad innymi.

– Tak, wredna suka – potwierdza Phin.

Wznawia odtwarzanie teledysku i teraz zespół widać we wnętrzu domu – wspaniałego, wystawnego domu, pełnego obrazów olejnych i krzykliwych mebli, tronów z tapicerką z czerwonego aksamitu, błyszczących mieczy i paneli na ścianach, ciężkich zasłon, głów łosi, wypchanych lisów i kryształowych żyrandoli. Kamera podąża za członkami zespołu, którzy biegają po domu z instrumentami, pozują na misternie zdobionych schodach, gonią po korytarzach, walczą dla zabawy na miecze, przymierzają hełm rycerza, siadają okrakiem na dziale w ogrodzie oraz przed ogromnym kominkiem z płonącymi polanami.

– O mój Boże, był przepiękny – stwierdza Libby.

– Owszem – odpowiada sucho Phin. – A ta suka i mój ojciec doprowadzili go do ruiny.

Libby wraca do obrazu na telewizorze. Dziesięcioro młodych ludzi, dom pełen życia, pieniędzy, energii i ciepła.

– Nie rozumiem, jak to się mogło tak skończyć – mówi cicho.

Wczesnopopołudniowe słońce wciąż grzeje im skórę, gdy Lucy, dzieci i pies wychodzą za róg, by dotrzeć do bloku znajdującego się za numerem szesnaście przy Cheyne Walk. Na paluszkach przechodzą przez wspólny ogród do rachitycznych drzwi na tyłach, gdzie Lucy daje znak dzieciom, żeby były cicho, i mijają zadrzewioną przestrzeń aż do trawnika oznaczonego brązowymi plamami wypalonymi przez słońce.

Z zaskoczeniem przekonuje się, że tylne drzwi do domu nie są zamknięte na klucz. Ktoś wybił jedną z szybek. Wygląda na to, że całkiem niedawno. Zimny dreszcz przebiega jej po plecach.

Wkłada rękę przez dziurę i naciska klamkę od środka. Drzwi otwierają się, a ona wypuszcza z ulgą powietrze z płuc na myśl, że nie będzie musiała wspinać się na dach.

– Strasznie tu – odzywa się Stella, wchodząc za Lucy.

– Tak, trochę strasznie.

– A moim zdaniem jest super – stwierdza Marco, przeciągając ręką po wielkim grzejniku żeberkowym i rozglądając się po pokoju.

Lucy oprowadza dzieci po domu i ma wrażenie, jakby od czasu jej odejścia nie poruszył się żaden kłębek kurzu ani nitka pajęczyny. Zupełnie jakby dom zamarł w oczekiwaniu na jej powrót. Zapach, chociaż zatechły, wydaje się ponuro znajomy. Rozpoznaje światło wpadające do ciemnych pokojów, dudnienie kroków na parkiecie,

cienie na ścianach. Wszystko jest dokładnie takie samo. Wchodzą głębiej, a ona przeciąga palcami po różnych powierzchniach. W ciągu tygodnia wróciła do dwóch najważniejszych domów swojego życia, w Antibes i Chelsea; w obu została skrzywdzona, w obu cierpiała, z obu musiała uciekać. Ciężar tego wszystkiego leży jej wciąż na sercu.

Po obejrzeniu całego domu idą usiąść w ogrodzie. Przerośnięte zarośla rzucają długie i chłodne cienie.

Lucy patrzy, jak Marco bada ogród z patykiem w ręku. Ma na sobie czarny podkoszulek i przez ulotną chwilę wydaje jej się, że to Henry opiekujący się swoimi ziołami. Omal nie skacze na równe nogi, żeby spojrzeć na jego twarz. Potem jednak przypomina sobie, że Henry już nie jest chłopcem. Dorósł.

Próbuje go sobie wyobrazić, lecz nie potrafi. Widzi go jedynie tak, jak widziała go tamtej ostatniej nocy, gdy byli jeszcze wszyscy razem – zaciskał zęby pod wpływem szokującego obrotu spraw, świece rzucały swój migotliwy blask na jego policzki, milczał ponuro.

– Co to jest? – woła do niej Marco.

Lucy osłania oczy przed słońcem i patrzy na drugi kraniec ogródka.

– Tutaj kiedyś rosły zioła – tłumaczy, wstając i ruszając w stronę syna. – Jeden z mieszkańców tego domu hodował rośliny lecznicze.

Marco zatrzymuje się i trzyma patyk między nogami jak laskę. Podnosi wzrok na dom.

– Co tam się stało? – pyta.

– Co masz na myśli?

– No przecież widzę, jak się zachowujesz, odkąd tu przyjechaliśmy. Ręce ci się trzęsą. I zawsze mówiłaś, że do Francji przywiozła cię ciotka, bo byłaś sierotą. Ale zaczynam myśleć, że w Anglii musiało się wydarzyć coś bardzo, bardzo złego, inaczej by cię nie zabrała. I myślę, że to się wydarzyło właśnie w tym domu.

– Porozmawiamy o tym później. To bardzo długa historia.

– Gdzie są twoi rodzice? – dopytuje, a Lucy widzi już, że przyprawiając tutaj Marca, sprowokowała go do potoku pytań, które wcześniej nigdy nie przyszłyby mu do głowy. – Gdzie są pochowani?

Wciążą głęboko powietrze, uśmiecha się sztywno.

– Nie mam pojęcia. Nawet mglistego.

Kiedy była młodsza, ciągle to zapisywała. Kupowała notes i długopis, po czym siadała gdzieś, gdziekolwiek, i pisała, pisała, pisała o wszystkim. Prawdziwy strumień świadomości. Phin przywiązany do rury w swoim pokoju, zwłoki dorosłych, van czekający w cieniu, z włączonym silnikiem, a potem długa podróż przez noc, osłupiałe milczenie, a na koniec czekanie i czekanie, aż coś się wydarzy, lecz w końcu się nie wydarzyło i teraz, dwadzieścia cztery lata później, Lucy wciąż czeka, jest już tak blisko, że czuje posmak tego czegoś.

Właśnie taką historię spisywała raz po raz. Pisała, a potem wrywała kartki z notesu, zgniatała je w kulkę i wyrzucała do kosza, do morza, przez wilgotny świetlik. Paliła je, topiła, rwała na strzępy. Mimo to musiała pisać, żeby stworzyć z tego historię, a nie prawdę o jej życiu.

I przez cały ten czas prawda drażniła jej nerwy, napinała mięśnie brzucha, wybijała szalony rytm sercem, przyprawiała o mdłości, gdy się budziła, i nie pozwalała jej zasnąć, kiedy zamykała oczy.

Od zawsze wiedziała, że jedyne, co byłoby w stanie sprowadzić ją z powrotem do Londynu, gdzie wydarzyło się tyle przerażających rzeczy, to dziecko.

Tylko gdzie się podziewało? Nie miała wątpliwości, że było tutaj. W całym domu widać ślady czyjejś niedawnej obecności. W lodówce stoją napoje, brudne szklanki w zlewie, dziura w drzwiach do ogrodu.

Teraz musi tylko czekać, aż dziecko wróci.

CHELSEA, 1992

Następnym wydarzeniem była ciąża mojej matki.

Cóż, zdecydowanie nie było to dziecko mojego ojca, bo przecież ledwo potrafił podnieść się z fotela. Wieści o ciąży okazały się dziwnie niezaskakujące, ponieważ już dawno doszedłem do wstrętnego wniosku, że moja matka miała obsesję na punkcie Davida.

Widziałem ją tamtego wieczoru, gdy pojawił się w naszym domu po raz pierwszy. Odsuwała się od niego i już wtedy powód był dla mnie jasny – podobał jej się. Na moich oczach to początkowe przyciąganie przerodziło się w zakochanie, gdy mój ojciec tracił siły, a pozycja Davida się umacniała. Zauważyłem, że w pewnym momencie matka znalazła się całkowicie pod jego wpływem, była gotowa poświęcić wszystko dla niego i jego aprobaty, w tym własną rodzinę.

Lecz ostatnio zacząłem dostrzegać też inne rzeczy.

Słyszałem drzwi otwierane i zamykane późno w nocy. Widziałem zaczerwienienie na policzkach matki, wyczuwałem napięcie w powietrzu i jego zapach w jej włosach. Do moich uszu docierały nagłące szepty. Widziałem, jak Birdie bacznie obserwuje matkę, a David wpatruje się w te części jej ciała, które w najmniejszym stopniu nie powinny go interesować. Cokolwiek działo się między

moją matką a Davidem, było zwierzęce i jak ogień rozprzestrzeniało się we wszystkich zakamarkach domu.

Wieści o ciąży, jak wszystkie inne, ogłoszono przy stole. Oczywiście dokonał tego David, siedząc między Birdie i matką, trzymając dłonie obu. Na jego twarzy widać było rumieniec dumy. Był z siebie taki zadowolony. Co za człowiek. Dwie zakochane kobiety, a teraz jeszcze dziecko w drodze. Co. Za. Człowiek.

Moja siostra natychmiast się rozplakała, Clemency uciekła od stołu i zaraz dało się słyszeć, jak wymiotuje w łazience przy drzwiach do ogrodu.

Patrzyłem na matkę z przerażeniem. Chociaż nie byłem do końca zaskoczony tym rozwojem wypadków, dziwiło mnie, że pozwoliła, by ogłoszono to tak publicznie, z taką radością. Nie mogłem uwierzyć, że nie uznała, by cicha rozmowa z dziećmi w jakimś kącie była lepszym sposobem na przekazanie im tych informacji. Nie czuła wstydu? Nie czuła zażenowania?

Wyglądało na to, że nie. Chwyliła moją siostrę za rękę i powiedziała:

– Skarbie, przecież zawsze chciałaś młodsze rodzeństwo.

– Ale nie tak! Nie tak!

Ach ta moja siostra, ta jej skłonność do dramatyzowania. A jednak w tamtym momencie nie dziwiłem jej się.

– Co z tatą? – wtrąciłem bez większych nadziei.

– Tata o wszystkim wie – odparła, ściskając teraz moją dłoń. – Tata rozumie i chce, żebym była szczęśliwa.

David siedział między nią a Birdie i przyglądał nam się uważnie. Widziałem, że pozwala mojej matce nas pocieszać z czystej łaski. Jego samego kompletnie nie obchodziło, co myśleliśmy o nim i jego obrzydliwym akcie penetracji i zapłodnienia naszej matki. Obchodził go wyłącznie on sam.

Popatrzyłem na Birdie. Wydawała się dziwnie zadowolona, jakby to wszystko było owocem jej intrygi.

– Nie mogę mieć dzieci – powiedziała, jakby czytała mi w myślach.

– Czyli co, moja matka jest... ludzkim inkubatorem? – zapytałem bezwiednie, ostrym tonem.

David westchnął. Przystawił palec do ust; zdarzało mu się to tak często, że aż do dzisiaj denerwuje mnie, gdy ktoś tak robi.

– Ta rodzina potrzebuje skupienia – powiedział. – Serca. Rozumu. Ten dom potrzebuje dziecka. Twoja wspaniała rodzicielka robi to dla nas wszystkich. Jest boginią.

Birdie pokiwała głową z poważnym wyrazem twarzy.

W tym momencie wróciła Clemency, blada jak kreda. Opadła ciężko na krzesło i zadrżała.

– Skarbie – odezwał się do niej David. – Postaraj się spojrzeć na to w ten sposób. To dziecko połączy nasze rodziny. Wy czworo będziecie mieli wspólnego brata albo siostrę. Dwie rodziny – sięgnął przez stół po ich ręce – zjednoczone.

Siostra znowu się rozplakała, a Clemency zacisnęła dłoń w pięść. Birdie westchnęła.

– Na Boga, dziewczuchy. Dorośnijcie – syknęła.

Zobaczyłem, że David posyła jej ostrzegawcze spojrzenie. Odpowiedziała na nie, potrząsając włosami z nadąsaną miną.

– Potrzeba kilku dni, żebyście przyzwyczaili się do tych wieści. Rozumiem to – ciągnął David. – Ale musicie mi zaufać. To będzie przełom dla nas wszystkich. To dziecko stanie się przyszłością naszej wspólnoty. To dziecko będzie wszystkim.

Nie spodziewałbym się, że matka aż tak przytyje. Zawsze była szczupła, z wystającymi kośćmi biodrowymi i długą, wąską talią, a teraz nagle stała się najgrubsza w całym domu. Nieustannie dostawała jedzenie i nie pozwalano jej nic robić.

Najwyraźniej „dziecko” potrzebowało tysięcy dodatkowych kalorii dziennie i podczas gdy my siedzieliśmy przy biriani z grzybami i zupą z marchwi, matka napychała się spaghetti i musem czekoladowym. Wspominałem już, jak zdążyliśmy wychudnąć do tamtego czasu? Oczywiście nie licząc ojca, wcześniej też nie byliśmy szczególnie pulchni, ale z czasem staliśmy się naprawdę chudzi. Tymczasem moja matka była tuczona jak maciora na ubój. Wciąż nosiłem ubrania, które pasowały na mnie, gdy miałem jedenaście lat, a przecież niedługo kończyłem piętnaście. Clemency i moja siostra wyglądały jak anorektyczki, a z Birdie zostały skóra i kości. Muszę wam powiedzieć, że wegańskie jedzenie przechodzi przez człowieka i nic nie zostawia w bocznych. Ale kiedy to samo jedzenie podawane jest jeszcze w małych porcjach i jesteś nieustannie upominany, że proszenie o dokładkę to oznaka chciwości, kiedy jeden kucharz nie cierpi masła, więc nigdy nie ma dość tłuszczu (a dzieci muszą jeść tłuszcz), drugi nie cierpi soli, więc nigdy nie ma dość smaku, a jeszcze inny nie chce jeść pszenicy, bo podobno po niej brzuch robi mu się jak balon, więc jej też nie ma, cóż, to sprawia, że ludzie stają się bardzo chudzi, niedożywieni.

Krótko po tym, jak znaleziono ciała i dziennikarze krążyli w pobliżu domu z mikrofonami i kamerami, w wiadomościach pojawiła się jedna z naszych sąsiadek i opowiadała, jacy to byliśmy wychudzeni. „Zastanawiałam się – powiedziała kobieta (której nigdy wcześniej na oczy nie widziałem) – czy aby na pewno należycie się nimi opiekowano. Faktycznie trochę się martwiłam. Wszyscy byli przeraźliwie chudzi. Ale głupio tak się wtrącać, prawda?”

Cóż, tajemnicza sąsiadko, faktycznie głupio.

Lecz w czasie, gdy my traciliśmy na wadze, moja matka cały czas przybierała. Birdie uszyła jej ciężowe tuniki z czarnej bawełny, którą kupiła w hurtowej ilości na wyprzedaży kilka miesięcy wcześniej, bardzo tanio, żeby szyć torby i sprzedawać je na Camden Market. Sprzedała całe dwie, po czym przegonili ją inni kupcy, bo

wszyscy mieli licencje na prowadzenie handlu; z miejsca straciła ochotę na kontynuowanie projektu. Za to teraz szyla z zapalem, rozpaczliwie próbujac włączyć się jakoś w to, co się działo z moją matką. Wkrótce razem z Davidem również zaczęli nosić czarne tuniki. Wszystkie swoje pozostałe ubrania oddali na cele charytatywne. Wyglądali absolutnie idiotycznie.

Powinienem był się wtedy domyślić, że nie minie wiele czasu, kiedy od dzieci też będą oczekiwać noszenia takich strojów.

Pewnego dnia Birdie pojawiła się w moim pokoju z workami na śmieci.

– Oddamy wszystkie twoje ubrania biednym – oznajmiła. – Innym ludziom są bardziej potrzebne. Przyszłam pomóc ci je spakować.

Z perspektywy czasu trudno mi uwierzyć, jak szybko skapitulowałem. Nigdy nie podzielałem przekonań Davida, ale bałem się go. Widziałem, jak powalił Phina na chodnik przed domem tamtej paskudnej nocy rok wcześniej. Widziałem, jak go uderzył. Zdawałem sobie sprawę, że jest zdolny do znacznie gorszych rzeczy. Równie mocno bałem się Birdie. To ona uwolniła drzemiącego w nim potwora. I dlatego też o piętnastej we wtorek pod koniec kwietnia zacząłem opróżniać swoje szuflady i półki. Do foliowych worków trafiły moje ulubione dżinsy, naprawdę fajna bluza z kapturem z H&M, którą Phin oddał mi, gdy ją skomplementowałem, a także koszulki, swetry i spodenki.

– Ale co założę na siebie, gdy będę chciał wyjść z domu? – zapytałem. – Nie mogę wyjść nago.

– Proszę – powiedziała, podając mi czarną tunikę i parę czarnych getrów. – Od teraz wszyscy będziemy takie nosić. To ma sens.

– Nie mogę się pokazać w czymś takim – rzuciłem przerażony.

– Zostawimy kurtki. Chociaż i tak już przecież nigdzie nie wychodzisz.

To była prawda. Byłem trochę odludkiem, więc kiedy pojawiły się te wszystkie nowe zasady, skończyła się szkoła i nie miałem już

w zasadzie dokąd chodzić, rzadko opuszczałem dom. Sięgnąłem po czarną tunikę i getry, przycisnąłem je do piersi. Birdie popatrzyła na mnie znacząco.

– No już. Dawaj resztę.

Spojrzałem w dół. Chodziło jej o ubrania, które miałem już na sobie.

Westchnąłem.

– Mogę prosić o chwilę na osobności?

Zmierzyła mnie podejrzliwie wzrokiem, ale wyszła z pokoju.

– Tylko szybko – rzuciła z progu. – Mam dużo roboty.

Rozebrałem się tak prędko, jak tylko mogłem, po czym je złożyłem.

– Mogę zostawić sobie bieliznę? – zawołałem przez drzwi.

– Tak, oczywiście, że możesz – odparła niecierpliwie.

Założyłem na siebie tę głupią czarną tunikę i getry, a następnie spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Wyglądałem jak bardzo mały i bardzo chudy mnich. Miałem ochotę roześmiać się w głos. Potem szybko popędziłem do szuflady i włożyłem głęboko rękę. Szukałem krawata bolo, który kupiłem dwa lata wcześniej na Kensington Market. Wyjąłem go, żeby popatrzeć przez chwilę. Nie miałem jeszcze okazji go założyć. Wsunąłem go pod materac, gdzie leżały już książki Justina i królicza łapka, po czym otworzyłem drzwi. Oddałem Birdie złożone ubrania.

– Grzeczny chłopiec – powiedziała i przez chwilę wydawało mi się, że dotknie moich włosów. Potem jednak uśmiechnęła się i powtórzyła: – Grzeczny chłopiec.

Zawahałem się na moment, zastanawiając się, czy wykorzystać tę jej chwilową łagodność i zadać pytanie, które nie dawało mi spokoju. Wciągnąłem ostro powietrze i wypaliłem:

– Nie jesteś zazdrosna? Nie jesteś zazdrosna o dziecko?

Przez ułamek sekundy wyglądała na zrozpaczoną. Poczułem się, jakbym ją przejrzał, jakbym popatrzył wprost na jej płynne żółtko.

Wzdrygnęła się, ale zaraz opanowała emocje.

– Oczywiście, że nie. David chce dziecka. Jestem wdzięczna twojej matce za to, że mu je da.

– Ale czy on nie musiał... uprawiać z nią seksu?

Nie byłem do końca pewien, czy zdarzyło mi się wcześniej wypowiedzieć słowo „seks” na głos. Poczułem, jak się czerwienię.

– Oczywiście, że tak – odparła sztywno.

– Przecież to twój chłopak?

– Partner. Jest moim partnerem, nie własnością. A ja nie jestem jego własnością. Liczy się tylko jego szczęście.

– Tak – rzuciłem w zamyśleniu. – Ale co z twoim szczęściem?

Na to już nie odpowiedziała.

Kilka dni po tym, jak ogłoszono ciążę matki, moja siostra skończyła trzynaście lat. Chociaż w żadnym wypadku nie jestem ekspertem w tych sprawach, wydawało mi się, że wyrastała z niej całkiem ładna dziewczyna. Była wysoka, podobnie jak matka, a teraz, rok od wprowadzenia zakazu obcinania włosów, ciemne pasma sięgały jej aż do pasa i zupełnie inaczej niż u Clemency i Birdie – u których włosy były cienkie i poszarpane na końcach – były gęste i błyszczące. Mocno schudła, podobnie jak my wszyscy, ale zachowała pewne kształty. Potrafiłbym sobie wyobrazić (choć zapewniam, że wcale nie poświęcałem temu szczególnie dużo czasu), że gdyby przytyła kilka kilogramów, miałaby fenomenalną figurę. W dodatku spod tej niewinnej twarzyczki, do której widoku się przyzwyczaiłem, przebijała się interesująca twarz z szelmowskim urokiem. Była niemal piękna.

Wspominam o tym wszystkim nie dlatego, że uważam, by moja opinia o urodzie mojej siostry była szczególnie istotna, lecz dlatego, że możecie wciąż postrzegać ją jako dziecko. Tymczasem ona przestała już być małą dziewczynką.

Kiedy wydarzyło się to, co się potem wydarzyło, było jej już bliżej do młodej kobiety.

Libby pojawia się w pracy zziajana, spóźniona dwie minuty na spotkanie z Cerian Tahany. Cerian to miejscowa didżejka i pomniejsza celebrytka, która właśnie zamierza wydać pięćdziesiąt tysięcy na nową kuchnię, i za każdym razem, kiedy wchodzi do salonu, świat jakby wstrzymywał oddech. Normalnie Libby byłaby przygotowana w najmniejszych szczegółach, miałaby gotowe papiery, zaparzoną kawę, a nawet przejrzałaby się w lustrze, zjadła miętówkę i poprawiła spódniczkę. Dzisiaj Cerian już siedzi i zaczyna gapić się z irytacją w telefon, gdy Libby wreszcie dociera na miejsce.

– Strasznie, strasznie przepraszam. Okropnie mi przykro.

– Nic się nie stało – mówi Cerian, wyłącza telefon i chowa go do torebki. – Bierzmy się od razu do pracy, dobra?

Przez następną godzinę Libby nie ma czasu, żeby zastanowić się nad wydarzeniami poprzedniego dnia. Jedyne, co krąży jej po głowie, to blaty z marmuru karraryjskiego, szuflady na sztuce, okapy, miedziane lampy sznurkowe kontra emaliowane lampy sznurkowe. To dla niej kojące. Libby uwielbia rozmawiać o kuchniach. Dobrze się w tym odnajduje. A potem nagle spotkanie dobiega końca, Cerian odkłada okulary do czytania do torebki, ściska Libby na pożegnanie i wychodzi, a podniosła atmosfera panująca w salonie wyparowuje i wszystkim jakoś tak opadają witki.

Dido przywołuje Libby do swojego biura.

– No i co się takiego wydarzyło? – pyta, otwierając puszkę dietetycznej coli.

Libby mruga.

– Właściwie to nie jestem do końca pewna. To było kompletnie dziwaczne.

Opowiada po kolei, jak natknęli się na Phina na podeście schodów i przeszli na drugą stronę Albert Bridge do jego oszałamiającego mieszkania w Battersea nad samą rzeką, z widokiem idealnie na dom Lambów. Powtarza Dido, co pamięta z historii, którą Phin przedstawił im na tarasie. A na koniec mówi, jak obudziła się rano w wielkim podwójnym łóżku z Millerem, na co koleżanka wypala:

– No, tego można się było spodziewać.

– Słucham? – rzuca Libby, patrząc na nią z ukosa.

– Widać, że was do siebie ciągnie.

– Wcale nas nie ciągnie.

– Ależ oczywiście, że ciągnie. Zaufaj mi. Od razu zauważam takie rzeczy. Jestem w tym świetna, przewidziałam już trzy małżeństwa, dosłownie zanim te pary w ogóle się poznały. Poważnie.

Libby macha ręką na ten nonsens.

– Byliśmy pijani i zwaliliśmy się do łóżka w ubraniach. A rano nadal mieliśmy je na sobie. No a poza tym on ma tatuaż, a ja nie znoszę tatuaży.

– Myślałam, że w dzisiejszych czasach wszyscy uwielbiają tatuaże.

– Jak widać, nie wszyscy.

W tej samej chwili wibruje jej telefon. Podnosi go i patrzy na wyświetlacz.

– O wilku mowa – rzuca, zauważywszy imię Millera. – Cześć!

– Słuchaj – zaczyna nagłoco dziennikarz. – Stało się coś dziwnego. Właśnie chciałem utworzyć plik z nagraniem z zeszłej

nocy. Cała historia Phina przepadła.

– Przepadła?

– Tak, została skasowana.

– Gdzie jesteś?

– W kawiarni w Victorii. Już miałem zacząć transkrypcję, ale nie mam czego zapisywać.

– A jesteś pewien, że ten plik tam był? Może zapomniałeś włączyć nagrywanie?

– Na pewno włączyłem nagrywanie. Pamiętam, że sprawdziłem to przed pójściem spać. Słuchałem nagrania. Było na moim telefonie. Nawet zmieniłem nazwę pliku.

– I twoim zdaniem...?

– To musi być sprawka Phina. Pamiętasz, jak mówiłaś, że byłaś pewna, że miałaś przy sobie telefon, gdy kładłaś się do łóżka? Tak się składa, że ja też. A moja komórka ma włączoną blokadę na odcisk palca. Co oznacza, że musiał wejść do naszego pokoju, gdy już spaliśmy, i odblokować mój telefon, przykładając mój kciuk. I twój telefon też zabrał. Potem nas zamknął na klucz. To jeszcze nie wszystko. Próbowałem go wygooglować. Phin Thomsen. Ani śladu w całym internecie. Wygooglowałem jego mieszkanie. To Airbnb. Zerknąłem do kalendarza na stronie i wychodzi na to, że jest wynajęte od połowy czerwca. Praktycznie od...

– Moich urodzin.

– Twoich urodzin. – Wzdycha i słycać, jak przeciąga dłonią po brodzie. – Nie mam pojęcia, kim jest ten koleś. Ale jest zajebiście podejrzany.

– A ta jego historia. Pamiętasz cokolwiek? Tyle, by rozgryźć, co naprawdę tam się wydarzyło.

Miller waha się przez chwilę.

– Mgliście. Pamiętam większość, ale pod koniec już właściwie...

– U mnie tak samo. Jakieś strzępki informacji. I spałam...

– Jak zabita – kończy za nią.

– Cały dzień czuję się...

– Bardzo, bardzo dziwnie.

– Naprawdę dziwnie – zgadza się Libby.

– I zaczynam myśleć...

– Tak – przerywa mu w pół zdania. – Ja też. Myślę, że nam czegoś dosypał. Tylko dlaczego?

– Tego nie wiem, za to jestem pewien, że powinnaś sprawdzić swój telefon. Masz PIN?

– Tak – odpowiada.

– Jaki?

Wzdycha i zwiesza głowę.

– Data moich urodzin.

– Aha. W takim razie zobacz, czy nie ma na nim nic dziwnego. Phin mógł coś ci wgrać. Jakiś program szpiegujący czy coś.

– Program szpiegujący?

– Boże, kto go wie. To dziwny człowiek. Cała wczorajsza noc była dziwna. Włamał się do twojego domu. Dosypał nam czegoś...

– Może nam czegoś dosypał.

– Może nam czegoś dosypał. A przynajmniej zakradł się do naszego pokoju, gdy spaliśmy, wykorzystał mój odcisk palca, żeby odblokować telefon, zabrał komórkę z twojej torebki, a potem nas jeszcze zamknął. Niczego bym nie wykluczał w przypadku tego kolesia.

– Tak, niczego – odpowiada cicho Libby. – Masz rację. Sprawdzę telefon. No wiesz, on może nas podsłuchiwać nawet teraz.

– Owszem, może. Gościu, jeśli nas teraz słuchasz, dopadniemy cię, ty chory pojebie. – Słysząc, jak Miller wciąga ostro powietrze. – Powinniśmy się znowu spotkać. I to niedługo. Sprawdziłem Birdie Dunlop-Evers. Ma bardzo interesującą historię. Wydaje mi się też, że chyba znalazłem coś więcej na temat jej byłego chłopaka, Justina, który też zamieszkał w domu Lambów. Kiedy jesteś wolna?

Libby czuje, jak serce jej przyśpiesza na myśl o kolejnych cegiełkach tej historii.

– Dziś wieczorem – odpowiada. – No, właściwie to... – Podnosi wzrok na Dido, która cały czas nie odrywa od niej oczu. – Teraz? – Pytanie kieruje do koleżanki, a ta zdecydowanie kiwa głową i mówi bezgłośnie: *idź, idź*. – Możemy się spotkać teraz. Gdziekolwiek.

– W naszej kawiarni?

Libby doskonale wie, o którą mu chodzi.

– Tak, w naszej kawiarni. Mogę tam być za godzinę.

Dido patrzy na nią i mówi, gdy Libby się rozłącza:

– Wiesz co, wydaje mi się, że to dobry moment na to, żebyś wzięła urlop.

– Ale... – Libby się krzywi.

– Żadne ale. Ja przejmę Morganów i Cerian Tahany. Powiemy, że się rozchorowałaś. Cokolwiek się tam dzieje, na pewno jest ważniejsze niż jakieś kuchnie.

Libby otwiera usta, żeby powiedzieć coś w obronie kuchni, bo kuchnie są ważne. Kuchnie dają ludziom szczęście. Ludzie potrzebują kuchni. Kuchnie i ludzie kupujący kuchnie towarzyszyli jej niemal codziennie przez ostatnie pięć lat. Jednak wie, że Dido ma rację, więc tylko kiwa głową i mówi:

– Dziękuję.

Potem sprząta na biurku, odpowiada na dwa nowe maile w skrzynce odbiorczej, ustawia automatycznego respondera i wychodzi na główną ulicę w St Albans, żeby wsiąść do pociągu.

Chelsea, 1992

Do maja dziewięćdziesiątego drugiego nasz dom przeobraził się w coś potwornego. Świat zewnętrzny – pełen mięsożerców, zanieczyszczeń, zarazków, których nie dało się zwalczyć wyciskającymi siódme poty ćwiczeniami i ładnymi kwiatami – mógł w każdej chwili przynieść śmierć drogocennym potomkom Davida. Dlatego nikomu nie było wolno wychodzić z domu. Raz w tygodniu przychodziła dostawa warzyw, a spiżarnię mieliśmy zapełnioną taką ilością strączków i zbóż, że wystarczyłoby na przynajmniej pięć lat.

Potem, pewnego dnia krótko po moich piętnastych urodzinach, David oznajmił, że mamy oddać nasze buty.

Nasze buty.

Okazało się, że buty, nawet te niezrobione z martwych zwierząt, były bardzo, bardzo złe. Stanowiły emanację brudnych chodników, ponurego marszu do złowrogich biur, gdzie ludzie zarabiali jeszcze więcej pieniędzy dla obrzydliwie bogatych ludzi, podczas gdy biedni byli stłamszeni w wytworzonej sztucznie przez rząd deprawacji. Biedni ludzie w Indiach podobno nie nosili butów, dlatego my też nie powinniśmy. Całe nasze obuwie zostało zebrane do kartonu i zostawione przed najbliższym sklepem charytatywnym.

Od dnia, kiedy David odebrał nam buty, do nocy naszej ucieczki dwa lata później nikt nie wyszedł za próg naszego domu.

Miller je, kiedy Libby wchodzi do kawiarni na West End Lane.

– Co to jest? – pyta, wieszając torebkę na oparciu krzesła, po czym siada.

– Tortilla z kurczakiem i chorizo – odpowiada, wycierając plamę sosu z kącika ust. – Przepyszne. Naprawdę przepyszne.

– Jest szesnasta. Co to za posiłek?

Miller zastanawia się nad odpowiedzią.

– Późny lunch? Albo wczesna kolacja? Obiadokolacja? Kolacjoobiad? A ty już jadłaś?

Libby kręci głową. Nie jadła nic od śniadania na tarasie Phina i nie miała w ogóle ochoty.

– Nie jestem głodna – odpowiada.

Miller wzrusza ramionami i wgryza się w tortillę.

Libby zamawia dzbanek herbaty i czeka, aż jej towarzysz skończy jeść.

W apetycie Millera jest coś dziwnie przyciągającego. Je, jakby to była najlepsza rzecz, jaką może robić w danej chwili. Libby zauważa, że dziennikarz je z pełną uważnością.

– No więc – zaczyna Miller, otwierając laptopa, po czym wpisuje coś i obraca go ekranem do Libby. – Poznaj Birdie Dunlop-Evers. Jej pełne dane to Bridget Elspeth Veronica Dunlop-Evers. Urodzona w kwietniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego

w Gloucestershire. Przeprowadziła się do Londynu w osiemdziesiątym drugim i studiowała na Royal College of Music, gdzie specjalizowała się w grze na skrzypcach. W weekendy dorabiała występowaniem na ulicy, a potem dołączyła do zespołu Green Sunday razem ze swoim ówczesnym chłopakiem, Rogerem Miltonem. Tak się składa, że Roger został później wokalistą Crows.

Patrzy na nią wyczekująco, ale Libby rzuca tylko:

– Są sławni?

Miller przewraca oczami.

– Nieważne – ciągnie. – Tak czy inaczej, przez kilka lat dziewczyna pracowała jako skrzypaczka tu i tam, po czym zgłosiła się na przesłuchanie do zespołu Original Version. Zaczęła spotykać się z jakimś Justinem Reddingiem, którego wciągnęła do grupy jako perkusistę. Sądząc po ich wywiadach z tamtego okresu, była dość apodyktyczna. Nikt jej nie lubił. Wypromowali przebój latem osiemdziesiątego ósmego, a potem wydali jeszcze jeden singiel z nią i Justinem, lecz gdy ten kawałek zaliczył wtopę, obwiniła wszystkich innych, obraziła się i odeszła, zabierając ze sobą Justina. I tak się skończyła historia życia Birdie Dunlop-Evers. To ostatnie, co można o niej znaleźć. Dalej nie ma już nic, tylko... – Gestem pokazuje upadek z wysokości.

– A co z jej rodzicami?

– Nic. Była jednym z ośmiorga dzieci w pewnej eleganckiej katolickiej rodzinie. Jej rodzice wciąż żyją, przynajmniej nie udało mi się znaleźć nic, co by sugerowało, że umarli, a w internecie jest pełno eleganckich Dunlop-Eversów, którzy grają na różnych instrumentach muzycznych i prowadzą wegański catering. Z jakiegoś powodu rodzina nie zauważyła, że Birdie zniknęła z powierzchni ziemi w dziewięćdziesiątym czwartym. Albo miała to gdzieś.

– A co z jej chłopakiem, Justinem?

– Nic. Kilka wzmianek w czasie krótkiej przygody w roli perkusisty Original Version. Nic więcej.

Libby milknie na moment, żeby to przetrawić. Jak to możliwe, że ludzie tak łatwo wymykają się poza granicę egzystencji? Jak to możliwe, że nikt tego nie zauważa?

Miller odwraca laptopa z powrotem do siebie i wpisuje coś na klawiaturze.

– Dlatego zacząłem sprawdzać Phina. Skontaktowałem się z właścicielem Airbnb i powiedziałem, że prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa i potrzebuję informacji o ostatnim najemcy jego apartamentu. Był bardzo pomocny, wyraźnie się podekscytował. Justin Redding.

Libby patrzy na niego zaskoczona.

– Słucham?

– Phin, czy kim tak naprawdę jest ten koleś, zameldował się w Airbnb pod nazwiskiem byłego chłopaka Birdie.

– Wow.

– No nie? – Wpisuje coś innego. – A teraz, uwaga, przedstawiam ci Sally Radlett.

Znowu odwraca laptopa ekranem do niej. Na zdjęciu widać starszą kobietę z siwymi włosami obciętymi na pieczarkę, w okularach w rogowej oprawce, z wodnistymi oczami, sugestią uśmiechu, jasnoniebieską bluzką rozpiętą do trzeciego guzika, bladym obojczykiem i twarzą skrywającą echo dawnego piękna. Pod fotografią znajduje się napis: „Terapeutka i coach życia. Pentreath w Kornwalii”.

– Zgadza się miasto, zgadza się wiek. Zawód w zasadzie też by pasował, no wiesz, coach życia. Czy nie takimi pierdołami mogłaby się zajmować Sally Thomsen? – Miller patrzy na nią triumfalnie. – Co myślisz? To ona, prawda?

Libby wzrusza ramionami.

– No, w sumie mogłaby być.

– Jest też adres. – Wskazuje miejsce na ekranie i spogląda na nią pytająco.

– Twoim zdaniem powinniśmy tam jechać?

– Owszem, tak właśnie uważam.

– Kiedy?

Unosi brew, uśmiecha się i wybiera numer na telefonie. Chrząka, po czym mówi:

– Halo, czy to Sally Radlett?

Słychać, jak ktoś z drugiej strony odpowiada „tak”.

Potem, tak samo niespodziewanie, jak je rozpoczął, Miller kończy połączenie. Podnosi wzrok na Libby i rzuca:

– Teraz?

– Ale... – Już ma rozpaczliwie szukać jakiegoś wytłumaczenia, dlaczego w żadnym wypadku nie może teraz jechać, kiedy przypomina sobie, że takiego wytłumaczenia nie ma. – Muszę wziąć prysznic – odpowiada.

Miller uśmiecha się, odwraca z powrotem laptopa do siebie i zaczyna coś wpisywać.

– B&B? Czy Premier Inn?

– Premier Inn.

– Doskonale. – Jeszcze kilka kliknięć i mają zarezerwowane dwa pokoje w Premier Inn w Truro. – Możesz się wykąpać, gdy już dojedziemy. – Zamyka komputer i odłącza go, po czym chowa do nylonowego etui. – Gotowa?

Libby wstaje od stolika dziwnie podekscytowana na myśl o tym, że spędzi z nim resztę dnia.

– Gotowa.

Doszedłem do wniosku, że źródłem wszystkich naszych problemów jest rozwijające się w brzuchu matki dziecko. Widziałem, jak matka robi się grubsza, a wszyscy pozostali chudsi. Widziałem też, jak David stroszy piórka, jak się przechadza zadowolony z siebie. Każdy kilogram więcej u matki, każde kopnięcie czy wierzgnięcie dziecka było przyczyną kolejnej warstwy obrzydliwej wiary w siebie Davida. Próbowałem trzymać się tego, co Phin powiedział mi tamtego dnia, gdy poszliśmy do Kensington Market – że David został wyrzucony z poprzedniego domu, nad którym próbował przejąć kontrolę. Usiłowałem wyobrazić sobie, jaki wstyd musiał czuć, gdy został przyłapany na gorącym uczynku. Starłem się powtarzać sobie, że człowiek, który cztery lata wcześniej pojawił się w progu naszego domu, bezdomny i bez grosza przy duszy, był tym samym, który teraz się w nim tak panoszył.

Nie mogłem znieść myśli o narodzinach dziecka. Wiedziałem, że David użyje go, by umocnić swą rolę boga naszego wypaczonego, małego wszechświata. Gdyby dziecko nie przyszło na świat, moja matka mogłaby przestać w kółko jeść, a my moglibyśmy ponownie przynosić do domu zarazki. A co ważniejsze, nie byłoby absolutnie żadnego powodu, byśmy mieli cokolwiek więcej wspólnego z Davidem Thomsenem. Nic by nas nie łączyło, nie istniałoby żadne powiązanie.

Wiedziałem, co muszę zrobić, i nie stawia mnie to w pozytywnym świetle. Ale byłem dzieckiem. Byłem zdesperowany. Staralem się nas wszystkich uratować.

Podawanie medykamentów okazało się zaskakująco łatwe. Zadbalem o to, by jak najczęściej gotować dla matki. Parzyłem jej herbatki ziołowe i wyciskałem soki z warzyw. Do wszystkiego dodawałem rzeczy wymienione w rozdziale „Naturalna terminacja niechcianej ciąży” książki od Justina. Całe mnóstwo natki pietruszki, cynamonu, bylicy pospolitej, ziaren sezamu, rumianku, a nawet oleju z pierwiosnka.

Gdy podawałem jej szklankę soku, głaskała mnie po dłoni i mówiła:

– Taki dobry z ciebie chłopiec, Henry. Czuję się taką szczęściarą, że opiekuję się mną ktoś taki jak ty.

A ja oblewałem się rumieńcem i nic nie odpowiadałem, bo w pewnym sensie faktycznie się nią opiekowałem. Dbałem o to, by nie została już na zawsze przykuta do Davida. Jednak pod innymi względami nie opiekowałem się nią ani trochę.

Aż pewnego dnia, gdy była mniej więcej w piątym miesiącu ciąży, a dziecko było już duże, prawdziwe i zaczęło kopać, wierzgać, wiercić się w brzuchu, moja matka zeszła na dół i usłyszałem, jak rozmawia z Birdie w kuchni. Powiedziała:

– Dziecko ani razu się dzisiaj nie poruszyło.

Przez cały dzień konsternacja rosła i czułem potworny, przerażający skurcz żołądka, bo wiedziałem, co się wydarzy.

Oczywiście nie wezwano żadnego lekarza, nie odbyła się żadna wizyta w szpitalu. Najwyraźniej David Thomsen był człowiekiem wielu talentów i posiadał wiedzę w pełni wykwalifikowanego ginekologa. Przejął kontrolę nad całą sytuacją, wysłał ludzi po ręczniki, wodę i bezsensowne leki homeopatyczne.

Minęło pięć dni, zanim zdołali wyciągnąć już martwe dziecko.

Matka szlochała przez wiele godzin. Siedziała w pokoju razem z Davidem, Birdie i dzieckiem, wydając dźwięki, które niosły się po całym domu. My we czwórkę tkwiliśmy w ciszy na strychu, nie do końca docierało do nas to, co się właśnie wydarzyło. A potem w końcu, znacznie później tego samego dnia, matka zniosła dziecko na dół, owinięte w czarny szal, a David przyszykował mu grób na końcu ogrodu, gdzie zostało pochowane w środku nocy, w blasku świateł.

Tamtego wieczoru poszedłem do ojca. Usiadłem naprzeciwko niego i powiedziałem:

– Wiesz, że dziecko umarło?

Odwrócił się i spojrzał na mnie. Wiedziałem, że nie odpowie na moje pytanie, bo nie mógł mówić. Jednak myślałem, że chociaż zobaczę w jego oczach coś, po czym poznam, co myśli o wydarzeniach z tamtego dnia. Niestety zobaczyłem w nich tylko strach i smutek.

– To był chłopiec. Nazwali go Elijah. W tej chwili grzebią go w ogrodzie.

Ojciec w dalszym ciągu na mnie patrzył.

– W sumie chyba na dobre wyszło, prawda? Nie uważasz?

Szukałem odkupienia win. Postanowiłem uznać jego milczenie za aprobatę.

– No wiesz, bez pomocy medycznej i tak by pewnie nie przeżyło, prawda? Albo gorzej, matka zmarłaby przy porodzie. Więc wiesz, może tak jest lepiej. – Popatrzyłem na swoje odbicie w szybie okna za plecami ojca. Wyglądałem młodo i głupio. – Był bardzo mały.

Głos mi się załamał przy ostatnim słowie. Dziecko było takie malutkie, jak dziwna laleczka. Serce mnie bolało na jego widok. Mój młodszy braciszek.

– Tak czy inaczej, właśnie to się dzisiaj wydarzyło. A teraz chyba możemy spróbować wrócić do normalności.

Problem polegał na tym, że nie było już normalności. Życie mojego ojca nie było normalne. Nasza egzystencja nie była normalna. Dziecko odeszło, ale wciąż nie miałem butów. Dziecko odeszło, lecz mój ojciec wciąż siedział cały dzień w fotelu i gapił się w ścianę. Dziecko odeszło, lecz wciąż nie było szkoły, wakacji, przyjaciół, świata na zewnątrz.

Dziecko odeszło, lecz David Thomsen pozostał w naszym domu.

Jest dwudziesta pierwsza. Lucy i jej dzieci urządzili sobie nocleg w dawnej sypialni jej rodziców. Na ścianach tańczy blask świec. Stella już śpi, pies zwinął się w kłębek przy jej kolanach.

Lucy otwiera małą puszkę ginu z tonikiem. Marco otwiera fantę. Stukają się puszkami i wznoszą toast za Londyn.

– No dobra, to powiesz mi teraz o dziecku? – pyta chłopiec cicho.

Lucy wzdycha.

– O Boże. – Przeciąga dłońmi po twarzy. – Nie wiem, to wszystko jest takie...

– Po prostu powiedz. Proszę.

– Jutro – odpowiada, powstrzymując ziewanie. – Jutro ci powiem, obiecuję.

Marco wreszcie zasypia kilka minut później i już tylko Lucy jeszcze nie śpi w tym przeklętym domu, do którego przysięgała nigdy nie wracać. Ostrożnie podnosi głowę Marca ze swoich kolan i wstaje. Wygląda przez okno na promienie zachodzącego słońca odbijające się w oknach błyszczących nowych apartamentowców na drugim brzegu rzeki. Nie było ich tam, gdy tu mieszkała. Może gdyby były, ktoś mógłby ich stamtąd zobaczyć, ktoś mógłby się o wszystkim dowiedzieć, ktoś mógłby ich uratować i oszczędzić im tego tragicznego losu.

Zasypia dopiero jakiś czas po trzeciej nad ranem; w jej upartym umyśle godzinami kłębiły się myśli, po czym nagle zapadła w sen.

A potem, równie nagle, budzi się. Siada wyprostowana. Marco też. Spogląda na telefon – wszyscy spali do późnego poranka.

Nad ich głowami rozlega się dudnienie kroków.

Lucy chwyta dłoń Marca i przystawia palec wskazujący do ust.

Znowu zapada cisza i Lucy zaczyna się rozluźniać. Wtem jednak kroki wracają, nie ma już wątpliwości, że to podłoga skrzypi pod czyimiś nogami.

– Mamo...

Zaciska dłoń syna i powoli wstaje. Podchodzi na paluszkach do drzwi. Pies budzi się i podnosi głowę, wyswabada się spomiędzy zgiętych nóg Stelli, po czym rusza za Lucy. Głośno drapie pazurami o podłogę, więc Lucy bierze go na rękę. Czuje, jak w psim gardle wzbiera warknięcie, więc go ucisza.

Marco staje za nią i słysząc, jak ciężko oddycha.

– Nie wychodź – syczy do niego.

Fitz zaczyna coraz głośniej powarkkiwać. Nad ich głowami rozlega się skrzypienie i pies szczeka.

Skrzypienie cichnie.

Potem jednak słysząc odgłosy kroków, rytmicznych i pewnych; ktoś idzie po drewnianych schodach prowadzących do pokojów na strychu. Lucy wstrzymuje oddech. Pies znowu zaczyna szczekać i próbuje wyrwać się jej z rąk. Lucy zamyka drzwi i blokuje je swoim ciałem.

Stella już nie śpi i patrzy na matkę szeroko otwartymi oczami.

– Co się dzieje, mamo?

– Nic, kochanie – szepcze Lucy. – Nic a nic. To tylko Fitz się wygłupia.

Skrzypią drzwi na pierwszym piętrze, a następnie słysząc trzask ich zamykania.

Lucy czuje przyływ adrenaliny.

– Czy to dziecko? – pyta Marco nagłym szeptem, z przerażenia otwierając szeroko oczy.

– Nie wiem. Nie wiem, kto to jest.

Kroki niosą się po podeście schodów i zaraz za drzwiami słyhać czyjś oddech. Pies cichnie, kładzie uszy i obnaża zęby. Lucy odsuwa się od drzwi i nieznacznie je otwiera. W tym samym momencie Fitz zeskakuje jej z rąk i siłą przepycha się przez szczelinę, za drzwiami stoi jakiś mężczyzna, pies szczeka i rzuca się na jego kostki, mężczyzna spogląda w dół i uśmiecha się, wyciąga rękę do powąchania. Fitz cichnie i wacha, po czym daje się pogłaskać po głowie.

– Witaj, Lucy – mówi mężczyzna. – Fajny pies.

III

Libby wyciąga się w hotelowym łóżku ze znajomym paskiem oberżynowego materiału w nogach. Pokój w Premier Inn jest dla niej miejscem radości; kojarzy jej się z babskimi wieczorami, wypadami za miasto i weselami. Łóżko w Premier Inn jest znajome i przynosi ukojenie. Mogłaby zostać tutaj cały dzień. Musi jednak spotkać się z Millerem o dziewiątej w hotelowym lobby. Sprawdza godzinę na telefonie. Ósma czterdzieści osiem. Zwleka się z łóżka i bierze bardzo szybki prysznic.

Zeszłej nocy odbyli długą podróż z Londynu i spędziła z Millerem pięć godzin, wiele się o nim dowiadując w tym czasie.

W wieku dwudziestu dwóch lat miał wypadek samochodowy, po którym przez rok musiał jeździć na wózku i poddawać się rehabilitacji. W młodości był szczupły i wysportowany, jednak już nigdy nie zdołał odzyskać dawnej formy. Ma dwie starsze siostry i ojca geja, wychował się w Leamington Spa. Studiował politologię na uniwersytecie, gdzie poznał swoją żonę, Matildę, inaczej Mati. Była niezwykle piękna, z ciemnorudymi włosami, pełnymi ustami i hipsterską fryzurą, której kanciaste cięcie szpeciłoby dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi, ale nie ją.

– Dlaczego się rozstaliście? – powiedziała Lucy, po czym dodała:
– Jeśli mogę zapytać?

– Och, to moja wina – wyjaśnił Miller, przykładając dłoń do serca.
– Tylko moja. Wszystko było dla mnie ważniejsze od niej. Przyjaciele, hobby. Ale głównie praca. I przede wszystkim – zrobił pauzę na cierpki uśmiech – tamten artykuł dla „Guardiana”. – Wzruszył ramionami. – Wyciągnąłem z tego wnioski. Już nigdy nie postawię pracy zawodowej ponad życie osobiste. A co z tobą? Masz jakiegoś kawalera?

– Nie. Dopiero jestem w trakcie poszukiwań – odparła.

– Ach, jesteś jeszcze młoda.

– Tak, jestem jeszcze młoda – zgodziła się, zapominając na chwilę o towarzyszącym jej wiecznym odczuciu, że nie zdąży osiągnąć swoich arbitralnie wyznaczonych celów.

Wkłada te same ubrania co poprzedniego dnia i dwie minuty po dziewiątej schodzi do lobby, gdzie już czeka na nią Miller. Nie przebrał się ani najwyraźniej nie wziął prysznic. Wygląda zupełnie jak ktoś, kto nie widział własnego łóżka od czterdziestu ośmiu godzin. Jednak jest w tej jego niechlujności i znękanu coś ujmującego i Libby musi się powstrzymać, żeby nie przeczesać mu włosów, nie poprawić kołnierzyka koszulki.

Oczywiście solidnie się pokrzepił śniadaniem i właśnie dopija resztki kawy. Na widok Libby uśmiecha się, odstawia filiżankę i wspólnie wychodzą z hotelu.

Gabinet Sally znajduje się w małym budynku z kamienia na głównej ulicy Pentreath. Na parterze działa spa o nazwie Beach. Do Sally trzeba wejść po schodach na pierwsze piętro. Miller dzwoni do drzwi i otwiera jakaś bardzo młoda dziewczyna.

– Tak?

– Dzień dobry. Szukamy Sally Radlett.

– Obawiam się, że w tej chwili ma klienta. Mogę w czymś pomóc?

Dziewczyna jest bladą, naturalną blondynką i ma taką samą dobrze zarysowaną szczękę co Sally. Przez chwilę Libby wydaje się, że to musi być jej córka. Ale przecież to niemożliwe. Sally musi mieć przynajmniej sześćdziesiąt lat, jak nie więcej.

– Eee, nie, naprawdę musimy porozmawiać z Sally – tłumaczy Miller.

– Mają państwo umówioną wizytę?

– Niestety nie. To trochę jakby nagły przypadek.

Dziewczyna mruży nieco oczy, po czym przenosi wzrok na skórzaną kanapę i mówi:

– Może państwo usiądą i poczekają? To nie potrwa długo.

– Bardzo dziękujemy – rzuca Miller i siadają z Libby obok siebie.

Znajdują się w niewielkim pomieszczeniu; dziewczyna za biurkiem jest tak blisko, że słyszą jej oddech.

Dzwonek telefonu przerywa niezręczną ciszę i Libby odwraca się do Millera, szepcząc:

– Co, jeśli to nie ona?

– To wtedy nie będzie ona – odpowiada Miller, wzruszając ramionami.

Libby przygląda mu się przez ułamek sekundy i dociera do niej, że on postrzega świat inaczej. Jest przygotowany na to, że może się mylić; nie zawsze musi wiedzieć, co się za chwilę wydarzy. Myśl o życiu w taki sposób wydaje jej się dziwnie kusząca.

Pojawia się wysoka kobieta. Ma na sobie szarą sukienkę z długim rękawem i złote sandały. Żegna się z mężczyzną w średnim wieku, a następnie patrzy niespokojnie na Libby i Millera. Odwraca się do dziewczyny za biurkiem i mówi:

– Lola?

Dziewczyna spogląda na nich i rzuca:

– Poprosili o wizytę z powodu nagłego przypadku.

Po tych słowach kobieta znowu na nich patrzy i uśmiecha się niepewnie.

– Słucham?

Staje się jasne, że nie podobają jej się ludzie, którzy wchodzą z ulicy i proszą o wizytę bez zapowiedzi.

Millera to jednak nie peszy.

– Nazywam się Miller Roe – oznajmia, wstając. – To moja przyjaciółka Libby Jones. Zastanawiałem się, czy mogłaby poświęcić nam pani dziesięć minut?

Kobieta zerka na dziewczynę o imieniu Lola, a ta potwierdza, że następna umówiona wizyta ma się odbyć dopiero o jedenastej trzydzieści. Kobieta zaprasza ich do swojego gabinetu, po czym zamyka za nimi drzwi.

Gabinet jest urządony w przytulnym skandynawskim stylu: jasna sofa z robionym na drutach kocem, jasnoszare ściany, pomalowane na biało biurko i krzesła. Na ścianach wisi wiele czarno-białych fotografii w ramach.

– Więc w czym mogę pomóc? – pyta Sally.

Miller spogląda na Libby. Chciałby, żeby to ona zaczęła. Libby odwraca się do Sally i mówi:

– Właśnie odziedziczyłam dom. Duży dom. W Chelsea.

– Chelsea?

– Tak, przy Cheyne Walk.

– Aha. – Sally kiwa głową. Tylko raz.

– Pod numerem szesnaście.

– Tak, tak – rzuca z odrobiną niecierpliwości. – Nie ro... – zaczyna, lecz urywa w pół słowa i mruży nieco oczy. – Już rozumiem! Ty jesteś tamtym dzieckiem!

Libby kiwa głową.

– A pani jest Sally Thomsen? – pyta.

Sally robi pauzę.

– Cóż – mówi po chwili – właściwie to nie. Kilka lat temu wróciłam do panińskiego nazwiska, kiedy założyłam ten gabinet. Nie chciałam, żeby ktoś... Przez jakiś czas byłam w kiepskim stanie

i chyba chciałam zacząć od nowa. Ale tak, byłam Sally Thomsen. A teraz proszę posłuchać – oznajmia nagle oficjalnym tonem. – Nie chcę się w nic mieszać. Obiecałam córce nigdy nie rozmawiać na tematy związane z tamtym domem w Chelsea. Nigdy o nim nie wspominać. Przez lata cierpiała na zespół stresu pourazowego przez to, co się tam wydarzyło, i jest naprawdę poraniona psychicznie. Nie powinnam nic mówić, to nie moja decyzja. Choć bardzo się cieszę, widząc cię tutaj całą i zdrową, obawiam się, że muszę was oboje poprosić o wyjście.

– A nie moglibyśmy porozmawiać z pani córką?

Sally patrzy z ukosa na Millera, który zadał to pytanie.

– W żadnym wypadku. W żadnym wypadku.

CHELSEA, 1992

Moja matka nigdy już nie doszła do siebie po stracie dziecka.

Powoli wycofała się z życia wspólnoty. Odsunęła się od Davida. Zaczęła spędzać więcej czasu z moim ojcem; siedzieli we dwójkę obok siebie, w milczeniu.

Oczywiście czułem się całkowicie odpowiedzialny za smutek matki. Próbowałem naprawić sytuację, podając jej medykamenty z książki Justina, które miały leczyć melancholię. Niestety praktycznie nie dało się jej namówić na zjedzenie czegokolwiek, więc moje wysiłki spełzły na niczym.

David najwyraźniej ją porzucił. Zaskoczyło mnie to. Spodziewałbym się, że będzie chciał brać czynny udział w jej rehabilitacji. On jednak trzymał dystans, traktował ją wręcz chłodno.

Pewnego dnia, krótko po tym, jak matka straciła dziecko, zapytałem go:

– Dlaczego już nie rozmawiasz z moją matką?

Popatrzył na mnie i westchnął.

– Duchowe rany twojej matki właśnie się goją. Musi podążać własną ścieżką ku uleczeniu.

Własną ścieżką.

Poczułem, jak wzbiera we mnie fala wściekłości.

– Nie wydaje mi się, by jej rany się goiły – odpowiedziałem. – Moim zdaniem jest z nią coraz gorzej. A co z moim ojcem? Nie powinien być pod opieką lekarza? Nie powinien przechodzić jakiegoś leczenia? Całymi dniami nie rusza się z fotela. Może w zewnętrznym świecie ktoś mógłby mu w jakiś sposób pomóc. Może istnieje jakaś forma terapii. Może nawet pomogłyby elektrowstrząsy czy coś takiego. Może medycyna cały czas poszukuje różnych rozwiązań dla pacjentów z udarami, a my nawet o nich nie wiemy, bo ciągle tu siedzimy... – Zacząłem już krzyczeć i gdy tylko te słowa wydostały się z moich ust, wiedziałem, że przekroczyłem granicę. I owszem, zaraz poczułem na policzku zimne, ostre uderzenie jego dłoni.

W moich ustach pojawił się metaliczny posmak krwi, towarzyszyło mu odrętwienie. Dotknąłem krwi opuszką palca i spojrzałem na Davida z przerażeniem.

Popatrzył na mnie z góry, spiął ramiona, na skroni wyszła mu żyłka. Niesamowite, jak szybko ten cichy, uduchowiony człowiek potrafił zmienić się we wściekłego potwora.

– Nie masz prawa mówić o takich rzeczach – warknął. – Nic nie wiesz, nie masz pojęcia o niczym. Jesteś dzieckiem.

– Ale to mój ojciec. A odkąd tylko się pojawiliście w tym domu, jest traktowany jak gówno!

Jego dłoń wróciła, tym razem zderzyła się z moim drugim policzkiem. Od początku wiedziałem, że to się wydarzy. Gdy tylko zobaczyłem Davida Thomsena, wiedziałem, że uderzy mnie, jeśli się z nim skonfrontuję. I tak się stało.

– Wszystko zniszczyłeś – powiedziałem w przypiływie emocji, jakbym nie miał już nic do stracenia. – Myślisz, że jesteś taki potężny i taki ważny, ale to nieprawda! Jesteś tylko dupkiem! Przyszedłeś do mojego domu i zmusiłeś wszystkich do tego, by tańczyli, jak im zagrasz. A potem sprawiłeś, że mama zaszła w ciążę, i teraz ona

jest smutna, a ciebie to nie obchodzi, w ogóle cię to nie obchodzi. Bo nikt się dla ciebie nie liczy, tylko ty!

Tym razem uderzył mnie tak mocno, że upadłem na podłogę.

– Wstawaj! – wrzasnął. – Wstawaj i marsz do swojego pokoju. Masz szlaban na tydzień.

– Zamkniesz mnie? Za to, że powiedziałem prawdę? Za to, że powiedziałem, co myślę?

– Nie – warknął. – Zrobię to, bo nie mogę na ciebie patrzeć. Budzisz we mnie obrzydzenie. A teraz masz wybór: albo sam pójdziesz, albo cię tam zaciągnę. To jak będzie?

Wstałem i pobiegłem. Jednak nie na schody, lecz w stronę drzwi wejściowych. Nacisnąłem klamkę i pociągnąłem, gotowy, gotowy do lotu, gotowy złapać przypadkowego przechodnia i powiedzieć: „Błagam, jesteśmy uwięzieni w domu z szaleńcem. Błagam, proszę nam pomóc!”. Jednak drzwi były zamknięte na klucz.

Jak to możliwe, że o tym nie wiedziałem? Ciągnąłem i ciągnąłem, a potem odwróciłem się i rzuciłem do Davida:

– Zamknąłeś nas!

– Nie, to drzwi są zamknięte. To zupełnie co innego. A teraz zapraszam na górę.

Pomaszerowałem ciężkim krokiem na strych, a David ruszył za mną.

Wszedłem do pokoju i zaraz usłyszałem chrobot klucza w zamku.

Płakałem rzewnymi łzami jak żalosny przerośnięty przedszkolak.

Usłyszałem wrzeszczącego do mnie zza ściany Phina:

– Zamknij się! Zamknij się wreszcie!

Wołałem matkę, lecz nie przyszła.

Nikt nie przyszedł.

Tamtej nocy bolała mnie twarz w miejscu, gdzie wylądował cios Davida, burczało mi w brzuchu i nie mogłem spać, leżałem

godzinami, gapiąc się na chmury przepływające przed księżycem, śledząc wzrokiem ciemne sylwetki ptaków poruszające się w koronach drzew, nasłuchując dźwięków w domu.

Wydaje mi się, że w następnych tygodniach trochę oszalałem. Wydrapywałem znaki na ścianach, aż krwawiły mi opuszki palców. Uderzałem głową o podłogę. Wydawałem zwierzęce dźwięki. Widziałem rzeczy, które nie istniały. Moim zdaniem David miał nadzieję, że opuszczę pokój poskromiony i gotowy do tego, by zacząć od początku. Jednak tak się nie stało.

Kiedy drzwi wreszcie zostały otwarte po tygodniu i znów mogłem do woli chodzić po domu, nie czułem się poskromiony. Czułem, że płonie we mnie ogień słusznego gniewu. Zamierzałem pozbyć się Davida na dobre.

Gdy wreszcie odzyskałem wolność, coś wisało w powietrzu, jakiś wielki sekret, niesiony przez pyłki kurzu i promienie słońca, wpleciony w pajęczę sieci w kątach wysokich pokojów.

Pierwszego dnia po zakończeniu izolacji usiadłem do stołu w porze śniadania i zapytałem Phina:

– Co się dzieje? Dlaczego wszyscy tak dziwnie się zachowują?

On tylko wzruszył ramionami i rzucił:

– Wszyscy tutaj ciągle zachowują się dziwnie, czyż nie?

– Nie, dziwniej niż zwykle. Coś się dzieje.

W tamtym okresie Phin był już chory, nie miałem co do tego wątpliwości. Jego skóra, niegdyś gładka i bez skazy, teraz wydawała się poszarzała, o niejednorodnym kolorze. Włosy wisały mu, tłuste, z jednej strony. I pachniał trochę dziwnie, jakby kwaśno.

Wspomniałem o tym Birdie.

– Phin chyba jest chory – powiedziałem.

– Phinowi nic nie dolega – odparła z nadęciem. – Po prostu musi więcej ćwiczyć.

Słyszałem przez drzwi sali treningowej, jak ojciec go dopinguje.

– Mocniej, dasz radę. Wyteż się. Naprawdę się wyteż. Dalej! W ogóle się nie starasz.

A potem widziałem, jak Phin wychodzi stamtąd ledwo żywy i idzie schodami na górę bardzo powoli, jakby każdy krok sprawiał mu ból.

– Powinieneś iść ze mną do ogrodu – mówiłem. – Przyda ci się trochę świeżego powietrza.

– Nigdzie nie chcę z tobą chodzić – odpowiadał.

– No dobra, nie musisz iść tam ze mną. Idź sam.

– Nie rozumiesz? Nic tutaj nie jest w stanie mi pomóc. Jedyne, co mogłoby mi pomóc, to odejście stąd. Muszę się stąd wydostać. Muszę odejść – tłumaczył, przewiercając mnie wzrokiem.

Wydawało mi się, że dom umiera. Najpierw mój ojciec się wycofał, potem matka, a teraz Phin. Justin nas zwyczajnie porzucił. Dziecko umarło. W zasadzie nie widziałem już jakiegokolwiek sensu w tym wszystkim.

A potem pewnego popołudnia usłyszałem dochodzący z dołu śmiech. Wyrztałem na korytarz i zobaczyłem Davida i Birdie, jak wychodzą z pokoju treningowego. Oboje promienieli zdrowiem. David objął Birdie ramieniem, przyciągnął i pocałował w usta z obrzydliwym mlaśnięciem. I z miejsca zrozumiałem: to oni. To oni wysysali całą dobrą energię z tego domu, całą miłość i życie, zabierali wszystko dla siebie, karmiąc się naszym nieszczęściem i złamanym duchem.

Później rozejrzałem się po gołych ścianach, gdzie kiedyś wisały obrazy olejne; po pustych kątach, gdzie kiedyś stały meble. Pomyślałem o żyrandolach, których kryształły odbijały promienie słońca. O srebrze, złocie i mosiądzu, które błyszcząły na każdej powierzchni. Pomyślałem o szafie matki, wypełnionej designerskimi ubraniami i torebkami, o pierścieniach niegdyś zdobiących jej palce, o diamentowych kolczykach i szafirowych wisiorkach. Wszystko zniknęło. Wszystko zostało przekazane na tak zwane „cele

dobroczyńne”, żeby pomóc „biednym ludziom”. Wyceniłem wartość wszystkich tych rzeczy. To musiały być tysiące funtów. Wiele tysięcy funtów.

A potem spojrzałem znowu na Davida, na jego ramię obejmujące Birdie, na ich swobodę i wolność od trosk, jakie ciążyły innym domownikom. I pomyślałem sobie: nie jesteś ani mesjaszem, ani guru, ani bogiem, Davidzie Thomsenie. Nie jesteś filantropem ani dobroczyńcą. Nie jesteś uduchowiony. Jesteś zwykłym przestępcą. Przyszedłeś do mojego domu i ograbiłeś go. Nie jesteś też człowiekiem pełnym współczucia. Gdybyś był, siedziałbyś teraz z moją matką, która oplakuje śmierć waszego dziecka. Znalazłbyś sposób na to, by pomóc mojemu ojcu wydostać się z tego piekła na ziemi. Zabrałbyś własnego syna do lekarza. Nie śmiałbyś się teraz razem z Birdie. Za bardzo ciążyłoby ci nieszczęście wszystkich innych. A skoro nie kieruje tobą współczucie, nie oddawałeś pieniędzy biednym. Nie, zachowałeś je dla siebie. I właśnie stąd wzięła się ta „sekretna skrytka”, o której Phin powiedział mi kilka lat wcześniej. Tylko gdzie jest ta skrytka? I co z nią zrobić?

CHELSEA, 1992

Dwa tygodnie po tym, jak David wypuścił mnie z pokoju, ogłosił przy obiedzie, że moja siostra jest w ciąży. Miała wtedy ledwo skończone czternaście lat.

Zobaczyłem, jak Clemency wzdryga się, odskakuje od mojej siostry jak oparzona. Zobaczyłem śmiertelnie beznamiętną twarz mojej matki i stało się dla mnie jasne, że o wszystkim wiedziała. Zobaczyłem Birdie. Uśmiechnęła się do mnie. Na widok tych maleńkich ząbków wybuchłem. Skoczyłem na drugą stronę stołu i rzuciłem się na Davida. Próbowałem go uderzyć. No, właściwie to próbowałem go zabić. Taki był mój główny zamiar.

Ale byłem jeszcze dzieciakiem, a on był barczysty, poza tym oczywiście Birdie wpadła między nas i w jakiś sposób zostałem odciągnięty z powrotem na moje miejsce. Spojrzałem na siostrę, na dziwny uśmiech błakający się na jej ustach, i nie mogłem uwierzyć, że nigdy wcześniej tego nie dostrzegłem – nie zauważyłem, że dała się nabrać na to wszystko, że patrzyła na Davida tak samo jak moja matka, tak samo jak Birdie. Moja siostra była dumna z tego, że David ją wybrał, że może urodzić mu dziecko.

I wtedy to do mnie dotarło.

David chciał nie tylko naszych pieniędzy. David chciał naszego domu.

Od samego początku, gdy tylko przekroczył jego próg, pragnął tego jednego. A spłodzenie dziecka z moją siostrą miało mu to umożliwić.

Następnego dnia poszedłem do sypialni rodziców. Otworzyłem kartony, do których zostały spakowane wszystkie rzeczy z wyniesionych już mebli. Czułem na sobie wzrok ojca.

– Tato, gdzie jest testament? Ten, w którym jest zapisane, co się stanie z domem po waszej śmierci?

Widziałem załóżek słów tworzący się w jego gardle. Otworzył usta o milimetr czy dwa. Przysunąłem się do niego.

– Tato? Wiesz? Wiesz, gdzie są wszystkie dokumenty?

Jego wzrok ześlizgnął się z mojej twarzy na drzwi do sypialni.

– Tam? Tam są dokumenty?

Zamrugął.

Robił tak czasami, gdy był karmiony. Jeśli mama zapytała „Smakuje ci, kochanie?”, on mrugał, a ona odpowiadała „To dobrze” i dawała mu kolejny kęs.

– W którym pokoju? W którym pokoju je znajdę?

Zobaczyłem, jak jego oczy nieznacznie przesuwają się w lewo. W stronę pokoju Davida i Birdie.

– W pokoju Davida?

Zamrugął.

Mój entuzjazm wyparował.

Nie mogłem wejść do pokoju Davida i Birdie. Przede wszystkim zamykali go na klucz. A nawet gdyby nie, gdybym dał się przyłapać na czymś takim, konsekwencje byłyby niewyobrażalne.

Raz jeszcze poszukałem rozwiązania problemu w niezwykle przydatnej księdze czarów Justina.

„Zaklęcie tymczasowego otępienia”.

To brzmiało jak coś, czego mi było trzeba. Obiecywało kilka minut ogólnego zamroczenia i senności, „małej i niezauważalnej amnezji”.

Wymagało wykorzystania wilczej jagody, *Atropa belladonna*, trującej rośliny, o której Justin powiedział mi wiele miesięcy wcześniej. Uprawiałem ją w sekrecie po tym, jak znalazłem nasiona w skrzynce zielarskiej Justina. Trzeba je było moczyć w wodzie w lodówce przez dwa tygodnie. Powiedziałem dorosłym, że eksperymentuję z nowymi ziołami na *ennui* Phina.

Potem wziąłem nasiona i wysiałem je w dwóch dużych donicach. Wykiełkowały po trzech tygodniach i gdy ostatnio do nich zaglądałem, kwitły. W książkach znalazłem informację, że *Atropa belladonna* to bardzo trudna do uprawy roślina, dlatego byłem z siebie niesamowicie dumny, gdy pojawiły się pierwsze fioletowe kwiaty. Teraz wymknąłem się do ogrodu i zerwałem kilka listków, wsunąłem je za pasek spodni i szybko wróciłem na górę. W swoim pokoju przygotowałem tynkturę z rumiankiem i wodą z cukrem. Powinienem też dorzucić dwa włosy z grzbietu rudego kota oraz powietrze wydmuchane przez staruszkę, ale byłem zielarzem, nie czarownikiem.

Moje herbatki ziołowe wszystkim wyjątkowo smakowały. Powiedziałem Davidowi i Birdie, że eksperymentuję z nową mieszanką: rumianek z liśćmi maliny. Popatrzyli na mnie czule i powiedzieli, że brzmi pysznie.

Przeprosiłem Birdie, kiedy piła swoją, za być może zbyt dużą słodycz; powiedziałem jej, że dodałem odrobinę miodu, żeby zrównoważyć gorzkawe liście maliny. W przepisie na zaklęcie było napisane, że odbiorca zaklęcia musi wypić pół szklanki. Dlatego siedziałem i patrzyłem na nich z tkliwym wyrazem twarzy, jakbym rozpaczliwie pragnął ich aprobaty, żeby nie przestali pić, nawet jeśli im nie smakowało.

Jednak im smakowało i oboje wypili do dna.

– Wiesz co, Henry – powiedziała Birdie chwilę później, gdy odłożyliśmy naczynia do zmywania. – Tamta herbatka była bardzo, bardzo relaksująca. Właściwie... to czuję, że... – Widziałem, jak oczy jej trochę odpływają w tył czaszki. – Może się położę na moment.

Spojrzałem na Davida i jemu też zaczęły opadać powieki.

– Tak, przydałaby się krótka drzemka – rzucił.

– Chodźcie, zaprowadzę was – powiedziałem. – Rany, strasznie was przepraszam. Może dodałem do herbatki trochę za dużo rumianku. Chodźcie, chodźcie. – Pozwoliłem Birdie wziąć mnie pod rękę.

Położyła mi policzek na ramieniu.

– Pyszna ta twoja herbatka, Henry. Najlepsza herbatka na świecie.

– Naprawdę, naprawdę dobra herbatka – zgodził się David.

Po tych słowach wygmerał z tuniki klucz do ich sypialni. Zauważyłem, że nosił pod nią skórzaną sakiewkę na pasku. Założyłem, że to właśnie tam trzymał klucze do wszystkich pomieszczeń w domu. Miał problem z włożeniem go do zamka, więc mu pomogłem. Potem zaprowadziłem ich oboje na łóżko, gdzie natychmiast zapadli w głęboki sen.

W ten oto sposób znalazłem się w ich sypialni. Nie wchodziłem do tego pokoju od lat, ostatni raz zdarzyło mi się to, gdy David i Sally byli jeszcze razem.

Rozejrzałem się i ledwo potrafiłem pojąć, na co patrzę: całe sterty kartonów pełne ubrań, książek i innych rzeczy, o których mówiono nam, że są złe, zgubne. W kącie zobaczyłem dwie pary butów, jego i jej. Do tego alkohol, opróżniona do połowy butelka wina z wyjętym korkiem, szklanka z ciemnym, kleistym osadem na dnie, kilka bardzo drogich whiskey mojego ojca. Pudełko herbatników i opakowanie po marsie. Dojrzałem też jedwabną bieliznę i butelkę szamponu marki Elvive.

Na razie jednak wszystko to zignorowałem. Nie miałem pojęcia, jak długo potrwa „tymczasowe otępienie”. Musiałem znaleźć dokumenty ojca i wynosić się z tego pokoju.

Przetrząsając zawartość pudełek, natrafiłem na swój piórnik, którego nie widziałem od ostatniego dnia szkoły. Trzymałem go przez chwilę w dłoni i wpatrywałem się w niego jak w artefakt innej cywilizacji. Pomyślałem krótko o tamtym chłopcu w brązowych spodenkach, wracającym w podskokach z ostatnich lekcji, z uniesioną triumfalnie brodą, gdy wyobrażał sobie nowy wspaniały świat, który miał stanąć przed nim otworem. Rozpiąłem piórnik, przystawiłem do nosa, wciągnąłem zapach strużyn i niewinności; wsunąłem go za pasek spodni, żeby schować go potem w swoim pokoju.

Znalazłem jedną z sukienek balowych matki. Znalazłem śrutówkę ojca. Znalazłem trykot i tutu siostry; nie miałem pojęcia, po co ktoś je zostawił.

A potem, w trzecim kartonie, natknąłem się wreszcie na papiery ojca: szare marmurkowe teczki z metalowymi klipsami w środku. Wyciągnąłem jedną z nich, tę z odręcznym zapiskiem: „Sprawy domowe”. Przejrzałem szybko jej zawartość.

I oto on, testament Henry’ego Rogera Lamba i Martiny Zeynep Lamb. To też schowałem za pasek spodni, żeby przeczytać na spokojnie później, w swoim pokoju. Usłyszałem, że oddech Birdie przyśpiesza, podryguje jej noga. Szybko przyciągnąłem następne pudełko. W środku znalazłem paszporty: mój, mojej siostry i rodziców. Poczułem, jak rozpala się we mnie gniew. Nasze paszporty! Ten człowiek zabrał nasze paszporty! Ten akt wydawał mi się niemal większym złem niż zamknięcie nas w naszym własnym domu. Pozbawił innych ludzi paszportów, ich drogi ucieczki, szansy na przygodę, na poznawanie świata, na naukę, na życie w pełni – serce waliło mi jak oszalałe z wściekłości. Zauważyłem, że mój

paszport stracił ważność, a mojej siostrze zostało jeszcze sześć miesięcy. W tej chwili i tak były dla nas bezużyteczne.

David wymamrotał coś pod nosem.

Tymczasowe otępienie okazało się nieco zbyt tymczasowe, a nie byłem pewien, czy uda mi się jeszcze namówić ich na wypicie mojej „nowej herbatki”. Być może to była moja jedyna szansa, żeby poznać tajemnice kryjące się w tym pokoju.

Znalazłem opakowanie paracetamolu. Blister pastylek na kaszel. Paczkę prezerwatyw. A pod tym wszystkim także stertę pieniędzy. Przeciągnąłem palcami po brzegach, zaszeleściły przyjemnie. Mogło tam być z tysiąc dolarów, może nawet więcej. Wyciągnąłem kilka dziesięciofuntowych banknotów i schowałem je między dokumentami, które trzymałem w spodniach.

Birdie jęknęła.

David stęknął.

Wstałem, przyciskając mocno do brzucha testament ojca, piórniki i pięć banknotów.

Wyszedłem z pokoju na paluszkach i cicho zamknąłem za sobą drzwi.

Umysł Lucy pracuje na najwyższych obrotach. Nie potrafi skupić wzroku na rysach twarzy mężczyzny. Przez chwilę wygląda jej na jedną osobę, w następnej na inną. W końcu pyta go wprost, kim jest.

– Przecież wiesz, kim jestem – odpowiada.

Jego głos jest jednocześnie znajomy i obcy.

Stella podchodzi do matki i obejmuje jej nogę. Marco stoi obok, wyprostowany, z uniesioną głową.

Za to pies z radością przyjmuje pieszczoty mężczyzny, przewraca się na plecy i daje się głaskać po brzuchu.

– Dobry piesek, dobry. Kto jest dobrym pieskiem, no kto? – Mężczyzna podnosi wzrok na Lucy i palcem wskazującym poprawia okulary. – Strasznie chciałbym mieć psa, ale wiesz co? To niesprawiedliwe tak go zostawiać w domu na cały dzień, kiedy wychodzi się do pracy. Dlatego jakoś muszą mi wystarczyć koty. – Wzdycha, po czym prostuje się i obrzuca Lucy taksującym spojrzeniem. – A tak przy okazji, podoba mi się twój styl. Nigdy bym nie przypuszczał, że wyrośnie z ciebie, no wiesz, taka hipiska.

– Czy ty...? – Patrzy na niego zmrużonymi oczami.

– Nie powiem ci – odpowiada żartobliwie mężczyzna. – Musisz zgadnąć.

Lucy wzdycha. Jest taka zmęczona. Odbiła daleką podróż. Życie przerasta ją już od dawna, nic i nigdy nie przychodzi jej z łatwością.

Ani przez sekundę. Podjęła fatalne decyzje i skończyła w złych miejscach ze złymi ludźmi. Jest duchem i często czuje się duchem, zaledwie zarysem osoby, która może i kiedyś istniała, lecz została wykreślona przez życie.

I oto stała się matką, zabójczynią i nielegalną imigrantką, która włamała się do budynku. Jedyne, czego chce, to zobaczyć dziecko, żeby jej życie zatoczyło koło. Tylko że stoi przed nią ten mężczyzna, który być może jest jej bratem, ale jak mógłby być jej bratem i jednocześnie nim nie być? I dlaczego się go boi?

Podnosi na niego wzrok, widzi cień jego długich rzęs na policzkach. Phin, myśli sobie. To jest Phin. Potem jednak spogląda na jego dłonie: drobne i delikatne, z wąskimi nadgarstkami.

– Jesteś Henry, prawda?

CHELSEA, 1992

Po ogłoszeniu drugiej ciąży poszedłem do matki.

– Pozwoliłaś na to, by mężczyzna w twoim wieku uprawiał seks z twoją córką. To jest zwyczajnie chore.

Jej odpowiedź była krótka.

– To nie miało nic wspólnego ze mną. Wiem tylko tyle, że pojawi się dziecko i powinniśmy być z tego powodu bardzo szczęśliwi.

Nigdy wcześniej i nigdy później nie czułem się tak bardzo samotny. Nie miałem już matki i ojca. Nikt nas nie odwiedzał. Nikt nigdy nie dzwonił do drzwi. Telefon od wielu miesięcy był odłączony. Był taki moment, jakiś czas po tym, jak matka poroniła, kiedy ktoś przychodził pod dom i walił w drzwi przez pół godziny każdego dnia przez prawie tydzień. W tym czasie byliśmy trzymeni w pokojach. Później matka powiedziała, że to jej brat, wujek Karl. Lubilem wujka Karla, był tego rodzaju żywiołowym młodym wujkiem, który wrzuca dzieci do basenu i opowiada pikantne dowcipy, sprawiające, że dorośli cmokają z niezadowoleniem. Ostatni raz widzieliśmy go na ślubie w Hamburgu, kiedy miałem jakieś dziesięć lat. Tego dnia ubrał się w kwiecisty trzyczęściowy garnitur. Myśl, że stał pod naszymi drzwiami, a my go nie wpuściliśmy, była dla mnie kolejnym ciosem prosto w serce.

– Ale dlaczego? – zapytałem matkę. – Dlaczego mu nie otworzyliśmy?

– Bo nie rozumiałby naszych wyborów. Jest zbyt niepoważny i prowadzi życie pozbawione znaczenia.

Nic nie odpowiedziałem, bo nie było co odpowiadać. On by nie zrozumiał. Nikt by nie zrozumiał. Dobrze, że przynajmniej tyle potrafiła zauważyć.

Warzywa były dostarczane raz w tygodniu, zostawiane w kartonie pod drzwiami; gotówkę przekazywaliśmy w kopercie ukrytej przy wejściu. Raz czy dwa dostawcy zdarzało się nacisnąć dzwonek, mama otwierała skrzynkę na listy i mężczyzna mówił przez szparę: „Dzisiaj bez pasternaku, proszę pani, zamiast niego przywiozłem brukiew. Mam nadzieję, że tak jest okej?”. Matka uśmiechała się i odpowiadała: „Wszystko w porządku, bardzo dziękuję”. A kiedy odkryto ciała, ten dostawca zgłosił się na policję i powiedział, że to był zamknięty zakon, a moja matka była zakonnica. Ten przystanek na swojej trasie właśnie tak nazywał: zakonem. Nie miał pojęcia, że w domu mieszkali dzieci. Nie miał pojęcia, że mieszkał tam mężczyzna.

Byłem już wtedy bardzo samotny. Próbowałem na nowo zaprzyjaźnić się z Phinem (o ile kiedykolwiek naszą relację można było nazwać przyjaźnią), ale wciąż gniewał się na mnie za to, że zdradziłem go tamtej nocy, gdy wrzucił mnie do rzeki. I tak, ja z kolei powinienem być zły na niego, że mnie do niej wrzucił, ale braliśmy narkotyki, ja byłem wkurzający – rozumiałem, że byłem wkurzający – więc w pewnym sensie zasłużyłem sobie na to, żeby wylądować w rzece. Moja wściekłość krótko po miała więcej wspólnego ze zranionymi uczuciami niż wrażeniem, że naraził mnie na śmierć. No i zakochałem się w nim, a jak się człowiek zakocha, jest zdolny wybaczyć niemal wszystko. Tę cechę niestety przejawiam też w dorosłym życiu. Zawsze zakochuję się w ludziach, którzy mnie nienawidzą.

Pewnego popołudnia, krótko po ogłoszeniu ciąży mojej siostry, natknąłem się w kuchni na Clemency.

– Wiedziałaś? – zapytałem.

Trochę się zaczerwieniła, ponieważ oczywiście przez lata mało ze sobą rozmawialiśmy, a teraz poruszyłem temat tego, że jej najbliższa przyjaciółka uprawiała seks z jej ojcem.

– Nie. Nie miałam o niczym pojęcia – odparła.

– Ale jesteście tak blisko. Jak to możliwe, że nie wiedziałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Wydawało mi się, że tylko ćwiczą.

– Co o tym wszystkim myślisz?

– Myślę, że to obrzydliwe.

Pokiwałem z przekonaniem głową, jakbym chciał potwierdzić, że myślimy dokładnie to samo.

– Czy twój ojciec zrobił już kiedyś coś takiego?

– Coś takiego...?

– No, dzieci. Zapładniał już kiedyś kobiety?

– No nie. Tylko moją mamę – odrzekła cicho.

Powiedziałem jej, żeby przyszła do mojego pokoju, a ona przez chwilę wydawała się wystraszona, co mnie zabolowało, ale potem uznałem, że to dobrze. Dobrze jest wzbudzać strach, jeśli miałem pozbawić Davida władzy i wydostać nas wszystkich z tego domu.

Po powrocie do pokoju odsunąłem materac od ściany i wyjąłem rzeczy, które znalazłem w pokoju Davida i Birdie. Rozłożyłem je na podłodze i pokazałem Clemency. Wytłumaczyłem, skąd je wzięłem.

– Ale jak się tam dostałeś? – zapytała.

– Nie mogę ci powiedzieć.

Zauważyłem jej zmieszanie, gdy patrzyła na przedmioty.

– Twój piórnik?

– Tak. Mój piórnik. I mnóstwo innych rzeczy. – Opowiedziałem jej o jedwabnej bieliźnie, o whiskey, o stercie pieniędzy. A gdy to mówiłem, widać było, jak ją tym ranię. Zupełnie jak tamtego dnia, gdy powiedziałem Phinowi o tym, że widziałem jego ojca całującego się z Birdie. Zapomniałem, że rozmawiam z dzieckiem tego człowieka, że łączy ich głęboki szew materiału genetycznego, wspomnień, relacji, a ja to wszystko rozrywam swoimi słowami.

– Od samego początku nas okłamywał! – powiedziała, trąc oczy wierzchem dłoni. – Myślałam, że robimy to wszystko dla biednych ludzi! Nie rozumiem. Nie rozumiem!

Spojrzałem jej głęboko w oczy.

– To proste. Twój ojciec zabrał moim rodzicom wszystko, co wartościowe, a teraz chce dostać ich dom. Według prawa po śmierci rodziców ten dom ma być zarządzany przez fundusz powierniczy i przekazany mnie i mojej siostrze, gdy skończymy dwadzieścia pięć lat. Ale popatrz. – Wskazałem na testament, który wyciągnąłem z pudełka. Znajdował się na nim kodycył zapisany charakterem pisma Davida. Zgodnie z jego treścią, na wypadek śmierci moich rodziców dom ma zostać przekazany bezpośrednio Davidowi Sebastianowi Thomsenowi i jego spadkobiercom. Ten kodycył został podpisany przez moją matkę oraz Birdie jako świadka. Taki zapis nie miał najmniejszych szans w sądzie, jednak jasno wskazywał na intencje Davida.

– I chce zapewnić sobie prawa do domu poprzez dziecko.

Clemency przez chwilę milczała, po czym rzuciła:

– Co zrobimy?

– Jeszcze nie wiem – powiedziałem, pocierając brodę, jakbym miał tam zarost mędrca, ale oczywiście moja skóra była gładka. Zarost zapuściłem dopiero długo po dwudziestce, a i wtedy nie był zbyt imponujący. – Ale coś zrobimy na pewno.

Popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Okej.

– Tylko musisz mi obiecać, że to będzie nasza tajemnica – oznajmiłem twardo, wskazując na rzeczy, które wyniosłem z pokoju Davida i Birdie. – Nie mów nic swojemu bratu. Ani mojej siostrze. Nikomu nic nie mów. Dobra?

Pokiwała głową.

– Obiecuję. – Przez minutę milczała, a potem spojrzała na mnie i rzuciła jeszcze: – To nie pierwszy raz.

– Słucham?

Spuściła wzrok na kolana.

– Próbował zmusić swoją babcię do przepisania domu na niego. Kiedy miała już demencję. Wujek się o tym dowiedział i nas wyrzucił. To wtedy przeprowadziliśmy się do Francji. – Znowu na mnie popatrzyła. – Myślisz, że powinniśmy zgłosić to na policję? Powiedzieć im, co próbuje zrobić?

– Nie – odpartem od razu. – Nie, bo właściwie nie złamał jeszcze prawa, prawda? Musimy mieć jakiś plan. Musimy się stąd wydostać. Pomożesz mi?

Pokiwała głową.

– Zrobisz wszystko, co będzie trzeba?

Znowu przytaknęła.

Dotarliśmy do rozwidlenia drogi. Z perspektywy czasu dostrzegam, że było wiele innych sposobów na przetrwanie tamtej traumy, lecz gdy odwrócili się ode mnie wszyscy, których najbardziej kochałem, wybrałem najgorszą z możliwych dróg.

Dziesięć minut później Libby i Miller wychodzą z gabinetu Sally.

– Wszystko w porządku? – pyta ją Miller, gdy zderzają się z lejącym się z nieba żarem.

Udaje jej się uśmiechnąć, ale zaraz zdaje sobie sprawę z tego, że się rozplacze i nic na to nie poradzi.

– O Boże – rzuca Miller z przejęciem. – Biedactwo. Chodź, chodź.

Prowadzi ją na ciche podwórze i na ławkę w cieniu drzewa. Szuka czegoś w kieszeniach.

– Przepraszam, nie mam chusteczek.

– To nic, ja mam.

Wyciąga paczkę z torebki i Miller się uśmiecha.

– Tak właśnie myślałem, że taka osoba jak ty będzie miała przy sobie całą paczkę chusteczek.

Libby patrzy na niego.

– Co to w zasadzie ma znaczyć?

– To znaczy... To znaczy tylko tyle... – Jego twarz łagodnieje. – Nic poza tym, że jesteś bardzo zorganizowana. To wszystko.

Kiwa głową. Tyle akurat wie.

– Muszę być zorganizowana – odpowiada.

– A to dlaczego?

Libby wzrusza ramionami. Rozmawianie o sprawach osobistych nie leży w jej naturze. Jednak ze względu na to, co razem przeżyli w ciągu ostatnich dwóch dni, czuje, że nie będzie to już przekroczeniem jej granicy komfortu.

– To przez mamę. Moją przybraną mamę. Była trochę chaotyczna, właściwie nadal jest. Bardzo, bardzo kochana. Ale tata musiał ją trzymać w ryzach. Niestety zmarł, kiedy miałam osiem lat, a potem... Ciągle wszędzie się spóźniałam. W szkole nigdy nie miałam ze sobą wszystkiego, co trzeba. Nawet nie przekazywałam jej informacji od nauczycieli, bo to i tak nie miało sensu. Zarezerwowała nam wyjazd na wakacje w połowie moich egzaminów. Wyemigrowała do Hiszpanii, kiedy miałam osiemnaście lat. – Wzruszyła ramionami. – Dlatego musiałam być dorosła zamiast niej. Rozumiesz.

– Byłaś strażniczką chusteczek?

Libby wybucha śmiechem.

– Tak, strażniczką chusteczek. Pamiętam, jak kiedyś przewróciłam się na placu zabaw i zdarłam sobie łokieć, a mama, spanikowana, tylko przetrząsała całą zawartość torebki, żeby czymś otrzeć ranę, i taka inna mama podeszła z dokładnie tej samej wielkości torebką, otworzyła ją i wyjęła antybakteryjne chusteczki oraz plastry. A ja sobie wtedy pomyślałam: chcę być taką osobą z magiczną torbą. Rozumiesz.

– Naprawdę dobrze sobie radzisz – odpowiada Miller z uśmiechem. – Wiesz o tym, prawda?

Libby śmieje się nerwowo.

– Staram się. Najlepiej, jak potrafię.

Przez chwilę siedzą w ciszy. Ich kolana stykają się na moment i zaraz odskakują od siebie. Potem odzywa się Libby:

– No, to w sumie była strata czasu, prawda?

Miller posyła jej szelmowskie spojrzenie.

– Nie do końca. Tamta dziewczyna, Lola. To wnuczka Sally.

Libby wciąga gwałtownie powietrze.

– Skąd wiesz?

– Bo zobaczyłem na biurku Sally zdjęcie z młodszą kobietą trzymającą noworodka. A potem inne na ścianie, z Sally i młodą dziewczyną o blond włosach. I jeszcze dziecięcy obrazek oprawiony w ramkę, z podpisem „Kocham Cię, Babciu”. – Wzrusza ramionami.

– Połączyłem kropki i wyszła mi wnuczka. – Nachyla się do Libby i pokazuje jej coś na ekranie telefonu.

– Co to?

– List zaadresowany do Loli. Wystawał jej z torebki stojącej pod biurkiem. Wykonałem klasyczny manewr klękania do rozwiązanej sznurówki i gotowe.

Libby spogląda na niego z zachwytem.

– Ale dlaczego w ogóle przyszło ci do głowy, że...?

– Jestem dziennikarzem śledczym. Robię takie rzeczy zawodowo. A jeśli moja teoria się potwierdzi, Lola jest córką Clemency. Co oznacza, że Clemency mieszka w pobliżu. Z tego wynika, że ten adres – wskazuje ekran komórki – jest również jej adresem. Zdaje się, że właśnie znaleźliśmy drugiego zaginionego nastolatka.

Drzwi małego jednopiętrowego domu otwiera kobieta. U jej boku stoi dobrze wychowany golden retriever i macha leniwie ogonem. Kobieta ma lekką nadwagę; widać u niej niewielki brzuszek, ma długie nogi, do tego pulchne biodra. Jej włosy są bardzo ciemne i ścięte na boba, w uszach nosi złote kolczyki-koła. Ubrała się w niebieskie dżinsy i jasnoróżowy Iniany bezrękawnik.

– Tak?

– Dzień dobry. Clemency?

Kobieta kiwa głową.

– Nazywam się Miller Roe, a to jest Libby Jones. Właśnie rozmawialiśmy z twoją matką. W mieście. Wspominała, że mieszkacie niedaleko i...

Spogląda na Libby, mierzy ją wzrokiem.

– Wyglądasz... Czuję, że powinnam cię znać.

Libby pochyla głowę i pozwala, żeby to Miller czynił honory.

– To jest Serenity – oznajmia.

Clemency chwytą rękami framugę, ściska mocno. Na moment głowa odchyła jej się nieznacznie do tyłu i Libby wydaje się, że kobieta zemdleje. Lecz zaraz się ożywia, wyciąga rękę do Libby i mówi:

– Oczywiście! Oczywiście! Skończyłaś dwadzieścia pięć lat! Oczywiście. Powinnam była o tym pomyśleć... Powinnam była wiedzieć. Powinnam była domyślić się, że przyjedziesz. Mój Boże. Wejdźcie. Proszę, wejdźcie.

Dom w środku okazuje się piękny: drewniany parkiet, abstrakcyjne obrazy, wazony pełne kwiatów, promienie słońca przesączające się przez witraże.

Clemency wychodzi po wodę dla gości, a Libby głaszcze po głowie psa, który usiadł jej pod nogami. Jest parno i golden retriever dyszy, a jego oddech śmierdzi, ale Libby to nie przeszkadza.

Wraca gospodyni i siada naprzeciwko.

– Wow – mówi, wpatrując się w Libby. – Popatrz no! Taka piękna! Taka... prawdziwa.

Libby śmieje się nerwowo.

– Byłaś maleństwem, kiedy opuściłam tamten dom. Nie miałam żadnych zdjęć. Nie miałam pojęcia, gdzie się podziałaś, kto cię adoptował i jak ostatecznie wyglądało twoje życie. Nie potrafiłam sobie ciebie wyobrazić. Ani trochę. Widziałam tylko niemowlę. Niemowlę, które wyglądało jak lalka. Nie do końca rzeczywiste. No i... – Jej oczy napełniają się łzami, głos się łamie. – Tak strasznie mi

przykro. Jesteś...? Byłaś...? Czy w twoim życiu wszystko dobrze się ułożyło?

Libby kiwa głową. Myśli o matce, z mężczyzną, którego ta nazywa swoim żigolo (choć jest od niej tylko sześć lat młodszy), wyciągniętej na maleńkim tarasie swego mieszkania z jedną sypialnią w Dénii (nie ma tam pokoju dla Libby, gdy przyjeżdża w odwiedziny) w różowym kaftanie, która wyjaśnia przez Skype'a, że nie miała czasu zarezerwować lotu na urodziny Libby i kiedy wreszcie zajrzała do internetu, wszystkie tanie loty zostały już wykupione. Myśli o dniu, w którym pogrzebały ojca; trzymała dłoń matki, patrzyła w niebo i zastanawiała się, czy dotarł tam bezpiecznie, czy nie, martwiła się, jak teraz będzie dojeżdżać do szkoły, skoro matka nie miała prawa jazdy.

– Tak, zostałam adoptowana przez parę wspaniałych ludzi. Miałam ogromne szczęście.

Clemency rozpromienia się.

– Więc gdzie teraz mieszkasz?

– W St Albans.

– Ach, to miło. A wyszłaś za męża? Masz jakieś dzieci?

– Nie. Jestem tylko ja. Bez faceta, bez dzieci, bez zwierząt. Zajmuję się sprzedawaniem designerskich kuchni. Jestem bardzo... Cóż, właściwie nie ma o czym mówić. A przynajmniej nie było do czasu, kiedy...

– Tak – odzywa się Clemency. – Tak, domyślam się, że to wszystko było dla ciebie szokiem.

– Delikatnie mówiąc.

– A jak dużo wiesz? – pyta ostrożnie. – O domu. O wszystkim.

– Cóż – zaczyna Libby – to trochę skomplikowane. Po pierwsze, rodzice zawsze powtarzali mi, że moi biologiczni rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałam dziesięć miesięcy. Po drugie, przeczytałam artykuł Millera, według którego moi rodzice byli członkami sekty i zabili się w samobójczym pakcie, a mną opiekowali

się Cyganie. No i jeszcze dwa dni temu byliśmy w tamtym domu, przy Cheyne Walk, i pojawił się tam taki jeden facet. Było już bardzo późno. Powiedział nam... – Robi pauzę. – Powiedział, że nazywa się Phin.

Clemency otwiera szeroko oczy i wydaje zduszony okrzyk.

– Phin?

Libby kiwa niepewnie głową.

W oczach kobiety stają łzy.

– Jesteś pewna? Jesteś pewna, że to był Phin?

– No, tak się przedstawił. Powiedział, że jesteś jego siostrą. Że od lat nie widział ani ciebie, ani swojej matki.

Clemency kręci głową.

– Ale był taki chory, kiedy zostawiłam go w tamtym domu. Strasznie chory. Wszędzie go z mamą szukałyśmy. Wszędzie. Latami. Poszłyśmy do każdego szpitala w Londynie. Kręciłyśmy się po parkach, przyglądając się bezdomnym. Czekaliśmy i czekałyśmy, licząc, że nagle zapuka do naszych drzwi. Nigdy tak się nie stało i w końcu... cóż, uznałyśmy, że musiał umrzeć. Bo inaczej by nas znalazł, prawda? Dlaczego miałby nas nie szukać, gdyby żył? – Milknie na moment. – Jesteś absolutnie pewna, że to był Phin? – pyta jeszcze raz. – Powiedz mi, jak wyglądał.

Libby opisuje okulary w rogowej oprawce, jasne włosy, długie rzęsy, pełne usta.

Clemency kiwa głową.

A potem Libby opowiada jej o luksusowym apartamencie, o kotach perskich. Powtarza dowcip o kocie imieniem Dick, a Clemency kręci głową.

– Nie, to zupełnie nie w stylu Phina. Ani trochę. – Robi pauzę, wodzi oczami po pokoju, zastanawiając się. – Wiesz, co myślę? – odzywa się w końcu. – Moim zdaniem to może być Henry.

– Henry?

– Tak. Był zakochany w Phinie. Zupełnie bez wzajemności. Właściwie miał na jego punkcie obsesję. Bez przerwy się na niego gapił. Ubierał się jak on. Kopiował jego fryzurę. Raz nawet próbował go zabić. Wepchnął go do rzeki. Przytrzymał go pod wodą. Całe szczęście Phin był silniejszy od Henry'ego i zdołał się uwolnić. A wiedziałaś, że Henry zabił kotkę należącą do Birdie?

– Słucham?

– Otruł ją. Obciął jej ogon. Resztę ciała wyrzucił do rzeki. Można powiedzieć, że znaki pojawiały się od samego początku. Potwornie jest mówić takie rzeczy o dziecku, naprawdę, ale moim zdaniem w Henrym czaiło się zło.

CHELSEA, 1993

Nie zabiłem kotki Birdie. Oczywiście, że nie. Ale tak, zdechła przeze mnie.

Pracowałem nad czymś z wykorzystaniem wilczej jagody, to była kolejna mikstura usypiająca, coś nieco mocniejszego niż tamta, którą podałem Davidowi i Birdie, by dostać się do ich pokoju. Coś, co spowodowałoby odrobinę dłuższe otępienie. Sprawdziłem ją na kotce, rozumując, że jeśli nie zaszkodzi kotu, prawdopodobnie będzie bezpieczna dla ludzi. Niestety zaszkodziła. Miałem nauczkę i następną miksturę zrobiłem znacznie, znacznie słabszą.

A jeśli chodzi o koci ogon, cóż, „obciął ogon” brzmi okrutnie. Ja go zabrałem. Był piękny, miękki, z cudownym umaszczeniem. A w tamtym czasie, pamiętajcie, nie miałem nic miękkiego, wszystko mi odebrano. Kotka już nie potrzebowała ogona, więc jej go zabrałem. I nie, nie wrzuciłem kota do Tamizy, to bzdury. Jak niby miałem to zrobić, skoro nie mogłem wychodzić z domu? Tak się składa, że zwierzę do dzisiaj spoczywa w moim ogródku z ziołami.

Za to w kwestii oskarżenia, że to ja pchnąłem Phina do rzeki, a nie on mnie, cóż, to kategorycznie nieprawda. Za to może być prawdą fakt, że Phin pchnął mnie w trakcie szamotaniny po tym, jak ja próbowałem pchnąć jego. Tak, coś takiego mogło się wydarzyć. Powiedział, że się na niego gapię, a ja rzuciłem:

– Gapię się na ciebie, bo jesteś piękny.

– Dziwnie się zachowujesz. Dlaczego ciągle musisz się tak dziwnie zachowywać.

– Nie wiesz, Phin? Nie wiesz, że cię Kocham?

(Zanim mnie zbyt ostro ocenicie, pamiętajcie, że wziąłem LSD. Nie byłem do końca sobą).

– Przestań – rzucił zażenowany Phin.

– Proszę, bardzo cię proszę. Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia... – Po tych słowach próbowałem go pocałować. Moje usta otarły się o jego usta i myślałem, że odwzajemni pocałunek. Wciąż pamiętam tamten szok, jego miękkie wargi, oddech, który przedostał się do moich ust.

Przyłożyłem dłoń do jego policzka i w tym samym momencie odsunął się ode mnie i spojrzał z tak nieskrywanym obrzydzeniem, że poczułem się, jakby mi wbił miecz prosto w serce.

Popchnął mnie i aż zatoczyłem się do tyłu. Dlatego też go popchnąłem, a wtedy on popchnął mnie i ja go popchnąłem, a on mnie i wpadłem do rzeki, ale wiem, że nie wrzucił mnie do niej celowo. I dlatego tym gorzej się stało, gdy naskarżyłem na niego Davidowi, pozwalając, by został zamknięty w pokoju przez tyle dni, i nikomu nie powiedziałem, że to był tylko wypadek. On też nigdy nikomu tego nie powiedział, ponieważ w ten sposób musiałby przyznać, że go pocałowałem. A, cóż, najwyraźniej nie było gorszego wyznania niż to.

CHELSEA, 1993

Pewnego letniego wieczoru, mniej więcej w połowie czerwca, usłyszałem muczenie siostry.

Nie dało się tego inaczej określić.

Brzmiała zupełnie jak krowa.

Trwało to jakiś czas. Znajdowała się w pokoju gościnnym, który został dla niej specjalnie przygotowany. Ja i Clemency zostaliśmy przegonieni spod drzwi i nakazano nam siedzenie w swoich pokojach do czasu, aż nas nie wezwą.

Muczenie trwało godzinami.

A potem, jakieś dziesięć minut po północy, dało się słyszeć płacz dziecka.

Tak, to byłaś ty.

Serenity Love Lamb. Córka Lucy Amandy Lamb (lat czternaście) i Davida Sebastiana Thomsena (lat czterdzieści jeden).

Pozwolili mi cię zobaczyć dopiero później tego samego dnia i muszę przyznać, że całkiem mi się spodobałaś. Miałaś twarz jak mała foczka. I patrzyłaś na mnie bez mrugania w taki sposób, że wreszcie poczułem się dostrzeżony. Już od dawna się tak nie czułem. Dałem ci potrzytać palec w drobnej rączce, co okazało się dziwnie przyjemne. Zawsze mi się wydawało, że nienawidzę niemowląt, ale może to nie była prawda.

A potem, po kilku dniach, zostałam odebrana mojej siostrze i przeniesiona do pokoju Davida i Birdie. Lucy została zaprowadzona na górę i umieszczona w pokoju, który dzieliła wcześniej z Clemency. Nocami słyszałam twój płacz dobiegający z dołu i mojej siostry – z pokoju obok. Prowadzili ją tam w ciągu dnia, żeby ściągać jej mleko jakimś urządzeniem wyglądającym jak wprost ze średniowiecza, a następnie przelewać to do równie średniowiecznych butelek. Po wszystkim kazano jej wracać do pokoju.

I tak oto znowu wszystko się zmieniło: granice między nimi i nami nieznacznie się przesunęły i moja siostra znowu stała się jedną z nas. Ten ostateczny akt okrucieństwa nas zjednoczył.

Lucy robi krok w jego stronę.

To jej brat.

Jej starszy brat.

Teraz to dostrzega.

Spogląda mu głęboko w oczy i mówi:

– Gdzie się podziewałeś, Henry? Gdzieś ty był tyle czasu?

– Och, no wiesz, tu i tam.

Zaczyna ją zalewać gniew. Przez tyle lat była zupełnie sama. Tyle lat nie miała nikogo. A tu, proszę, Henry, wysoki, przystojny, wygadany, o młodzieńczym wyglądzie.

Bije go pięściami w pierś.

– Zostawiłeś ją! – ryczy. – Zostawiłeś ją! Zostawiłeś niemowlę!

Henry chwyta jej dłonie i mówi:

– Nie! To ty odeszłaś! Ty! To ja zostałem. Tylko ja! Pytasz, gdzie byłem? A gdzie ty się podziewałaś, do cholery?

– Ja... – zaczyna, lecz zaraz rozprostowuje palce i spuszcza ręce wzdłuż boków. – Byłam w piekle.

Na chwilę zapada cisza. Potem Lucy cofa się i przywołuje syna.

– Marco, poznaj Henry'ego. To twój wujek. Henry, to mój syn. Marco. A to Stella, moja córka.

Chłopiec patrzy na matkę, na Henry'ego i znowu na matkę.

– Nie rozumiem. Co to ma wspólnego z dzieckiem?

– Henry był... – zaczyna Lucy. Wzdycha i próbuje jeszcze raz. – Niemowlę mieszkało z nami wszystkimi, kiedy sami byliśmy jeszcze dziećmi. Musieliśmy ją tutaj zostawić, ponieważ... cóż, ponieważ musieliśmy. A Henry pojawił się, podobnie jak ja, żeby zobaczyć kobietę, która wyrosła z dziecka.

Henry chrząka.

Lucy spogląda na niego.

– Już ją widziałem. Poznałem Serenity. Była tutaj, w tym domu.

Lucy wydaje cichy, zduszony okrzyk.

– O mój Boże. Wszystko z nią dobrze?

– Owszem. Jest cała i zdrowa, do tego śliczna jak z obrazka.

– Ale gdzie teraz jest? – dopytuje Lucy.

– Cóż, w tej chwili jest z naszą starą przyjaciółką, Clemency.

Lucy wciąga gwałtownie powietrze.

– Clemency! O mój Boże. Gdzie jest Clemency? Gdzie mieszka?

– Zdaje się, że w Kornwalii. Popatrz na to. – Henry włącza telefon i pokazuje jej migoczącą kropkę na mapie. – To Serenity – mówi, wskazując na kropkę. – Maisie Way dwanaście w Pentreath w Kornwalii. Zainstalowałem małe urządzenie namierzające w jej komórce. Żebyśmy już nie stracili jej z oczu.

– Ale skąd wiesz, że tam jest Clemency?

– Aha – rzuca Henry, zamykając aplikację pokazującą lokalizację Serenity, po czym uruchamia jakąś inną.

Zwiększa głośność i nagle słychać cichą rozmowę dwóch kobiet.

– To ona? To Serenity? – pyta Lucy.

Henry nasłuchuje.

– Tak, zdaje się, że to ona – odpowiada, jeszcze bardziej zwiększając głośność.

Pojawia się inny głos.

– A to jest Clemency. Słuchaj.

Clemency poprosiła Millera, żeby zostawił je same. Chce opowiedzieć Libby tę historię w cztery oczy. Dlatego Miller zabiera psa na spacer, a Clemency chowa długie nogi pod siebie na sofie i zaczyna swoją opowieść.

– Planowaliśmy uratować dziecko. Henry miał uśpić dorosłych specjalną herbatką, a naszym zadaniem było ukraść buty, które leżały w pudełkach w pokoju Davida i Birdie, ukraść jakieś normalne ubrania, zabrać pieniądze i dziecko, a potem jeszcze klucz z sakiewki mojego ojca i na koniec wybiec na ulicę, zatrzymać policjanta albo jakiegoś budzącego zaufanie dorosłego, żeby powiedzieć, że w domu są ludzie, którzy latami nas więzili. Później mieliśmy w jakiś sposób dotrzeć tutaj, do mojej matki. Jeszcze nie bardzo wiedzieliśmy, jak się z nią skontaktować. Może znaleźlibyśmy budkę telefoniczną, zadzwonili na jej koszt? – Clemency uśmiecha się cierpko. – Jak widzisz, nie do końca to wszystko przemyśleliśmy. Zwyczajnie chcieliśmy stamtąd uciec i tyle. A potem pewnego dnia David oznajmił, że organizuje imprezę z okazji trzydziestych urodzin Birdie. Henry wezwał nas do swojego pokoju. Na tamtym etapie stał się kimś w rodzaju naszego nieoficjalnego lidera. I oznajmił, że zrobimy to właśnie wtedy, w czasie przyjęcia urodzinowego Birdie. Miał zaproponować, że przygotuje jedzenie. Poprosił, żebym mu uszyła małą pochewkę, by mógł włożyć ją sobie w spodnie

i schować w niej buteleczki z miksturą usypiającą. A później mieliśmy wszyscy udawać bardzo rozentuzjasmowanych urodzinami Birdie. Razem z Lucy nauczyłyśmy się nawet jednego utworu na skrzypcach.

– A Phin? – pyta Libby. – Gdzie w tym wszystkim był Phin?

Clemency wzdycha.

– Phin generalnie trzymał się z dala od reszty domowników. A Henry nie chciał go angażować. Ci dwaj... – Wzdycha. – Mieli w zasadzie toksyczne relacje. Henry zakochał się w Phinie, ale Phin go nienawidził. No i, oczywiście, Phin był chory.

– Co było nie tak?

– Właściwie nigdy się nie dowiedzieliśmy. Zastanawiałam się, czy może dostał raka albo coś. To dlatego zawsze myślałyśmy z mamą, że umarł. Nieważne, w dniu przyjęcia byliśmy podenerwowani. Wszyscy troje. Mimo to udawaliśmy, że ekscytujemy się tą głupią imprezą. I pod pewnymi względami oczywiście byliśmy podekscytowani. To przyjęcie było naszą przepustką do wolności. Na drugim końcu leżało normalne życie. A przynajmniej inne życie. Dlatego zagrałyśmy na skrzypcach dla Birdie, odwracając uwagę dorosłych, a w tym czasie Henry przygotowywał jedzenie. To było takie dziwne, ten kontrast między moim ojcem i Birdie a całą resztą domowników. Wiesz, my wszyscy wyglądaliśmy na chorych. Tymczasem tamtych dwoje promieniało witalnością i szczęściem. Mój tata siedział, obejmując ją ramieniem, na jego twarzy malował się wyraz całkowitej dominacji.

Clemency ugniata poduszkę na swoich kolanach. Patrzy surowym, pełnym napięcia wzrokiem.

– To było tak, jakby „pozwolił” tej kobiecie na celebrację urodzin – ciągnie. – Jakby wykazał się szczodrością z głębi serca, jakby myślał sobie: patrzcie na szczęście, które stworzyłem. Patrzcie, mogę robić, co tylko zechcę, a ludzie nadal mnie kochają.

Głos jej się zaczyna łamać i Libby delikatnie dotyka jej kolana.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Clemency kiwa głową.

– Nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiłam. Ani matce, ani mężowi, ani córce. To trudne. No wiesz, rozmawianie o moim ojcu. O tym, jakim był człowiekiem. I co się z nim stało. Bo mimo wszystko był moim ojcem. I kochałam go.

Libby tym razem ostrożnie ujmuje jej łokieć.

– Jesteś pewna, że możesz kontynuować?

Clemency potakuje i prostuje się.

– Normalnie stawialiśmy naczynia na środku stołu i każdy sam sobie nakładał, ale tamtego wieczoru Henry powiedział, że chce podać każdemu jego porcję, jak w restauracji. W ten sposób mógł mieć pewność, że każdy dostanie właściwy talerz. Potem mój tata wznosił toast, mówiąc: „Wiem, że życie nie zawsze było dla nas takie łatwe, zwłaszcza dla tych, którzy doświadczyli żałoby. Wiem, że czasami musi być trudno trwać w wierze, ale niech o naszym szczęściu świadczy to, że jesteśmy tutaj, po tylu latach, wciąż jako rodzina, a nawet powiększająca się rodzina”. Przy ostatnich słowach dotknął czubka twojej głowy, a potem odwrócił się do Birdie i dodał...

– Clemency robi pauzę, wciąga głęboko powietrze. – Dodał: „Moja kochana, moja jedyna, matko mojego dziecka, mój aniele, sensie mojego życia, moja bogini. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, skarbie. Bez ciebie niczego bym nie osiągnął”. I pocałował ją; to był długi, mokry i głośny pocałunek, a ja pomyślałam sobie wtedy... – Milknie na moment i spogląda smutno na Libby. – Pomyślałam sobie: „Mam nadzieję, że oboje zginiecie”. Mikstura zaczęła działać po mniej więcej dwudziestu minutach. Jeszcze trzy albo cztery i wszyscy dorośli byli nieprzytomni. Lucy zabrała cię z kolan Birdie i zaczęliśmy działać. Henry powiedział, że mamy dwadzieścia minut, najwyżej pół godziny, a potem efekt ustanie. Położyliśmy dorosłych na podłodze i przeszukaliśmy tunikę ojca, żeby znaleźć skórzaną sakiewkę. Poszliśmy na górę, sprawdziliśmy

wszystkie klucze po kolei, aż w końcu udało mi się namierzyć ten, który otwierał drzwi do pokoju Davida i Birdie. Boże, to było szokujące. Henry powiedział nam wcześniej, czego się spodziewać, ale co innego zobaczyć to na własne oczy. Były tam sterty resztek pięknych rzeczy Henry'ego i Martiny, antyki, perfumy, kosmetyki, biżuteria, alkohol. Pamiętam słowa Henry'ego: „Patrzcie. Patrzcie na to wszystko. A nam nie zostawili nic. To jest zło. Patrzcie na czyste zło”. Minęło pięć minut z szacowanych trzydziestu. Znalazłam pieluszki, śpioszki, butelki. Potem zdałam sobie sprawę, że stoi za mną Phin. Rzuciłam do niego: „Szybko! Znajdź jakieś ubrania. Musisz się ogrzać. Na zewnątrz jest zimno”. A on na to: „Chyba nie dam rady. Jestem zbyt słaby”. „Ale nie możemy cię tu zostawić”, odparłam. Phin powtarzał tylko, że nie da rady. Minęło już prawie dziesięć minut, więc nie mogliśmy poświęcić więcej czasu na przekonywanie go. Patrzyłam, jak Henry wrzuca pieniądze do torebki. Zapytałam, czy nie powinniśmy zostawić tego jako dowodów dla policji, ale on stwierdził, że są jego i nie zamierza ich zostawić. Ty się rozplakałaś, wrzeszczałaś wniebogłosy. Henry mówił: „Weź ją ucisz! Na Boga!”. No i wtedy usłyszeliśmy odgłosy kroków na schodach za naszymi plecami. Sekundę później otworzyły się drzwi i w progu pojawiła się Birdie. Wyglądała jak kompletna wariatka, ledwo trzymała się na nogach. Zataczając się, wpadła do pokoju, wyciągnęła ręce w stronę Lucy i zaczęła wrzeszczeć: „Oddaj moje dziecko! Oddaj moje dziecko!”.

Clemency popatrzyła na Libby.

– I skoczyła. Prosto na ciebie. Henry tracił kontrolę nad sytuacją. Krzyczał tylko na wszystkich. Phin stał i wyglądał, jakby miał zaraz stracić przytomność. A ja po prostu zamarłam, naprawdę. Bo pomyślałam, że jeśli Birdie odzyskała przytomność, wszyscy inni też już się obudzili. Mój ojciec również. Wydawało mi się, że zaraz się pojawią na górze i już do końca życia będziemy siedzieć zamknięci w pokojach. Serce waliło mi jak oszałałe. Byłam przerażona.

A potem, sama nie wiem, wciąż nie jestem do końca pewna, co się właściwie wydarzyło, ale Birdie nagle znalazła się na podłodze. Leżała i z kącika oka jakby ciekła jej krew. Krwawe łzy. A jej włosy, o tutaj – Clemency wskazuje miejsce tuż nad uchem – były ciemne i lepkie. Spojrzałam na Henry’ego, a on trzymał w ręku cios.

Libby obrzuca ją pytającym spojrzeniem.

– To był cios słonia. Albo róg jelenia. Coś takiego.

Libby myśli o teledysku, który pokazał im Phin. Myśli o wypchanych głowach zwierząt, które wisały na ścianach, o lisach upozowanych jak żywe, stojących na mahoniowych biurkach.

– I był zakrwawiony, było widać na nim smugę krwi. Henry go trzymał, a my wszyscy wstrzymaliśmy oddech. Na kilka długich sekund. Nawet ty. Panowała zupełna cisza. Nasłuchiwałam, czy inni się zbliżają. Nasłuchiwałam oddechu Birdie. Wcześniej oddychała ciężko, teraz zupełnie przestała. Z jej włosów ściekała cieniutka strużka krwi, spływała na skroń, do oka... – Clemency pokazuje to na swojej własnej twarzy opuszką palca. – Zapytałam, czy nie żyje, a Henry kazał mi się zamknąć i dać mu pomyśleć. Chciałam sprawdzić jej puls, ale Henry mnie popchnął. Tak mocno, że upadłam do tyłu. Wrzeszczał: „Zostaw ją! Zostaw ją!”. W końcu poszedł na dół, każąc nam zostać na górze. Popatrzyłam na Phina. Był cały spocony i wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. Zaprowadziłam go na łóżko. Wtedy wrócił Henry. Był blady na twarzy. Powiedział: „Coś się stało. Coś poszło nie tak. Nie rozumiem. Oni wszyscy nie żyją. Wszyscy”.

Przy ostatnich słowach Clemency wciąga gwałtownie powietrze. W jej oczach pojawiają się łzy, przykładła dłoń do ust.

– Wszyscy. Mój ojciec, rodzicie Henry’ego. Umarli. A Henry ciągle powtarzał, że nic nie rozumie, że prawie nic im nie dał, że tylko trochę, że taka dawka nawet kota by nie zabiła. I nagle cała ta wspaniała misja ratunkowa, ten cały spisek, który miał przywrócić nam wolność, stał się pułapką. Jak mieliśmy teraz wybiec na ulicę

w poszukiwaniu przyjaznego policjanta? Zabiliśmy czworo ludzi. Czworo ludzi.

Clemency robi sobie przerwę na złapanie oddechu. Libby zauważa, jak trzęsą się jej ręce.

– I jeszcze musieliśmy się przez ten czas opiekować dzieckiem. To wszystko było... Boże, możemy wyjść do ogrodu? Muszę zapalić.

– Oczywiście, żaden problem – mówi Libby.

W ogrodzie Clemency stoją rattanowe meble, rabaty wysypane są łupkiem. Jest już późny poranek i słońce zbliża się do zenitu, jednak za domem wciąż jest chłodny cień. Clemency wyciąga paczkę papierosów z szuflady stolika kawowego.

– To mój sekretny zapas – tłumaczy.

Na boku opakowania widać zdjęcie człowieka chorego na raka ust. Libby nie może na to patrzeć. Dlaczego ludzie palą? Chociaż wiedzą, że to może ich zabić? Jej matka pali. Nazywa papierosy „swoimi chłopakami”. „Gdzie są moje chłopaki?”

Patrzy, jak Clemency przykłada zapalnik do papierosa, wciąga powietrze, wypuszcza dym. Jej dłonie od razu przestają drżeć.

– To na czym skończyłam?

CHELSEA, 1994

Wiem, że to brzmi jak absolutna katastrofa. Oczywiście. Każda sytuacja, w której pojawiają się cztery trupy, jest daleka od idealnej.

Jednak najwyraźniej nikomu nie przyszło do głowy, że beze mnie, Chryste Wszchemogący, być może ciągle byśmy tam tkwili, jako chodzące szkielety w średnim wieku, przegapiwszy większość naszego życia. Albo już byśmy nie żyli. Tak, nie zapominajmy o tym, że mogliśmy wszyscy już nie żyć. Tak, zgadzam się, że nie wszystko poszło zgodnie z planem, ale w końcu się stamtąd wydostaliśmy. Wydostaliśmy się. Poza tym nikt inny nie miał planu, prawda? Nikt inny nie był gotowy przejąć steru. Krytykować jest łatwo. Nie jest łatwo być liderem.

Nie tylko musiałem się zająć problemem w postaci czterech ciał, niemowlęcia i dwóch nastolatków, ale też Phinem. Tylko że Phin zachowywał się jak w delirium i wydawało się, że może nam tylko zaszkodzić, więc żeby ułatwić sprawę, zamknąłem go w pokoju.

Tak, wiem. Ale potrzebowałem tego, żeby się zastanowić.

Słyszeliśmy zawodzącego na górze Phina. Dziewczyny chciały do niego iść, lecz powiedziałem: „Nie, zostańcie tutaj. Musimy współpracować. Nigdzie nie idźcie”.

Naszym priorytetem było zajęcie się Birdie. Przedziwnie było na nią teraz patrzeć, taką drobną i pokonaną, choć tak długo

sprawowała kontrolę nad naszym życiem. Miała na sobie bluzkę, którą Clemency uszyła jej na urodziny, a także łańcuszek od Davida. Długie włosy związała w kok. Jej jasne oczy wpatrywały się w ścianę. Jedno było żywoczerwone. Stopy miała gołe i kościste, paznokcie trochę zbyt długie i pożółkłe. Odpiąłem jej łańcuszek i włożyłem go do kieszeni.

Clemency rozplakała się.

– To takie smutne. Takie smutne! Ona jest czyjąś córką! A teraz nie żyje!

– To nie jest ani trochę smutne – wypaliłem ostro. – Zasłużyła na śmierć.

We dwoje zanieśliśmy ją na strych, a potem na dach. Była bardzo lekka. Po drugiej stronie dachu, gdzie kiedyś siedziałem i trzymałem Phina za rękę, znajdowała się swego rodzaju rynna. W środku było pełno suchych liści. Prowadziła do orywnowania ciągnącego się wzdłuż boku budynku. Owinęliśmy Birdie ręcznikami i pościelą, a później wepchnęliśmy tam. Na koniec przykryliśmy ją jeszcze naręczami liści i kawałkami starego rusztowania, które znaleźliśmy na dachu.

Po powrocie do kuchni stałem i gapiłem się na trzy ciała. Nie mogłem pozwolić sobie na rozmyślanie o tej sytuacji. Zabiłem własnych rodziców. Swoją piękną, głupią matkę i biednego, złamanego przez życie ojca. Musiałem nabrać dystansu do faktu, że przeze mnie matka już nigdy nie przeczesze palcami moich włosów i nie nazwie mnie swoim ślicznym chłopcem, że już nigdy nie usiądę z ojcem w klubie, popijając w milczeniu lemoniadę. Nie będzie już rodzinnych spotkań przy świątecznym stole, moje potencjalne dzieci nigdy nie poznają dziadków, nie musiałem się martwić o nich, a oni o mnie. Zostałem sierotą. Sierotą i nieumyślnym mordercą.

Mimo to nie spanikowałem. Zapanowałem nad emocjami i popatrzyłem na trzy ciała rozciągnięte na podłodze w kuchni. Pomyślałem sobie: wyglądają jak członkowie sekty. Pomyślałem:

ktokolwiek tu wejdzie, zobaczy ich w tych identycznych czarnych tunikach i uzna, że sami się zabili.

Wtedy stało się dla mnie jasne, co powinienem zrobić. Powinienem zainscenizować samobójczy pakt. Przygotowaliśmy scenografię tak, by mniej przypominała „frywolne przyjęcie z okazji trzydziestych urodzin”, a bardziej „bardzo poważną ostatnią wieczerzę”. Pozbyliśmy się niepotrzebnych talerzy. Pomyliśmy wszystkie garnki i patelnie, wyrzuciliśmy stare jedzenie. Ułożyliśmy ciała tak, żeby leżały w tym samym kierunku. Przycisnąłem fiołki do ich opuszek palców i odłożyłem na stół, po jednej przy miejscu zajęтым przez każde z nich, jakby zażyli truciznę jednocześnie.

Nie rozmawialiśmy w tym czasie.

Te preparacje wydawały się dziwnie święte.

Pocałowałem matkę w policzek. Była bardzo zimna.

Pocałowałem ojca w czoło.

A potem popatrzyłem na Davida. Oto leżał człowiek, który, zgodnie z przewidywaniami Phina sprzed wielu miesięcy, zrujnował moje życie. Człowiek, który nas zniszczył, pogwałcił, odmawiał nam jedzenia i wolności, zabrał nam paszporty, zapłodnił moją matkę i siostrę, próbował odebrać nam dom. Zakończyłem jego żalosny żywot i poczułem się zwycięzcą. Ale towarzyszyło mi też fatalne obrzydzenie.

Spójrz na siebie, chciałem powiedzieć, popatrz tylko, jakim się okazałeś absolutnym zerem.

Miałem ochotę zbutować mu twarz i zmienić ją w krwawą miazgę, lecz powstrzymałem się i wróciłem do pokoju Davida i Birdie.

Posprzątaaliśmy wszystkie pudła. W jednym z nich znaleźliśmy zbiór głupich worków na sznurkach, które Birdie uszyła kiedyś, żeby sprzedać je na Camden Market, i napełniliśmy je tyloma rzeczami, ile tylko się zmieściło. Znaleźliśmy prawie siedem tysięcy funtów

w gotówce i podzieliliśmy na cztery. Natrafiliśmy też na biżuterię matki i należące do ojca złote spinki do mankietów, platynowe fiszbiny do kołnierzyków oraz całą skrzynkę whiskey. Wylaliśmy zawartość do zlewu, a puste butelki dostawiliśmy do butelki po szampanie przy drzwiach frontowych. Biżuterię pochowaliśmy do naszych toreb. Na koniec zgnetliśmy pudła i ułożyliśmy na stercie.

Kiedy już pozbyliśmy się z domu wszystkiego, co mogłoby podważyć wersję o sekcie, wyszliśmy cichaczem, przez główne drzwi, i ruszyliśmy nad rzekę. Był wczesny poranek, pewnie koło trzeciej. Przejechało kilka samochodów, ale nikt nie zwrócił na nas uwagi. Stanęliśmy na brzegu, dokładnie w tym samym miejscu, w którym szamotaliśmy się z Phinem lata wcześniej, gdzie wylądowałem pod wodą i zobaczyłem widma w mrocznej toni. Byłem na tyle spokojny, by rozkoszować się pierwszymi chwilami wolności od dwóch lat. Po wyrzuceniu pustych butelek, jedwabnej bielizny, perfum i sukni wieczorowych – wszystko wylądowało w rzece, w obciążonych kamieniami torbach – staliśmy przez chwilę w milczeniu i słyszałem tylko nasze oddechy, a piękno i spokój tamtego momentu przesłoniły horror, jakiego doświadczyliśmy. Powietrze nad czarną stałą powierzchnią rzeki było gęste od oparów benzyny i energii życiowej. Pachniało wszystkim tym, czego brakowało nam, odkąd David Thomsen pojawił się w naszym domu, odkąd razem ze swoją rodziną zamieszkali na piętrze.

– Czujecie to? Udało nam się. Naprawdę nam się udało – powiedziałem do dziewczyn.

Clemency płakała cicho. Pociągała nosem i ocierała sam jego czubek wierzchem dłoni. Ale widziałem, że Lucy czuła to samo; czuła, że dokonaliśmy czegoś wielkiego.

Gdyby nie ty, Serenity, nie znalazłaby w sobie tyle siły. Oplakiwałaby mamusię, smarkała w dłoń jak Clemency. Ale ponieważ urodziła ciebie, wiedziała, że w grę wchodzi coś więcej niż

nasza chęć bycia kochanymi dziećmi kochanych rodziców. Była dzielna, niemal buntownicza w tym, jak trzymała uniesioną brodę. Czułem dumę.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem jej. – Wiesz o tym, prawda?

Pokiwała głową i staliśmy tam jeszcze przez minutę albo dwie, aż zobaczyliśmy światła łodzi holowniczej, która płynęła ku nam. Popędziliśmy natychmiast z powrotem na drugą stronę ulicy i w kierunku domu.

I wtedy to się stało.

Clemency uciekła.

Nie miała butów. Tylko skarpetki. Urosły jej duże stopy i buty mojej matki, które Birdie zatrzymała, okazały się dla niej o wiele za małe, a te należące do Davida – za duże.

Przez chwilę patrzyłem, jak biegnie. Pozwoliłem sobie na sekundę lub dwie niezdecydowania i bezruchu, a potem wyszeptałem do Lucy:

– Wracaj do domu, wracaj do domu.

Sam odwróciłem się na pięcie i pobiegłem.

Szybko jednak zdałem sobie sprawę, że w ten sposób zwracam na siebie uwagę. Ulicą szło kilka zbłąkanych dusz; była czwartkowa noc, młodzi ludzie wracali z nocnych autobusów na King's Road. Jak mogłem wytłumaczyć swoje poczynania? Byłem ubrany w czarną tunikę i gonilem przerażoną dziewczynkę, która również była w czarnej tunice, do tego bosa.

Zatrzymałem się na rogu Beaufort Street. Już bardzo dawno nie biegałem, więc serce waliło mi jak oszalałe i miałem wrażenie, że zaraz zwymiotuję. Zgiąłem się wpół, słyszałem własny oddech, jak u duszącego się zwierzęcia rzeźnego. Odwróciłem się i ruszyłem wolnym krokiem do domu.

Lucy czekała na mnie w korytarzu. Ty siedziałaś jej na kolanach, karmiła cię piersią.

- Gdzie ona jest? – zapytała. – Gdzie jest Clemency?
- Uciekła – odparłem, wciąż trochę zdyszany. – Uciekła...

Libby wpatruje się w Clemency.

– Gdzie? Gdzie uciekłaś?

– Pobiegłam do szpitala. Podążyłam za znakami do SOR-u. Widziałam, że ludzie się na mnie gapią. Ale wiesz, w środku nocy na oddziale ratunkowym nikt właściwie na nic nie zwraca uwagi. Tam jest istne szaleństwo, każdy jest pijany albo nienormalny. Wszyscy są wystraszeni lub zajęci swoimi problemami. Podeszłam do recepcji i powiedziałam: „Wydaje mi się, że mój brat umiera. Potrzebuje pomocy medycznej”. Pielęgniarka popatrzyła na mnie i zapytała, ile mój brat ma lat. „Osiemnaście”, odparłam. „A gdzie twoi rodzice?” I po tym jakoś się zacięłam. Nie potrafię tego wyjaśnić. Próbowалам coś powiedzieć, ale słowa zwyczajnie nie chciały wydobyć się z moich ust. Przed oczami stanął mi ojciec, martwy i ubrany jak jakiś dziwaczny kaznodzieja. I Birdie na dachu, zawinięta jak mumia. Pomyślałam sobie: Jak mogłabym zaprowadzić kogoś do tamtego domu? Co by powiedział? Co by się stało z dzieckiem? Co by się stało z Henrym? I wtedy po prostu odwróciłam się i odeszłam. Całą noc przesiadałam się z jednego krzesła na drugie. Za każdym razem, kiedy w szpitalu ktoś na mnie dziwnie spojrzał albo wydawało się, że za chwilę coś powie, zmieniałam miejsce. Następnego ranka umyłam się w toalecie i poszłam prosto do sklepu obuwniczego. Miałam na sobie kurtkę; włosy związałam. Byłam tak nierzucająca

się w oczy, jak tylko może bosa dziecko na początku kwietnia. Miałam torbę wypełnioną pieniędzmi. Kupiłam sobie buty. Kręciłam się po mieście. Nikt na mnie nie patrzył. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Poszłam aż do Paddington Station, kierując się znakami. Chociaż mieszkałam w Londynie od sześciu lat, nie miałam żadnej mentalnej mapy miasta w głowie. Ale jakoś udało mi się dotrzeć na miejsce. Kupiłam bilet na pociąg jadący do Kornwalii. Co może się wydawać czystym szaleństwem, bo nie znałam adresu matki. Nie wiedziałam nawet, w jakim mieście mieszka. Jednak miałam wspomnienia o tym, co mówiła, gdy odwiedzała nas po przeprowadzce. Podczas naszego ostatniego spotkania powiedziała coś o restauracji na plaży, że zabierze nas tam, gdy ją odwiedzimy, że sprzedają tam niebieskie lody i slushie. Powiedziała, że jest tam mnóstwo surferów, że ogląda ich z okna mieszkania. Wspomniała sąsiada, ekscentrycznego artystę, którego ogród był pełen fallicznych rzeźb i kolorowej mozaiki. Wspomniała bar rybny na rogu i że spóźniła się na pociąg pośpieszny do Londynu, przez co musiała przejechać osiemnaście stacji. I w ten sposób do niej dotarłam. Do Pentreath, na jej ulicę, do jej mieszkania.

W oczach Clemency zbierają się łzy, palce bezwiednie wędrują do paczki papierosów. Wyjmuje jednego, zapala, wciąga dym do płuc.

– Kiedy podeszła do drzwi i zobaczyła mnie... – głos łamie jej się przy każdym kolejnym słowie, oddech ma ciężki. – Zobaczyła mnie i po prostu przyciągnęła do siebie, mocno przytuliła, trzymała w ramionach tak długo, tak bardzo długo. Czułam od niej zapach zatęchłego alkoholu i wiedziałam, dlaczego po nas nie przyjechała, ale wiedziałam też, po prostu wiedziałam, że to już koniec. I że jestem bezpieczna. Wprowadziła mnie do środka i posadziła na kanapie. W mieszkaniu był straszny bałagan, wszędzie pełno rzeczy. Zdążyłam się już od tego odzwyczaić; nauczyłam się żyć w pustce, z niczym. Matka ściągnęła rzeczy, żeby zrobić dla mnie miejsce, po

czym zapytała: „Gdzie Phin?”. I wtedy oczywiście znowu się zacięłam. Ponieważ prawda była taka, że zostawiłam go w tamtym domu, zamkniętego w pokoju. A gdybym wytłumaczyła, dlaczego został zamknięty, musiałabym wytłumaczyć wszystko inne. Popatrzyłam na nią i zobaczyłam kogoś bardzo poranionego, sama też byłam poraniona. Powinnam była powiedzieć o wszystkim, tylko że nie potrafiłam. Dlatego powiedziałam, że dorośli popełnili samobójstwo. Że Henry, Lucy i Phin zostali z tobą w tamtym domu. Że policja była już w drodze. Że wszystko będzie dobrze. I wiem, jak absurdalnie to brzmi. Ale pamiętaj: pamiętaj, gdzie byłam, co przeszłam. Pozostałam lojalna wobec niewłaściwych osób. My, dzieciaki, przez lata mieliśmy tylko siebie. Lucy i ja byłyśmy nierozłączne, bliskie sobie jak siostry... No, dopóki nie zaszła w ciążę.

– Lucy? Lucy zaszła w ciążę? – dziwi się Libby.

– Tak. Myślałam, że... Nie wiedziałaś?

Libby czuje, jak jej serce zaczyna szybciej bić.

– O czym nie wiedziałam?

– Że Lucy była...

Tylko że Libby już się domyśla. Odruchowo zakrywa usta dłonią.

– Kim była Lucy?

– Cóż, twoją matką.

Libby wbija wzrok w zdjęcie przedstawiające raka jamy ustnej na opakowaniu papierosów Clemency, przygląda się uważnie każdemu potwornemu, obrzydliwemu szczegółowi, żeby powstrzymać jakoś falę mdłości. Jej matką wcale nie była piękna bywalczyni salonów z włosami Priscilli Presley. Urodziła ją nastolatka.

– A kim był mój ojciec? – pyta po chwili.

Clemency obrzuca ją przepaszającym spojrzeniem i odpowiada:

– Był nim... mój ojciec.

Libby kiwa głową. Trochę się tego spodziewała.

– Ile lat miała wtedy Lucy?

Clemency opuszcza głowę.

– Czternaście. Mój ojciec był już po czterdziestce.

Libby powoli mruga.

– I czy to był...? Czy on ją...?

– Nie, nie – protestuje Clemency. – Zdaniem Lucy nie.

Powiedziała, że to było...

– Za jej zgodą?

– Tak.

– Ale ona była taka młoda. Zgodnie z prawem to wciąż gwałt.

– Tak, ale mój ojciec... miał ogromną charyzmę. Potrafił sprawić, że ludzie czuli się przy nim wyjątkowi. Albo wręcz przeciwnie, zupełnie bezwartościowi. Zawsze lepiej było znaleźć się w grupie tych pierwszych. Wydaje mi się, że wiem, jak to się stało. Rozumiem... To oczywiście nie oznacza, że to pochwalałam. Wręcz przeciwnie. Nienawidziłam go za to. I jej też nienawidziłam.

Na moment milkną obie. Libby przez kilka minut przetrawia ostatnie rewelacje. Jej matka była nastolatką. Nastolatką, która teraz jest zagubioną gdzieś w świecie kobietą w średnim wieku. Jej ojcem został stary obrzydliwy człowiek, pedofil, zwierzę. W tej samej chwili, gdy ta myśl pojawiła się w jej głowie, Libby słyszy dźwięk powiadomienia na telefonie. To wiadomość z WhatsAppa przesłana z nieznanego numeru.

– Przepraszam – mówi do Clemency, sięgając po komórkę. – Mogę?

Nadawca załączył zdjęcie. Podpis brzmi: *Czekamy tu wszyscy na Ciebie! Wracaj!*

Libby rozpoznaje miejsce, w którym zostało zrobione. To dom przy Cheyne Walk. A tam, na podłodze, siedzi kobieta – szczupła, ciemnowłosa, bardzo opalona. Jest ubrana w bezrękawnik, na jej żyłastych rękach widać tatuaże. Po jej lewej stoi piękny chłopiec, również opalony i ciemnowłosy, a także śliczna dziewczynka ze złotymi lokami, oliwkową skórą i bardzo zielonymi oczami. Na

podłodze u ich stóp leży brązowo-czarno-biały piesek z wywalonym językiem.

A na pierwszym planie kamerę trzyma na wyciągniętej ręce i szczerzy bardzo białe zęby mężczyzna, który przedstawił się jako Phin. Libby pokazuje ekran Clemency.

– Czy to...?

– O mój Boże. – Clemency przykładła opuszkę palca do wyświetlacza i wskazuje kobietę. – To ona! To jest Lucy.

Libby rozciąga palcami twarz kobiety na ekranie. Lucy przypomina Martinę, którą Libby przez krótki czas uważała za swoją matkę. Ma ciemną skórę i błyszczące czarne włosy, lecz rdzawobrązowe na końcach. Na czole widać lekkie zmarszczki. Jej oczy są ciemnobrązowe, jak u Martiny. Jak u jej syna. Wydaje się wyniszczona życiem, zmęczona, lecz jest przy tym absolutnie piękna.

Pięć godzin później docierają na Cheyne Walk.

Stają przed drzwiami i Libby szuka kluczy w kieszeni torebki. Może po prostu ich użyć i wejść do środka, w końcu dom należy do niej. A potem przełyka głośno ślinę, gdy wreszcie to do niej dociera. To nie jest jej dom. Nie ma do niego prawa. Dom został przepisany na dziecko Martiny i Henry'ego. Dziecko, które nigdy się nie narodziło.

Wkłada klucz z powrotem do torebki i wybiera numer, z którego przyszła wiadomość na WhatsAppie.

– Halo?

Odpowiedziała kobieta. Jej głos brzmi miękko i melodyjnie.

– Czy to... Lucy?

– Tak. Kto mówi?

– Z tej strony... Serenity.

Lucy odkłada telefon i patrzy na Henry'ego.

– Jest tutaj.

Razem idą do drzwi frontowych.

Pies zaczyna szczekać, słysząc ludzi stojących przed domem, więc Henry bierze go na ręce i ucisza.

Lucy z walącym sercem sięga do klamki. Przeczesuje włosy, wygładza. Zmusza się do uśmiechu.

Oto ona. Oto córka, którą musiała zostawić. Musiała popełnić morderstwo, żeby do niej wrócić.

Serenity okazuje się dziewczyną średniego wzrostu, średniej budowy, w niczym nieprzypominającą pulchnego bobaska, którego zostawiła w kołysce od Harrodsa. Ma miękkie jasne włosy, lecz się nie kręczą. Ma błękitne oczy, lecz nie bladolazurowe jak u małości. Ubrała się w bawełniane spodenki, bluzkę z krótkim rękawem, różowe płócienne wsuwane trampki. Przyciska do brzucha zieloną torebkę. W uszach nosi małe złote kolczyki z kryształowymi łezkami. Nie ma ani grama makijażu.

– Serenity...?

Dziewczyna kiwa głową.

– Albo Libby. Tak się nazywam za dnia. – Śmieje się lekko.

Lucy też się śmieje.

– Libby. Oczywiście. Jesteś Libby. Wejdz, proszę.

Musi się oprzeć pokusie, by ją objąć. Zamiast tego prowadzi ją w głąb, trzymając tylko rękę na jej ramieniu.

Za Serenity idzie duży, przystojny mężczyzna z brodą. Przedstawia się jako Miller Roe.

– To mój przyjaciel – tłumaczy Libby.

Lucy prowadzi wszystkich do kuchni, gdzie siedzą i czekają nerwowo jej dzieci.

– Kochani, poznajcie Serenity. A raczej Libby. Libby to...

– Tamto niemowlę? – pyta Marco, otwierając szeroko oczy.

– Tak, Libby jest tamtym dzieckiem.

– Jakim dzieckiem, mamó? – pyta Stella.

– Tym, które urodziłam, kiedy byłam bardzo młoda. Musiałam je zostawić w Londynie. Nigdy wam o nim nie mówiłam. To wasza starsza siostra.

Marco i Stella siedzą z rozdziawionymi ustami. Libby macha do nich sztywno. Przez chwilę jest niezręcznie, ale potem Marco rzuca:

– Wiedziałem! Od samego początku! Gdy tylko zobaczyłem to na twoim telefonie! Wiedziałem, że to będzie twoje dziecko. Po prostu wiedziałem!

Wstaje od stołu i biegnie przez kuchnię, a Lucy przez moment wydaje się, że chłopak ucieknie, że jest wściekły za ukrywanie przed nim prawdy, lecz on zbliża się do Libby i obejmuje ją w pasie, ściska mocno, a Lucy widzi znad czubka jego głowy, że oczy dziewczyny otwierają się z zaskoczenia, ale też radości. Dotyka czubka jego głowy i uśmiecha się do Lucy.

Oczywiście, skoro Marco zrobił coś takiego, Stella musi zrobić to samo i przywiera do bioder Libby. Lucy myśli sobie: oto jej troje dzieci. Razem. W końcu. Stoi, zakrywając usta dłońmi, po jej policzkach płyną łzy.

CHELSEA, 1994

Nie jestem tak całkiem bez serca, Serenity. Przysięgam.

Pamiętasz, jak dałem ci potrzytać się za palec w dniu twoich narodzin, jak patrzyłem na ciebie i czułem, że coś we mnie rozkwita? Dalej to czułem, kiedy dwie noce temu stanęliśmy twarzą w twarz. W moich oczach wciąż byłaś tamtym dzieckiem; wciąż miałaś w sobie tamtą niewinność, tamten zupełny brak podstępności.

Ale miałaś też coś jeszcze.

Miałaś jego niebieskie oczy, jego kremową skórę, jego długie, ciemne rzęsy.

Nie przypominasz za bardzo Lucy.

Nie wyglądasz ani trochę jak David Thomsen.

Wyglądasz po prostu jak twój ojciec.

I jak teraz o tym myślę, nie mogę uwierzyć, że nie dostrzegalem czegoś, co działo się tuż pod moim nosem. Kiedy wyrosły ci te jasne loki, kiedy popatrzyłaś tymi błękitnymi oczami i uśmiechnęłaś się tymi pełnymi usteczkami. Jak to możliwe, że David tego nie zauważył? Jak to możliwe, że Birdie nie zauważyła? Pewnie nikomu nie przyszło do głowy coś tak niepojętego. Tak absolutnie niemożliwego.

Że moja siostra spała i z Davidem, i z Phinem.

Ja sam dowiedziałem się dopiero dzień po trzydziestych urodzinach Birdie.

Jeszcze nie zdecydowaliśmy z Lucy, co chcemy zrobić. Phin rzucał się w swoim pokoju, więc przywiązałem go do grzejnika, żeby nic sobie nie zrobił. To było dla jego dobra.

Lucy była oburzona.

– Co ty wyprawiasz? – krzyczała.

– Przecież robi sobie krzywdę – powiedziałem z przekonaniem.

– To tylko tymczasowo, dopóki nie zdecydujemy, co dalej.

Trzymała cię na rękach. Byłyście nierozłączne od chwili, gdy zabrała cię od Birdie.

– Musimy znaleźć mu jakąś pomoc.

– Tak. Musimy. Ale trzeba też pamiętać, że zabiliśmy ludzi i możemy za to trafić do więzienia.

– Ale to był wypadek. Żadne z nas nie chciało nikogo zabić. Policja to zrozumie.

– Nie, wcale nie. Nie mamy żadnego dowodu na to, że byliśmy dręczeni. Ani w ogóle na to, co się tutaj działo. Nie mamy czym potwierdzić naszej wersji wydarzeń.

Potem jednak zamilkłem. Popatrzyłem na Lucy, popatrzyłem na ciebie i pomyślałem: Oto dowód, którego będziemy potrzebować, jeśli zdecydujemy się poprosić o pomoc. Oto dowód na to, że w tym domu działo się źle. Właśnie tu.

– Lucy. Dziecko. Dziecko jest dowodem, że byliśmy dręczeni. Masz piętnaście lat. Miałaś czternaście, kiedy urodziło się dziecko. Mogą przeprowadzić test DNA. Udowodnić, że ojcem był David. Możesz powiedzieć, że cię gwałcił, wielokrotnie gwałcił, od lat. Możesz powiedzieć, że Birdie go do tego zachęcała. A potem jeszcze zabrali ci dziecko. To przecież prawie prawda. A ja mogę powiedzieć... mogę powiedzieć, że ich znalazłem w tym stanie.

Mogę zostawić fałszywy list, będzie w nim napisane, że zabili się ze wstydu. Za to, co zrobili, jak nas traktowali.

Nagle zawładnęła mną myśl, że jeszcze uda nam się z tego wywinąć. Jeszcze zdołamy stąd uciec, nie trafić do więzienia, Phin mógłby jeszcze wyzdrowieć, Lucy mogłaby zatrzymać dziecko i wszyscy byliby dla nas mili.

I wtedy odezwała się Lucy:

– Henry, przecież wiesz, że Serenity nie jest córką Davida, prawda?

Mój Boże, jaki ze mnie naiwny kretyn, nawet wtedy to do mnie nie docierało. Pamiętam, jak sobie myślałem: „Ale jak to? Niby czym miałyby być dzieckiem?”.

I wtedy wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca. Na początku się roześmiałem. A potem zrobiło mi się niedobrze.

– Naprawdę? Ty i Phin? Naprawdę? – wypaliłem.

Lucy pokiwała głową.

– Ale jak to się stało? I kiedy? Nie rozumiem.

Opuściła głowę i odparła:

– To było w tym pokoju. I tylko dwa razy. Zrobiliśmy to, sama nie wiem, chyba dla pociechy. Poszłam do niego, bo się martwiłam. Wydawał się taki chory. A potem jakoś tak znaleźliśmy się...

– O mój Boże! Ty dziwko!

Próbowała mnie uspokoić, ale ją odepchnąłem.

– Zostaw mnie. Jesteś obrzydliwa. Jesteś chora i obrzydliwa. I puszczalska. Brudna, puszczalska dziwka.

Tak, nie żałowałem sobie. Niewielu ludzi budziło we mnie taką odrazę jak moja siostra tamtego dnia.

Nie mogłem na nią patrzeć. Nie mogłem się skupić. Za każdym razem, gdy próbowałem się nad czymś zastanowić, podjąć jakieś decyzje, oczami wyobraźni widziałem Lucy i Phina: jak leżał na niej, jak ją całował, dotykał rękami, które kiedyś trzymałem, te ręce

wędrowały po całym ciele mojej siostry. Nigdy wcześniej nie czułem takiej wściekłości, nigdy wcześniej nie czułem takiej nienawiści, takiego cierpienia, takiego bólu.

Chciałem kogoś zabić. I tym razem celowo, nie przypadkiem.

Poszedłem do pokoju Phina. Lucy próbowała mnie powstrzymać, ale ją odepchnąłem.

– To prawda? – wrzasnąłem. – To prawda, że uprawiałeś seks z Lucy?

Popatrzył na mnie obojętnie.

– No? Powiedz! – krzychałem.

– Nie powiem ani słowa, dopóki mnie nie uwolnisz.

Wydawał się zupełnie bez sił. Jakby był już jedną nogą w grobie.

Mój gniew z miejsca zaczął się ulatniać, usiadłem na skraju łóżka. Ukryłem twarz w dłoniach. Kiedy po chwili podniosłem wzrok, Phin miał zamknięte oczy.

Zapadła cisza.

– Ty umierasz, Phin? – zapytałem w końcu.

– Nie wiem, kurwa.

– Musimy się stąd wydostać. Musisz się zebrać w sobie, naprawdę.

– Nie mogę.

– Nie masz innego wyjścia.

– No to mnie zostaw tutaj, do cholery. Chcę umrzeć.

Muszę wyznać, że przyszło mi wtedy do głowy, żeby przycisnąć poduszkę do jego twarzy, przysunąć się i nasłuchiwać jego ostatniego oddechu, szepcząc mu kojące słowa do ucha, zdominować go, pozbawić życia, przejąć jego siłę. Ale musisz pamiętać, że nie licząc nienarodzonego dziecka mojej matki – a przez lata bardzo dużo o tym czytałem i wiedziałem, że naprawdę trudno byłoby dokonać aborcji zdrowej ciąży za pomocą natki pietruszki – nigdy celowo nie pozbawiłem nikogo życia. Mam swoją mroczną stronę, Serenity, zdaję sobie z tego sprawę. Odczuwam

rzeczy inaczej niż większość ludzi. Ale jestem zdolny do empatii i miłości.

A kochałem Phina bardziej niż kogokolwiek od tamtej pory.

Odwiązałem mu nadgarstek od grzejnika i położyłem się obok niego.

– Czy ty mnie kiedykolwiek lubiłeś? Chociaż przez chwilę?

– Zawsze cię lubiłem. Dlaczego miałbym cię nie lubić?

Zawahałem się, rozważając to pytanie.

– Dlatego, że ja lubiłem ciebie za bardzo?

– Irytujące – rzucił i w jego słabym głosie dało się słyszeć nutę cierpkiego rozbawienia. – Bardzo irytujące.

– Tak, rozumiem. Przepraszam. Przepraszam, że powiedziałem wtedy twojemu ojcu, że wepchnąłeś mnie do rzeki. Przepraszam, że próbowałem cię pocałować. Przepraszam, że byłem irytujący.

Dom skrzypiał i jęczał wszędzie dokoła. Ty spałeś. Lucy odłożyła cię do starej kołyski w garderobie rodziców. Nie spałem od trzydziestu sześciu godzin i przez tę ciszę, przez rytmiczny oddech Phina zasnąłem szybko i z wielką przyjemnością.

Obudziłem się dwie godziny później, Lucy i Phina nie było, a ty wciąż spałeś w kołysce.

Libby spogląda na Lucy, na tę kobietę otoczoną przez dzieci, które przywiozła ze sobą aż z Francji. Zabrała nawet psa. Zdecydowanie nie wyglądała na kogoś, kto zostawia bliskich.

– Dlaczego mnie zostawiłaś? – pyta.

Lucy natychmiast zaczyna kręcić głową.

– Nie, to nie tak. Nie zostawiłam cię. Nie miałam takiego zamiaru. Tylko Phin był w opłakanym stanie, a ty byłaś cała i zdrowa. Dlatego odłożyłam cię do kołyski, poczekałam, aż zaśniesz, a potem wróciłam do pokoju Phina. Henry już spał, udało mi się przekonać Phina, żeby wreszcie się podniósł. Był taki ciężki, a ja taka słaba. Wyprowadziłam go z domu i poszłam do lekarza mojego ojca, doktora Broughtona. Pamiętam, że kiedyś zostałam tam zabrana jako małe dziecko, to było tuż za rogiem. Miał czerwone drzwi. Trafiłam tam koło północy. Przywitał mnie w szlafroku. Powiedziałam mu, kim jestem, a potem – śmieje się cierpko do wspomnień – że mam pieniądze, że mogę mu zapłacić. Najpierw wydawał się rozgniewany, ale spojrzał na Phina, dobrze mu się przyjrzał, i rzucił: „Ojoj, ojoj”. Szybko poszedł na górę, mamrocząc coś pod nosem; wrócił ubrany w koszulę i spodnie. Zabrał nas do swojego gabinetu. Wszystkie światła były zgaszone. Włączył je, dwie jarzeniówki zapaliły się jednocześnie. Musiałam zasłonić oczy. Położył Phina na łóżku, zbadał go i zapytał, co się, do cholery, dzieje. „Gdzie są twoi

rodzice?”, pytał. Nie miałam pojęcia, co mu odpowiedzieć. „Nie ma ich”, tyle wydusiłam. Popatrzył na mnie z ukosa. Jakby chciał dać mi do zrozumienia, że tym zajmiemy się potem. Zadzwoił do kogoś. Usłyszałam, jak wyjaśnia sytuację, mnóstwo medycznego żargonu. Pół godziny później pojawił się jakiś młody mężczyzna. To był pielęgniarz pracujący dla doktora Broughtona. Wspólnie zrobili Phinowi z dziesięć różnych badań. Pielęgniarz wyszedł w środku nocy do laboratorium z całą torbą próbek. Nie spałam przez dwa dni. Miałam mroczki przed oczami. Doktor Broughton zrobił mi gorącą czekoladę. To była... wiem, jak to brzmi, ale to była najlepsza czekolada, jaką piłam. Usiadłam na kanapie w gabinecie i zasnęłam. Gdy się obudziłam, była już piąta nad ranem i pielęgniarz zdążył wrócić z laboratorium. Phin leżał pod kroplówką. Oczy miał otwarte. Doktor Broughton powiedział mi, że Phin cierpi na poważne niedożywienie, ale potrzebuje dużo płynów i trochę czasu, a dojdzie do siebie. Ja tylko pokiwałam głową i powiedziałam: „Jego ojciec nie żyje, a ja nie wiem, gdzie mieszka matka. Mamy razem dziecko. Nie wiem, co robić”. Gdy usłyszał o dziecku, zbladł. Zapytał: „Dobry Boże, ile ty właściwie masz lat?”. Odparłam, że piętnaście. Popatrzył na mnie dziwnie i zapytał, gdzie dziecko. „W domu, z moim bratem”, odrzekłam. „A twoi rodzice? Gdzie się podziiali?” „Nie żyją”. Westchnął wtedy i rzucił: „Nie miałem pojęcia. Bardzo mi przykro”. Zaraz dodał: „Słuchaj, nie wiem, co się tutaj dzieje, i nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Ale przyprowadziłaś do mnie tego chłopca i mam obowiązek się nim zająć. Dlatego zostawmy go tutaj na jakiś czas. Mam dla niego pokój”. I wtedy powiedziałam, że chcę wyjść, wrócić do ciebie, ale on stwierdził, że sama wyglądam na anemiczkę i chciałby zrobić mi najpierw kilka badań. Nakarmił. Dał mi miskę płatków i banana. Pobrał mi krew, sprawdził mi ciśnienie, zęby, uszy, jak u konia na targu. Stwierdził, że jestem odwodniona i musi mi podać płyny, obserwować jakiś czas.

Lucy podnosi wzrok na Libby i kończy:

– Strasznie, strasznie mi przykro. Niestety, kiedy mogłam już wyjść, było po wszystkim. Policja weszła do domu, a ciebie zabrała opieka społeczna.

W jej oczach pojawiają się łzy.

– Spóźniłam się.

CHELSEA, 1994

To ja się tobą opiekowałem, Serenity. Zostałem w domu, żeby podawać ci pogniecione banany, mleko sojowe, owsiankę, ryż. Zmieniałem ci pieluszki. Śpiewałem kołysanki. Spędziliśmy razem wiele godzin. Stało się jasne, że Lucy i Phin nie zamierzają wracać, a ciała w kuchni zaczną się rozkładać, jeśli zostaną jeszcze trochę. Podejrzywałem, że ktoś mógł już zgłosić sprawę na policję. Wiedziałem, że czas odejść. Dodałem jeszcze kilka linijek do listu pożegnalnego. „Nasza córka nazywa się Serenity Lamb. Ma dziesięć miesięcy. Proszę, zadbajcie o to, by trafiła w dobre ręce”. Włożyłem długopis, którym napisałem wiadomość, do ręki matki, a potem zostawiłem na stole obok listu. Nakarmiłem cię i przebrałem w czyste śpioszki.

Później, kiedy już miałem wychodzić, namacałem w kieszeni króliczą łapkę Justina. Włożyłem ją tam na szczęście, chociaż wcale nie wierzę w takie rzeczy, i zdecydowanie nie przyniosła mi nic dobrego, odkąd zabrałem ją z pokoju Justina. Ale chciałem dla ciebie jak najlepiej, Serenity. Tylko ty byłaś niewinna w tamtym domu, twoje przyjście na świat to jedyne dobro, jakie przyniosły te wszystkie wydarzenia. Dlatego wyjąłem króliczą łapkę i włożyłem ci do kołyski.

Potem pocałowałem cię i powiedziałem:

– Żegnaj, słodkie dziecko.

Wyszedłem drzwiami do ogrodu, ubrany w jeden ze starych garniturów ojca z Savile Row i w parze jego butów marki Jermyn Street. Zawiązałem sobie krawat bolo i zaczesalem włosy na bok. W torbie miałem pieniądze i biżuterię. Wyszedłem, gdy zaczęło świecić poranne słońce, czując na zmęczonej skórze jego złote promienie. Znalazłem budkę telefoniczną i zadzwoniłem na policję. Zmieniłem głos i oznajmiłem, że martwię się o sąsiadów. Że dawno ich nie widziałem. Że słyszeć płacz dziecka.

Poszedłem na King's Road; wszystkie sklepy były zamknięte. Szedłem dalej, aż do Victoria Station, a tam usiadłem przed obskurną kawiarnią w swoim eleganckim garniturze i zamówiłem kawę. Nigdy wcześniej nie piłem kawy. Naprawdę chciałem się jej napić. W końcu przynieśli mi filiżankę, spróbowałem i okazała się obrzydliwa. Wsypałem do niej ze dwie saszetki cukru i zmusiłem się do wypicia. Znalazłem anonimowy hotel i zapłaciłem za trzy noce z góry. Nikt nie pytał mnie, ile mam lat. W księdze gości podpisałem się nazwiskiem Phineas Thomson. Z literą „o”. Nie Thomsen z „e”. Chciałem być prawie Phinem. Nie całkiem Phinem.

W pokoju hotelowym oglądałem telewizję. Na końcu wiadomości puścili krótki materiał. Odnaleziono trzy ciała. Samobójczy pakt. Sekta. Niemowlę całe i zdrowe. Zaginione dzieci. Policja rozpoczyna poszukiwania. Zdjęcia, które pokazali, były z sesji w szkole, w czasie naszego ostatniego roku szkoły podstawowej. Lucy miała wtedy osiem lat i fryzurę na pazia. Nikt by nas nie rozpoznał. O Phinie i Clemency nie było żadnej wzmianki.

Odetchnąłem z ulgą.

A potem co? Co się wydarzyło między tamtą chwilą, gdy byłem szesnastoletnim chłopcem w bieliźnie i leżałem w nylonowej pościeli w tanim hotelu, oglądając wiadomości, a obecną, gdy jestem mężczyzną w średnim wieku?

Chcesz wiedzieć? Obchodzi cię to?

Cóż, znalazłem pracę. Zatrudniłem się w warsztacie elektrycznym w Pimlico. Należał do szalonej rodziny z Bangladeszu, która miała gdzieś moją historię, bylebym tylko pojawiał się w robocie na czas.

Przeprowadziłem się do wynajętej kawalerki. Kupiłem podręczniki do nauki programowania i komputer, żeby wieczorami się uczyć.

W tamtym okresie był już całkiem niezły internet i komórki. Oszczędłem z warsztatu i dostałem pracę w Carphone Warehouse przy Oxford Street.

Zamieszkałem w większym lokum w Marylebone, jeszcze zanim okolica stała się zbyt droga. Zacząłem farbować włosy na blond. Ćwiczyłem. Nabrałem masy. Noce spędzałem w klubach, uprawiałem seks z nieznanymi. Zakochałem się, ale mnie bił. Znowu się zakochałem, ale mnie zostawił. Wybieliłem sobie zęby. Kupiłem tropikalne rybki. Zdechły. Znalazłem pracę w startującej firmie internetowej. Na początku było nas pięciu. W ciągu trzech lat zatrudniliśmy jeszcze pięćdziesiąt osób, ja zarabiałem sześciocyfrowe kwoty i miałem własne biuro.

Kupiłem trzypokojowe mieszkanie w Marylebone. Zakochałem się. Powiedział, że jestem brzydki i nikt nigdy mnie nie pokocha, a potem mnie zostawił. Zrobiłem sobie operację nosa. Przedłużyłem rzęsy. Wstrzyknąłem trochę wypełniacza w usta.

Potem, w dwa tysiące ósmym, poszedłem do prawnika wymienionego w testamencie rodziców. Przez tyle lat próbowałem zapomnieć o Cheyne Walk, wykuć sobie życie na nowo, z nową (choć nieco pożyczoną) tożsamością. Nie chciałem mieć nic wspólnego z żalonym małym Henrym Lambem i jego historią. Dla mnie już nie żył. Ale kiedy stałem się starszy, a moje życie bardziej się ustabilizowało, zacząłem coraz więcej myśleć o tobie; chciałem wiedzieć, gdzie jesteś, kim jesteś i czy jesteś szczęśliwa.

Z wiadomości dowiedziałem się, że uznano cię za dziecko Martyny i Henry'ego Lambów. Nikt nie podważył mojego „listu

pożegnalnego”, nie przeprowadzono żadnych badań DNA. A mając w pamięci zapisy z testamentu rodziców, zdałem sobie sprawę, że być może pewnego dnia znów pojawisz się w moim życiu. Jednak nie miałem pojęcia, czy papiery wciąż są zabezpieczone u prawników. I jeśli tak, to czy David w czasie, gdy miał pełną kontrolę nad moją matką, zrobił cokolwiek, żeby zmienić zapisy.

Skończyłem już trzydziestkę. Byłem wysokim, opalonym, umięśnionym blondynem. Przedstawiłem się jako Phineas Thomson. Powiedziałem:

– Szukam informacji o rodzinie, którą niegdyś znałem. Zdaje się, że byli państwo ich prawnikami. Chodzi o Lambów z Cheyne Walk.

Młoda kobieta przejrzała jakieś papiery, nacisnęła kilka klawiszy i oznajmiła, że zajmują się funduszem powierniczym tej rodziny, jednak nie może mi udzielić żadnych dodatkowych informacji.

Był tam taki uroczy chłopak. Widziałem, że zerka na mnie, gdy siedziałem w recepcji. Poczekalem przed kancelarią do lunchu i złapałem go, gdy wyszedł. Nazywał się Josh. Oczywiście. Ostatnio wszyscy nazywają się Josh.

Zaprosiłem go do swojego mieszkania na kolację i seks, a ponieważ chciałem go tylko wykorzystać, oczywiście musiał się we mnie zakochać. Wymagało to ode mnie mniej niż miesiąca udawania, że też go kocham, i w końcu zdobył dla mnie tamte papiery, skserował i przyniósł.

I tam to wszystko zobaczyłem, czarno na białym, dokładnie tak, jak postanowili moi rodzice, kiedy byłem jeszcze małym dzieckiem, a Lucy nie było jeszcze na świecie. Dom pod numerem szesnaście przy Cheyne Walk miał stanowić część funduszu powierniczego do czasu, aż najstarsze dziecko Martiny i Henry’ego Lambów nie skończy dwudziestu pięciu lat. David w końcu nie położył na nim łapy i wyglądało na to, że także Lucy nie zgłosiła się po spadek. Fundusz ciągle istniał, dom czekał, aż skończysz dwadzieścia pięć lat. Ktoś bardziej cyniczny od ciebie mógłby

pomyśleć, że odnalazłem cię wyłącznie po to, by dostać dom, który mi się należał. W końcu nie mogłem w żaden sposób udowodnić, że jestem Henrym Lambem, więc nie mogłem zgłosić się po spadek, a z tobą u boku miałbym na to szansę. Ale wiesz co, tu naprawdę nie chodziło o pieniądze. Mam ich całe mnóstwo. Chodziło o ostateczne zamknięcie tej sprawy. I chodziło o ciebie, Serenity, i łączącą nas więź.

Dlatego w czerwcu tego roku wynająłem apartament na przeciwległym brzegu rzeki. Kupiłem lornetkę i obserwowałem dom z tarasu.

Pewnego ranka zakradłem się do domu przy Cheyne Walk i spędziłem cały dzień na dachu, gdzie wydobywałem szkielet Birdie z jej zmumifikowanej skorupy. Wyciągnąłem wszystkie kosteczki. Włożyłem do plastikowej torby. Pod osłoną nocy wyrzuciłem do Tamizy. Była zaskakująco mała. Przespałem się na swoim starym materacu i rano wróciłem do apartamentu. Po czterech dniach pojawiłaś się ty. Z prawnikiem. Podnieśliście drewnianą osłonę. Otworzyliście drzwi. Zamknęliście je znowu za sobą.

Odetchnąłem z ulgą.

Wreszcie.

Dziecko wróciło.

Libby przygląda się Lucy.

– Co się stało z Phinem? Po tym, jak zostawiłaś go u doktora Broughtona? No wiesz, polepszyło mu się?

– Tak, polepszyło mu się.

– Wciąż żyje?

– Tak mi się wydaje.

Libby zakrywa usta dłonią.

– O mój Boże. Gdzie teraz jest?

– Nie wiem. Ostatni raz widziałam go, gdy miałam jakieś osiemnaście lat. Spędziliśmy razem kilka lat we Francji. A potem nasz kontakt się urwał.

– Jak to się stało, że oboje trafiliście do Francji? – dopytuje Libby.

– Zabrał nas tam doktor Broughton. A właściwie załatwił nam kogoś, kto nas zabrał. Doktor Broughton miał mnóstwo znajomości. Jest jednym z tych ludzi, którzy potrafią wiele rzeczy załatwić. Zawsze znał numer, pod który należy zadzwonić; zawsze ktoś był mu winny przysługę; zawsze znał kogoś, kto znał kogoś. Był prywatnym lekarzem kilku naprawdę wpływowych ludzi z kryminalnego półświatka. Wydaje mi się, że już kiedyś zdarzyło mu się, że został obudzony w środku nocy i musiał zszywać komuś rany postrzałowe. A kiedy zobaczył, że mówią o nas w wiadomościach, chciał się nas po prostu pozbyć. Tydzień po tym, jak zapukałam do

jego drzwi, powiedział, że odzyskaliśmy siły na tyle, by odejść. Mężczyzna o imieniu Stuart wcisnął nas na tylną kanapę forda transita i przewiózł przez Eurotunel i dalej, aż do Bordeaux. Trafiliśmy na farmę, do kobiety o imieniu Josette. Kolejna znajoma doktora Broughtona. Pozwoliła nam mieszkać u siebie przez wiele miesięcy, w zamian musieliśmy pracować na farmie. Nie pytała, kim jesteśmy i dlaczego się tam znaleźliśmy. My z Phinem nie... no wiesz. To, do czego doszło między nami wcześniej, wynikało wyłącznie z sytuacji, w której się znaleźliśmy. Gdy już się od tego uwolniliśmy, znów staliśmy się tylko przyjaciółmi. Niemal jak brat i siostra. Ale cały czas rozmawialiśmy o tobie, zastanawialiśmy się, gdzie jesteś, kto się tobą opiekuje, jaka jesteś piękna, jaka dobra, jaka niesamowita będziesz w przyszłości, jakie to wspaniałe, że cię spłodziliśmy.

– Rozmawialiście o tym, że kiedyś po mnie wrócicie? – pyta Libby nerwowo.

– Tak – odpowiada Lucy. – Tak, rozmawialiśmy. A przynajmniej ja o tym mówiłam. Phin był bardziej ostrożny, bardziej się martwił o swoją przyszłość niż przeszłość. O innych rzeczach nie rozmawialiśmy. Ani o rodzicach, ani o tym, co się wydarzyło. Ja próbowałam, ale on nie chciał. Zupełnie jakby wszystko to wyparł. Jakby zamknął tamten okres na głucho. Jakby to się nigdy nie wydarzyło. Przez pierwszy rok jego stan bardzo się poprawił. Był opalony, sprawny fizycznie. Ja zresztą też. A Josette miała skrzypce, na których nie grywała, więc pozwoliła mi z nich korzystać. Grałam zimą dla niej, a potem latem dla studentów i wędrowców, którzy przyjeżdżali na farmę. Pozwalała mi zabierać skrzypce do najbliższego miasteczka, żebym mogła grać w piątkowe i sobotnie wieczory; zaczęłam w ten sposób zarabiać. Odkładałam wszystko z myślą, że dzięki tym pieniądzom uda mi się wrócić z Phinem do Londynu i odszukać cię. Potem, pewnego ranka jakieś dwa lata

później, okazało się, że Phin zniknął. Zostawił mi wiadomość, że wyjeżdża do Nicei.

Lucy wzdycha ciężko.

– Zostałam w Bordeaux do końca lata, oszczędzając pieniądze na autobus do Nicei. Tygodniami spałam na plaży, by za dnia szukać Phina. W końcu się poddałam. Miałam skrzypce Josette. Grałam każdego wieczoru. Zarobiłam dość, by było mnie stać na wynajęcie pokoju w hostelu. Skończyłam dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat. A potem poznałam pewnego mężczyznę. Bardzo bogatego mężczyznę. Zakochałam się na zabój. Ożenił się ze mną. Urodziłam mu dziecko. Zostałam bogacza i poznałam biedaka. Jemu też urodziłam dziecko. Biedak zostawił mnie i wtedy...

Milknie i Libby przygląda się jej twarzy. Maluje się na niej coś nieznanego, niemal niewyobrażalnego. Jednak cokolwiek to jest, zaraz mija i Lucy kontynuuje swoją historię.

– A potem były twoje urodziny, więc wróciłam.

– Dlaczego nie wróciłaś wcześniej? – dopytuje Libby. – Kiedy sama skończyłaś dwadzieścia pięć lat? Nie wiedziałaś o funduszu powierniczym?

– Wiedziałam o nim. Ale nie miałam żadnego dowodu na to, że jestem Lucy Lamb. Nie miałam aktu urodzenia. Mój paszport był fałszywy. Tkwiałam w fatalnym, absolutnie fatalnym małżeństwie z ojcem Marca. To wszystko było takie... – Wzdycha. – A potem pomyślałam sobie, że jeśli Henry nie zgłosi się po dom, ja nie zgłoszę się po dom, to automatycznie zostanie on przekazany dziecku, tobie, bo wszyscy myśleli, że byłaś córką moich rodziców. Kiedy kilka lat temu dostałam swój pierwszy smartfon, od razu zapisałam sobie przypomnienie w kalendarzu przy odpowiedniej dacie. Od tamtej pory wyczekiwałam tej chwili w każdej minucie każdego dnia. Czekałam, żeby tu wrócić.

– A Phin? – pyta rozpaczliwie Libby. – Co się stało z Phinem?

Lucy znowu wzdycha.

– Mogę tylko zakładać, że udał się tam, gdzie nikt go nie znajdzie. Mogę tylko zakładać, że właśnie tego chciał.

No i stało się. Libby poznała całą historię. Brakuje już tylko jednego elementu.

Jej ojca.

IV

Libby siedzi z kciukiem nad wyświetlaczem telefonu. Uruchomiła swoją aplikację bankową, gdzie co piętnaście minut od dziewiątej rano odświeża stan konta.

Dzisiaj kończy się sprawa domu przy Cheyne Walk.

Miesiąc temu wreszcie udało im się go sprzedać. Po wielu miesiącach bez żadnych chętnych, a potem całej lawinie ofert, gdy zdecydowali się obniżyć cenę. Musieli jeszcze przetrwać dwie nieudane próby sprzedaży, aż w końcu pojawił się kupiec z Republiki Południowej Afryki i wszystko zostało załatwione, umowy podpisane w ciągu dwóch tygodni.

Siedem milionów czterysta pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Jednak na jej koncie wciąż widać tylko trzysta osiemnaście funtów. Resztki jej ostatniej wypłaty.

Wzdycha i przenosi wzrok na ekran komputera. Jej ostatni projekt kuchni. Ładna, malowana kuchnia w stylu Shaker z miedzianymi gałkami i marmurowym blatem. Pierwszy dom świeżo upieczonego małżeństwa. Będzie prześliczna. Libby żałuje, że nie zostanie na tyle długo, by zobaczyć realizację – dzisiaj jest jej ostatni dzień pracy w Northbone Kitchens.

Oprócz tego to także dzień jej dwudziestych szóstych urodzin. Jej prawdziwych dwudziestych szóstych urodzin. Okazało się, że jednak nie dziewiętnasty czerwca, lecz czternasty. Czyli jest pięć dni

starsza, niż myślała. To nic. Pięć dni to niska cena za siedem milionów funtów, matkę, wujka i dwójkę przybranego rodzeństwa. A teraz nie wspina się już w głowie po jakiejś wyimaginowanej drabinie do swoich urodzin, więc kogo obchodzi, czy dotrze tam pięć dni przed czasem?

Znowu odświeża stronę.

Trzysta dziewięć funtów. Właśnie zaksięgowali płatność z PayPal, którą zrobiła w poprzednim tygodniu.

Jest piękny dzień. Libby spogląda na Dido.

– Wyjdziemy na lunch? Ja stawiam.

Dido patrzy na koleżankę znad okularów do czytania i uśmiecha się.

– Z przyjemnością!

– W zależności od tego, czy przyjdzie przelew, będą albo kanapki i cola, albo homar i szampan.

– Homary są przereklamowane – rzuca Dido, opuszczając okulary i na powrót wbijając wzrok w ekran komputera.

Telefon Libby wibruje równo o jedenastej. To wiadomość od Lucy: *Widzimy się później! Zarezerwowaliśmy na ósmą!*

Lucy mieszka teraz z Henrym w jego eleganckim mieszkaniu w Marylebone. Podobno w ogóle się nie dogadują. Henry, który mieszkał sam przez dwadzieścia pięć lat, nie potrafi dzielić przestrzeni z dziećmi, a jego koty nie cierpią psa. Lucy już szuka jakiegoś domu. W St Albans. Libby też ma na oku piękną georgiańską chatę na półakrowej działce tuż na obrzeżach miasta.

Znowu odświeża stronę.

Trzysta dziewięć funtów.

Sprawdza, czy w skrzynce odbiorczej nie czeka na nią wiadomość o jakichś problemach. Nic nie ma.

Gdy już opłacą podatek, spadek zostanie podzielony na trzy części. Libby proponowała, że nie weźmie nic dla siebie. To nie jest jej dom. Nie jest ich siostrą. Jednak nalegali. Powiedziała: „Nie

potrzebuję jednej trzeciej. Kilka tysięcy mi wystarczy”. Ale oni wciąż nalegali. „Jesteś ich wnuczką – przekonywała Lucy. – Masz takie samo prawo do tego domu jak my”.

Wyszły z Dido z pracy o trzynastej.

– Obawiam się, że jednak kanapki.

– Świetnie, akurat mam ochotę na kanapki.

Idą do kawiarni w parku i siadają przy stoliku na zewnątrz, w słońcu.

– Nie mogę uwierzyć, że odchodzisz – mówi Dido. – Będzie bardzo, no, chciałam powiedzieć, że cicho, ale nigdy nie należałaś do szczególnie głośnych ludzi, więc bez ciebie salon będzie... zupełnie pozbawiony Libby. I twoich pięknych włosów. I twoich równiutkich plików.

– Moich równiutkich plików?

– Tak, twoich... – Pokazuje gestem równo ułożone papiery. – No wiesz. Wszystkie rogi w kancik. – Uśmiecha się. – Będzie mi ciebie brakowało, to wszystko.

Libby patrzy na nią i mówi:

– A ty nigdy nie myślałaś o tym, żeby odejść? Po tym, jak dostałaś w spadku swój dom? I wszystkie inne rzeczy? Chodzi mi o to, że ty chyba nie musisz pracować, prawda?

Dido wzrusza ramionami.

– W sumie chyba nie. Bywają takie chwile, że chciałabym to wszystko rzucić i spędzać całe dni ze Spanglesem w stajni. Ale generalnie nie mam nic innego. Za to ty, ty masz wszystko. Wszystko, czego nie dadzą ci kuchnie.

Libby uśmiecha się. Jest w tym jakaś prawda.

Nie chodzi tylko o pieniądze. Nie tylko o nie.

Chodzi o ludzi, którzy teraz stali się jej bliscy, którzy stali się jej rodziną. I jeszcze o tę osobę, którą odkryła pod tymi wszystkimi równiutko ułożonymi stertami papierów i drobiazgowym planowaniem. W rzeczywistości to nie była ona. Wymusiła na sobie

taką osobowość, żeby zrównoważyć niespójność matki. Żeby dopasować się do szkoły. Żeby dopasować się do przyjaciół, których wartości nigdy naprawdę nie podzielała, nie w głębi serca. W życiu chodzi o coś więcej niż tylko przyjaźń na dystans i głupio preskryptywne wymagania z Tindera. Swoje istnienie zawdzięcza lepszym ludziom niż zmyśleni rodzice biologiczni, grafik i specjalistka modowego PR-u, ze sportowym samochodem i małymi psami. Jej fantazje były takie nieciekawe.

Znowu bezwiednie odświeża aplikację bankową.

Spogląda jeszcze raz. Widzi bardzo głupią liczbę. Liczbę, która nie ma najmniejszego sensu. Ma zbyt wiele zer, zbyt wiele wszystkiego. Pokazuje ekran komórki Dido.

– O. Mój. Boże.

Dido zakrywa twarz dłońmi i wydaje stłumiony okrzyk. Potem odwraca się w stronę frontu kawiarni i woła kelnera.

– Prosimy dwie butelki waszego najlepszego dom pérignon. I trzynaście homarów. Tylko szybko.

Oczywiście nie ma żadnego kelnera i ludzie przy stoliku obok obrzucają ją dziwnym spojrzeniem.

– Moja koleżanka właśnie wygrała na loterii – wyjaśnia Dido.

– Szczęściara! – mówi jakaś kobieta.

– Wiesz co – zaczyna Dido, odwracając się z powrotem do Libby.

– Właściwie nie musisz już wracać do pracy. Masz dzisiaj urodziny. I właśnie dostałaś wypasiony przelew. Mogłabyś spokojnie wziąć wolne na resztę dnia.

Libby uśmiecha się, zgniata papierową serwetkę i rzuca ją na plastikową tackę.

– Nie. Nie ma mowy. Nie poddam się. A poza tym wydaje mi się, że zostawiłam jakiś nierówny plik papierów.

Dido odpowiada uśmiechem.

– No to chodźmy. Jeszcze trzy i pół godziny normalności. Miejmy to już z głowy, dobrze?

Lucy ma całe mieszkanie dla siebie jeszcze przez godzinę. Wykorzystuje ten czas na kąpiel, malowanie paznokci, nałożenie kremu nawilżającego, umalowanie się, wysuszenie włosów suszarką i ułożenie ich tak, by ładnie spoczywały na ramionach. Wciąż ją to wszystko cieszy. Minął rok, odkąd Henry znalazł ją w domu przy Cheyne Walk, odkąd sprowadził tam Serenity, odkąd na nowo stali się rodziną. Przez rok mieszkała z Henrym w jego nieskazitelnie czystym mieszkaniu w Marylebone, gdzie spała na dwuosobowym łóżku, w miękkiej bawełnianej pościeli, i nie miała do roboty nic poza wyprowadzaniem psa na spacer i gotowaniem przepysznych posiłków. Raz w miesiącu spotykały się z Clemency, żeby napić się szampana, rozmawiać o dzieciach, muzyce, dziwactwach Henry'ego i właściwie o wszystkim, byle nie o tym, co się im przydarzyło w przeszłości. Nigdy nie będą już tak sobie bliskie jak kiedyś, ale wciąż są najlepszymi przyjaciółkami.

Marco skończył trzynaście lat i chodzi do modnej prywatnej szkoły w Regent's Park, za którą zapłacił Henry i gdzie podobno „wszyscy wapują i biorą ketaminę”. Zupełnie stracił francuski akcent i powtarza, że „teraz identyfikuje się jako londyńczyk”.

Stella ma sześć lat i zaczęła się uczyć w bardzo ładnej szkole podstawowej w Marylebone, gdzie ma dwie najlepsze przyjaciółki, obie o imieniu Freya.

Wczoraj Lucy pojechała metrem do Chelsea i stanęła przed domem. Zdjęto już drewnianą osłonę, a znak „na sprzedaż” zamieniono na „sprzedane”. Niedługo w środku rozlegną się odgłosy wiertarek i młotków, dom zostanie wybebeszony i wykończony zgodnie z życzeniem nowej rodziny. Niedługo ktoś inny nazwie to miejsce swoim domem i nigdy się nie dowie, nigdy nie będzie podejrzewał, jakie naprawdę rzeczy wydarzyły się w tych ścianach, że czworo dzieci zostało tutaj uwięzionych, złamanych, a potem wydostały się na świat zniszczone, wybrakowane, zagubione, wypaczone. Lucy nie potrafi przypomnieć sobie, jaką była wtedy dziewczyną, nie potrafi zaakceptować swojego wcielenia tak spragnionego uwagi, że postanowiło przespać się z czterdziestolatkiem i jego nastoletnim synem. Czasami spogląda na swoją Stellę, na swoją maleńką idealną córeczkę, i próbuje wyobrazić sobie ją w wieku trzynastu lat, jak oddaje się w ten sposób tylko po to, by poczuć się kochaną. Sprawia jej to niewyobrażalny ból.

Odzywa się telefon i Lucy jak zawsze przechodzi zimny dreszcz. Sprawy morderstwa Michaela nie rozwiązano, ale generalnie mówi się, że miał kontakty ze światkiem przestępczym i został zabity za niezapłacone długi. Krótco po tym, jak informacja o jego śmierci pojawiła się w mediach, Lucy zauważyła jedną wzmiankę na swój temat:

Rimmer, dwukrotnie żonaty, podobno ma dziecko z pierwszego małżeństwa z Brytyjką, o której wiadomo tylko tyle, że nazywała się Lucy. Gospodyni Rimmera potwierdziła, że niedawno doszło do ich ponownego spotkania, jednak kobieta nie została oficjalnie uznana za podejrzaną.

Nigdy nie uwolni się od strachu, że wysledzi ją jakiś zmotywowany żółtodziób szukający sposobu na udowodnienie

swoich kompetencji. Lucy obawia się, że już nigdy nie będzie w stanie do końca się rozluźnić.

Jednak w skrzynce odbiorczej czeka na nią wiadomość nie od początkującego detektywa, lecz od Libby: zrzut ekranu przedstawiający saldo na koncie bankowym, a do tego jedno słowo: *Przyszło!*

Stało się, myśli Lucy, i przechodzi ją dreszcz. Ten etap jej życia właśnie dobiegł końca. Zaczyna się następny. Teraz mogą sobie kupić mieszkanie. W końcu. Cztery kąty dla niej, dla dzieci, dla psa. Miejsce na zawsze, którego już nikt jej nie odbierze. A potem, myśli sobie, potem będzie mogła zastanowić się, co właściwie chciałaby zacząć ze swoim życiem. Mogłaby kontynuować naukę gry na skrzypcach. Mogłaby zostać zawodową skrzypaczką. Teraz nic nie stoi jej na przeszkodzie.

Pierwsza połowa życia Lucy była mroczna, naznaczona wieczną walką z przeciwnościami. Druga połowa będzie cudowna.

Odpowiada na wiadomość Libby.

Szampan dla wszystkich! Widzimy się później, kochana. Nie mogę się doczekać świętowania z Tobą. Najlepszego.

Libby pisze: *Też nie mogę się doczekać. Kocham Cię.*

A ja Ciebie, kończy Lucy, po czym dodaje rząd buziaczków i gasi telefon.

Jej córeczka okazała się wspaniała: łagodna, troskliwa, pod wieloma względami stanowi mieszankę Stelli i Marca, ale też w dużej mierze przypomina ojca – kroczy własną ścieżką, ustanawia własne zasady i jest zawsze i wszędzie sobą. Do tego zmienia się, dojrzewa, porzuca stare nawyki, ograniczające ją przyzwyczajenia. Nie narzuca już sztywnych ram swojemu życiu, płynie z nurtem. Warto było przeżyć każdą złą chwilę przez te wszystkie lata rozłąki. Libby to anioł.

Lucy znowu sięga po telefon i przegląda kontakty, aż dociera do litery G. Wpisuje wiadomość.

Drogi Giuseppe. Z tej strony Lucy. Bardzo mi Ciebie brakuje. Chciałam tylko dać znać, że jestem zdrowa i szczęśliwa, dzieci i Fitz tak samo. Nie wracam już do Francji. Mam teraz nowe, wspaniałe życie i chcę zapaść korzenie. Już zawsze będę Ci wdzięczna za to, że wspierałeś mnie, gdy byłam w rozsypce. Bez Ciebie bym zginęła. Na zawsze zobowiązana, Lucy.

W restauracji w Marylebone tego wieczoru na Libby czeka jej rodzina.

Lucy, Marco, Stella i Henry.

Marco wita ją niezręcznie dramatycznym półuściskiem, jego głowa uderza o jej obojczyk.

– Wszystkiego najlepszego, Libby – mówi.

Stella przytula się do niej delikatnie.

– Wszystkiego najlepszego, Libby. Kocham cię.

Tych dwoje, jej brat i siostra, okazało się największym darem ze wszystkich.

Są cudownymi dziećmi i Libby uważa, że to w zupełności zasługa kobiety, która je wychowała. Szybko zbliżyły się ze sobą z Lucy. Nieduża różnica wieku sprawia, że Lucy wydaje się Libby świetną nową koleżanką, a nie matką.

Lucy wstaje. Obejmuje Libby za szyję i cmoka ją głośno w okolice ucha.

– Wszystkiego najlepszego – mówi. – Z okazji prawdziwych urodzin. To było dokładnie dwadzieścia sześć lat temu. Boże. Myślałam, że rozerwę się na pół.

– Tak. Muczała jak krowa. Godzinami. Musieliśmy zakrywać uszy rękami – odzywa się Henry i obejmuje ją, jak zawsze ostrożnie.

Libby wciąż jeszcze nie rozgryzła Henry'ego. Czasami myśli o tym, co powiedziała o nim Clemency – że czai się w nim zło – i wtedy przebiega ją dreszcz. Myśli o tym, do czego się przyczynił: do śmierci czworga ludzi, mumifikacji ciała młodej kobiety, okaleczenia kota. Ale zabijanie nigdy nie było jego intencją i Libby nadal uważa, że gdyby we czwórkę zgłosili się na najbliższy komisariat tamtej nocy i wyjaśnili, co się stało, jak byli traktowani, więzieni, że doszło do fatalnego w skutkach wypadku, zostaliby wysłuchani i oczyszczeni z zarzutów. Jednak nie stało się tak i wybrali życie uciekinierów, zupełnie zbacząc z dotychczasowej drogi.

Henry jest dziwny, ale przy tym zupełnie otwarcie przyznaje się do swojej odmienności. Wciąż utrzymuje, że nie zamknął ich celowo w pokoju wynajętego mieszkania, że nie zabrał im telefonów i nie skasował nagrania Millera. Twierdził, że musiał wypić więcej, niż mu się wydawało. A Libby w końcu nie znalazła na swojej komórce żadnej aplikacji śledzącej czy podsłuchującej. Ale też nie zmieniła ostatecznie hasła.

Henry zaprzecza też, że przeszedł jakiegokolwiek zabiegi kosmetyczne, by upodobnić się do Phina. Przekonuje: „Dlaczego miałbym chcieć wyglądać jak Phin? Jestem od niego o wiele przystojniejszy”. Nie ma cierpliwości do dzieci i nieco zbił go z tropu nagły napływ ludzi do jego ściśle kontrolowanego świata; często zrzędzi, lecz bywa przezabawny. Ma niewielkie pojęcie o tym, co jest prawdą, i wydaje się żyć na samej krawędzi rzeczywistości. Tylko czy można mu się dziwić? Po tym wszystkim, przez co przeszedł? Libby pewnie też żyłaby na krawędzi rzeczywistości, gdyby jej dzieciństwo było równie traumatyczne co jego.

Otwiera kartkę, którą od niego dostała, i czyta: „Słodka Libby Jones, jestem dumny z bycia Twoim wujkiem. Kocham Cię i zawsze będę Cię kochał. Wszystkiego najlepszego, piękna”.

Patrzy na nią z lekkim rumieńcem zażenowania i tym razem Libby nie przyjmuje jego ostrożnych objęć. Tym razem rzuca mu się na szyję i ściska go, dopóki on nie odwzajemni tego uścisku.

– Ja też cię kocham – mówi mu do ucha. – Dziękuję, że mnie odnalazłeś.

A potem pojawia się Miller.

Dido miała rację.

Jednak między nimi zaiskrzyło.

Chociaż Roe fatalnie brzmi jako drugi człon nazwiska Jones, jego matka raczej trzyma dystans, trzęsie mu się tłuszcz na brzuchu, ma za dużo włosów na twarzy, żadnych zwierząt i była żoną, dostrzegła w nim coś, co przyćmiło wszystko inne. A czymże jest tatuaż, jeśli nie tylko rysunkiem na skórze? Przecież to nie ideologia. Raptem bazgroły.

Miller porzucił swój temat dla Libby. Po tamtej nocy w zeszłe wakacje, kiedy odnalazła swoją rodzinę, wziął notatnik i wyrwał wszystkie kartki.

– Ale to twoja praca, tak zarabiasz na życie. Mogłeś za ten materiał dostać mnóstwo pieniędzy.

Uciszył ją wtedy pocałunkiem i powiedział:

– Nie odbiorę ci rodziny. Zasłużyłaś na nich bardziej niż ja na swój sensacyjny materiał.

Teraz Libby zajmuje puste miejsce obok niego i wita go całusem.

– Wszystkiego najlepszego, Lambównu – Miller szepcze jej do ucha.

Takie jej wymyślił przydomk. Nigdy wcześniej nikt nie wymyślał jej przydomka.

Podaje jej grubą kopertę.

– Co to jest? – pyta Libby.

– Sugeruję otworzyć, a się przekonasz – odpowiada z uśmiechem Miller.

W środku jest błyszcząca broszura pięciogwiazdkowego hotelu safari w Botswanie o nazwie Chobe Game Lodge.

– Czy to...?

Uśmiecha się w odpowiedzi.

– Tak, najwyraźniej tak. Zgodnie z tym, co powiedział mi bardzo rozmowny recepcjonista, ich głównym przewodnikiem jest czterdziestokilkuletni mężczyzna o imieniu Phin. Tylko że teraz pisze je przez „F”. Finn. Finn Thomsen.

– I to jest on?

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent tak. Ale jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Wyciąga z kieszeni kurtki jakiś wydruk i podaje Libby. To potwierdzenie rezerwacji dwuosobowego luksusowego pokoju w Chobe Game Lodge.

– Mogę zabrać mamę, jeśli nie chcesz jechać. Zawsze chciała się wybrać na safari.

Libby kręci głową.

– Nie, nie. Chcę. Oczywiście, że chcę.

Przeogląda wydruk, potem wraca do broszury. I wtedy jej wzrok pada na zdjęcie: jeep wypełniony po brzegi turystami, którzy patrzą na stado lwów. Przygląda się uważniej. Z przodu siedzi przewodnik, odwraca się, by uśmiechnąć się do obiektywu. Ma gęste, spłowiałe na słońcu jasne włosy. Twarz ma szczerą, jego uśmiech jest promienny jak słońce.

Wygląda jak najszczęśliwszy człowiek na świecie.

Wygląda jak ona.

– Myślisz, że to on? – pyta Libby.

– Nie wiem – odpowiada Miller. Spogląda na Henry'ego i Lucy po drugiej stronie stołu, pokazuje im broszurę. Marszczy czoła, przyglądając się fotografii. A potem Lucy przyciska pięść do ust, a Henry opada na oparcie krzesła.

– Tak – mówi Lucy, kiwając mocno głową. Głos jej się łamie. – Tak, to on. To Phin. Patrzcie na niego, żyje! Phin żyje.

On żyje. Phin nie umarł. Serce zaczyna mi bić jak oszalałe, w głowie mi się kręci. Jest przystojny i grzechu warty. Patrzę na niego, opalonego, w bojówkach, szczerzącego beztrosko zęby w jeepie w Afryce. Założę się, że w ogóle o mnie nie myśli; ani o mnie, ani o nikim z nas. Zwłaszcza nie o tobie, Serenity. Zwłaszcza nie o tobie. Nie był tobą zainteresowany, kiedy mieszkałaś w naszym domu. Nie będzie zainteresowany tobą teraz.

Lucy wyraźnie kłamała, gdy mówiła, że w czasie pobytu we Francji ciągle o tobie rozmawiali. Phin nie lubi dzieci. Nie jest rodzinny. Nie zważa na innych. Jest samotnikiem. Tylko jeden, jedyny raz udało mi się wydostać go z tej skorupy; to było wtedy, gdy wzięliśmy kwas. Wtedy, gdy trzymaliśmy się za ręce i poczułem, jak przenika do mnie, jak staje się mną. On nie stał się mną, oczywiście – kto by chciał stać się mną? Ale ja stałem się nim. Kiedyś pisałem to po całym domu, gdy tylko mogłem, niczym nieme krzyki we wszystkich zakamarkach i ciemnych kątach: JESTEM PHINEM.

Tylko jak mogę być Phinem, skoro sam Phin nieustannie przypomina mi, że nie jestem Phinem? Z każdym beztroskim strzepnięciem grzywki, wzruszeniem ramion, zadumany spojrzeniem w pusty pokój, powoli przewróconą stroną powieści.

Zaczęło się od eliksiru miłości. Miał sprawić, że Phin się we mnie zakocha. Nie zadziałał. Sprawił tylko, że podupadł na zdrowiu.

Osłabił go. Uczynił mniej pięknym. A im więcej sił tracił, tym ja więcej zyskiwałem. Dlatego nie przestawałem mu go podawać. Nie chciałem go zabić, to nigdy nie było moim celem, chciałem tylko przygasić jego światło, by moje mogło zapłonąć odrobinę mocniej. I tamtego wieczoru, w dniu trzydziestych urodzin Birdie, kiedy Lucy powiedziała mi, że to Phin jest ojcem jej dziecka, poszedłem do jego pokoju, by go zabić.

Ale kiedy powiedział, żebym go rozwiązał, rzuciłem: „Tylko jeśli pozwolisz mi się pocałować”. I pozwolił. Był wciąż skrępowany, ledwo żywy, a ja pocałowałem go, najpierw w usta, potem po twarzy. Nie opierał się. Pozwolił mi na to. Całowałem go przez całą minutę. Dotykałem palcami jego warg, przeczesywałem mu włosy, zrobiłem wszystko, o czym marzyłem od pierwszej chwili, gdy wszedł do naszego domu, a ja miałem jedenaście lat i nie wiedziałem jeszcze, że kiedykolwiek zechcę kogoś całować.

Czekałem, aż mnie odepchnie. Lecz nie zrobił tego. Był uległy.

Potem, gdy dość już się go nacałowałem, odwiązałem go od grzejnika i położyłem się obok niego.

Otoczyłem ramieniem jego ciepłe ciało.

Zamknąłem oczy.

Zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, Phina już nie było.

Od tamtej pory cały czas go szukałem.

Teraz się odnalazł.

Wiedziałem, że brodaty misiek Libby go odnajdzie.

I tak też się stało.

Spoglądam na Millera, spoglądam na ciebie.

Uśmiecham się swoim najlepszym uśmiechem wujaszka Henry'ego i rzucam:

– Znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby?

Podziękowania

Dziękuję trójce niesamowitych redaktorów; mojej brytyjskiej redaktorce Selinie Walker, która pracowała w weekendy i późnymi wieczorami, żeby ciąć, przerabiać i szlifować mój manuskrypt tak, by dało się go czytać. Dziękuję też Lindsay Sagnette ze Stanów Zjednoczonych, która dodała zupełnie nową warstwę głębi i przejrzystości. Ostatnią osobą z tego tria, której chciałabym podziękować, jest Richenda Todd. Richenda zrobiła znacznie więcej, niż wymaga się od korektorki, i zmusiła mnie do naprawienia rzeczy, które ignorowałam, bo nie wiedziałam, jak je naprawić. Wy trzy jesteście wzorem tego, jak ogromną różnicę może zrobić dobry redaktor. Dziękuję również mojemu wspaniałemu agentowi Jonny'emu Gellerowi, który nie pozwolił mi wysłać książki w świat, nie doprowadzwszy jej uprzednio do stanu najlepszego z możliwych. Im ciężiej każą ci pracować nad redakcją, tym większe zainteresowanie wydawców budzisz ty i twoja książka. Mieć was wszystkich u boku to ogromne szczęście.

Dziękuję Najmie Finlay, mojej wspaniałej brytyjskiej publicystce, która właśnie odchodzi na urlop macierzyński i nie wróci, dopóki nie będziemy mieli kolejnej książki do promowania; ciesz się każdą minutą ze swoim ślicznym dzieckiem.

Dziękuję Deborze Schneider, mojej niesamowitej agentce ze Stanów Zjednoczonych, za... już ty wiesz za co! Cóż to był za rok!

Dziękuję Coco Azoitei za techniczny żargon, którego potrzebowałam, żeby wyjaśnić, co się dzieje, kiedy ktoś sprawdza świeżo naprawione skrzypce. Dziękuję też wszystkim, którzy na Facebooku podzielili się ze mną informacjami na temat rodzinnych funduszy powierniczych. Wszelkie błędy w tym względzie biorę na siebie.

Dziękuję moim zespołom wydawniczym w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i na całym świecie za to, że tak świetnie zajęliście się moją pracą – i mną! – a szczególnie jestem wdzięczna Ariele i Haley w Stanach Zjednoczonych, Pii i Christofferowi w Szwecji, Odzie w Norwegii oraz Elisabeth i Tinie w Danii.

Dziękuję wszystkim moim wydawcom audio i pracownikom studiów nagraniowych, w których powstają audiobooki o tak wyjątkowej jakości. Dziękuję wszystkim aktorom i lektorom, którzy tak pięknie przeczytali moje słowa.

Dziękuję bibliotekarzom, księgarzom, organizatorom festiwali i wszystkim tym, którzy pomogli mi dotrzeć z moimi książkami do czytelników.

Dziękuję swojej rodzinie (w tym mojej menażerii), która nie pozwala, bym straciła kontakt z rzeczywistością.

Na koniec dziękuję wszystkim podwójnym wódkom z tonikiem, które pozwoliły mi napisać ostatnie trzy rozdziały tej książki w późny piątkowy wieczór oraz pomogły znaleźć kilka ostatnich linijek; wiedziałam, że gdzieś tam się kryją. Zdrówko!

O Autorce

Lisa Jewell urodziła się w Londynie. Jej pierwsza książka, *Impreza u Ralph*, była najlepiej sprzedającą się debiutancką powieścią 1999 roku.

Od tamtego czasu wydała jeszcze szesnaście książek, w ostatnim okresie kilka mrocznych thrillerów psychologicznych, w tym *The Girls* oraz *Then She Was Gone* (obie zostały zauważone przez Richard & Judy Book Club), a także *I Found You* i *Watching You*.

Książki Lisy trafiły do pierwszej dziesiątki listy bestsellerów „New York Timesa” oraz wspięły się na sam szczyt listy „Sunday Times”. Zostały wydane na całym świecie w dwudziestu pięciu językach.

Mieszka w Londynie z mężem, dwiema córkami, dwoma kudłatymi kotami, dwiema nerwowymi świnkami morskimi i uroczym psem o kasztanowym umaszczeniu. Każdego dnia pisze minimum tysiąc słów, w kawiarni, bez dostępu do internetu, w sesjach trwających od dwóch do trzech godzin.

Spis treści

[Informacja w sprawie nazwiska bohaterki Cerian Tahany.](#)

I

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

[18](#)
[19](#)
[20](#)
[21](#)
[22](#)
[23](#)
[24](#)
[25](#)
[26](#)
[27](#)
[28](#)
[29](#)
[30](#)
[31](#)
[32](#)
[33](#)

II

[34](#)
[35](#)
[36](#)
[37](#)
[38](#)
[39](#)
[40](#)
[41](#)
[42](#)
[43](#)
[44](#)
[45](#)
[46](#)
[47](#)

48

III

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

IV

66

67

68

69

Podziękowania

O Autorce